

KACPER KOTULAK

Początek
HOT-DOGI
Koniec



Początek
HOT-DOGI
Koniec

Copyright © by Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba sp.j.

Copyright © by Kacper Kotulak

Wrocław 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Korekta i redakcja:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

KAMILA ŚWIĄTKOWSKA

JUSTYNA MASERAK

Skład:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Okładka:

PRZEMYSŁAW RYBA

Wydanie I

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana
w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie
z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych
systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.*

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.

ul. Domeyki 16 53-209 Wrocław

www.gmork.pl

email: wydawnictwo@gmork.pl

tel: 795 626 546

ISBN: 978-83-951333-0-5

ISBN (ebook): 978-83-951333-1-2

KACPER KOTULAK

Początek
HOT-DOGI
Koniec



ROZDZIAŁ 0

Kolana to naprawdę zadziwiająca sprawa, choć mało kto to sobie uświadamia. Przynajmniej do momentu, gdy nocą zawadzi się o kant szafki lub gdy w kulminacyjnym momencie bójki trzeba odwrócić jej losy celnym kopniakiem w newralgiczny punkt przeciwnika. Ale zawsze można też na kolana po prostu upaść – tak jak na przykład Bas Koolpa. W jego przypadku nie miało to jednak podłoża ani sakralnego, ani romantycznego. Tak się składa, że żył w świecie opuszczonym przez Boga i całkowicie pozbawionym miłości – w dużej mierze za sprawą kilkudziesięciu głowic termonuklearnych, które kilkadziesiąt lat wcześniej postanowiły wypalić z oblicza świata wszystkie uczucia głębsze od rozpaczliwej woli przetrwania.

Z drżącej dłoni mężczyzny wypadła pośliznięta kartka. Na samej jej górze znajdował się nieco wyblakły napis: „Operacja »Dzień Sądu 2.0«, kody dezaktywacyjne”. W szklistych oczach Basa odbijała się wielka chmura w kształcie grzyba. Nagle wyczulone ucho niedosłęgo zbawcy resztek świata pochwyciło dźwięk. I nie był on związany z nieuchronnie nadchodzącą falą uderzeniową. Obok Basa stanął mężczyzna w nienagannym garniturze i z neserem w dłoni – widok spóźniony o jakieś czterdzieści lat. Koolpa patrzył na niego przez chwilę zupełnie bydlęcym wzrokiem.

– Całkiem niezły kawałek zagłady, nie uważa pan? – Gość uśmiechnął się z zadowoleniem.

Bas Koolpa zapatrzył się znów w śmiertelny grzyb. Fala uderzeniowa była już bardzo niedaleko. W tej chwili wydawała się dużo istotniejszą kwestią niż jakiś wariat w garniturze i z neserem.

ROZDZIAŁ 1

Mówią, że jak nie wiadomo, od czego zacząć, to najlepiej zacząć od początku. A zatem na początku było Słowo. Tyle że brzmiało ono „CHAOS”, co nie wróżyło zbyt dobrze na przyszłość. Zanim jednak Słowo doszło do wniosku, że nie jest to dla niego najlepsze brzmienie, musiało upłynąć sporo... czegoś – trudno właściwie powiedzieć czego, jako że czas jeszcze wtedy nie istniał. Coś jednak na pewno upływało i bez wątpienia było to coś bardzo przedwiecznego. W każdym razie mijało sobie spokojnie, a Słowo dochodziło powoli do w miarę sensownych wniosków. W międzyczasie coś się przepaliło... Trzasnęło, huknęło i nagle pojawił się wszechświat. Było to sporym zaskoczeniem – głównie dla samego wszechświata. To w końcu dość niecodzienna sprawa, żeby ot tak z niczego stać się nagle niezliczoną mnogością galaktyk, gwiazd, planet i innych dziwactw.

A Słowo zobaczyło, że to wszystko było... koszmarnie nudne. Mniej więcej w tej samej chwili, gdzieś w odległym zakątku młodego wszechświata, przypadkowy zlepek atomów, dryfujący w zawieszistej prazupie, zupełnie nie zdając sobie sprawy z konsekwencji, połączył się z innym przypadkowym zlepkiem atomów. Pomysł szybko się przyjął i wkrótce, po raz pierwszy w historii, pojawiło się coś w rodzaju mody. Coraz bardziej skomplikowane przypadkowe zlepki atomów nawet nie zorientowały się, kiedy wykształciły organy wewnętrzne, okiełznały ogień i zaczęły masowo wytwarzać telefony komórkowe z obsługą dzwoneków polifonicznych.

Wiele można powiedzieć o wszechświecie po pojawieniu się zjawiska zwanego powszechnie życiem, ale na pewno nie był już więcej nudny. Co to, to nie...

Gdzieś na rubieżach cywilizowanego wszechświata znajduje się stosunkowo niewielka i mało znacząca bryłka krzemu, nazwana przez jej mieszkańców Ziemią. Jest to całkiem standardowy świat. Kształtem – przynajmniej z daleka – przypomina kulę, ale od dołu wcale nikt nie spada, co bardzo dziwiło miejscowych uczonych jeszcze przed kilkoma wiekami. Co więcej, tak się akurat składa, że w momencie, w którym widzimy Ziemię, ta znajduje się właśnie na krawędzi zagłady. Wielu miejscowych naukowców, filozofów, proroków i zwyczajnych głupków snuło mnóstwo teorii na temat końca świata. Nadciągająca katastrofa nie jest jednak spowodowana tym, że Bogu-Słońcu skończyła się krew z ofiar, żadne wrogie armie tytanów nie wyruszyły do ostatecznego boju, żaden złośliwy władca podziemi nie upomniał się o swoje, postanawiając przy tym unicestwić wszystko dokoła...

Całe zamieszanie spowodowane zostało przez całkowicie zwyczajny i zupełnie niezłośliwy kawał skały. Podróżował przez przestrzeń już dosyć długo i nie miał żadnych specjalnych planów związanych z Ziemią. Po prostu bardzo dawno i bardzo daleko stąd pewna planeta miała wielkiego pecha. Nie ma sensu zagłębiać się teraz w szczegóły i dopytywać, kto kogo pierwszy zdenerwował i kto komu wygarnął z superdziała jonowego. Ważne, że jedna z ostatnich pozostałości sporu leci właśnie w kierunku Ziemi z zawrotną prędkością i jednego można być pewnym – spotkanie na pewno nie będzie miłe.

Oczywiście pewna ziemska nacja, powszechnie znana z aspiracji do ratowania planety przed końcem świata, wysłała misję mającą na celu – jak to ujął podczas odprawy podstarzały generał z cygarem w zębach i z okularami przeciwsłonecznymi na nosie –

rozpirzenie tej przeklętej asteroidy w drobny mak. Jednak na obserwowanie losów obrońców Ziemi i ostatniej nadziei ludzkości przyjdzie jeszcze pora. Warto zerknąć co się dzieje na powierzchni planety – taka szansa może się nie powtórzyć...

To co działo się na ulicach perły miast – Nowego Jorku – można by wziąć za całkiem zwyczajny piątkowy poranek. Tyle że zawierało stanowczo zbyt mało zabieganych, dobrze ubranych biznesmenów, a za dużo zamieszek i plądrowania wszystkiego, co akurat się nawinęło. Najwyraźniej ludzie zrozumieli, że misja ratunkowa nie poszła zbyt dobrze, punkcik na niebie, rosnący z każdą chwilą, prawdopodobnie przywali jednak w Ziemię i w związku z tym nadeszły ostatnie chwile, by się obłowić. To dość tajemnicza kwestia, dlaczego w obliczu nieuchronnej zagłady spora część ludzi zawsze oddaje się plądrowaniu sklepów ze sprzętem elektronicznym – tak, jakby nowy telewizor lub wieża stereo mogły rozwiązać problem.

W całym tym preapokaliptycznym chaosie można było znaleźć jedną, jedyną ostoję spokoju. Znajdowała się mniej więcej w centrum miasta, przy skrzyżowaniu ulic, których nazw ze względu na okoliczności nie warto chyba wymieniać i składała się w dużej mierze z budki z hot-dogami. Handlarz niecodziennymi przeżyciami kulinarnymi, który z pewnych powodów nazywał się Sinus Pi Czwartych, jak gdyby nigdy nic czyścił ruszt. Klienci i tak całkowicie stracili zainteresowanie jego ofertą. Nie miał im tego za złe. Trudno oczekiwać, żeby ludzie w obliczu nadciągającego nieuchronnie końca zawracali sobie głowę hot-dogami. Nawet takimi z podwójną musztardą i prażoną cebulką. No, a ruszt się przecież sam nie wyczyści.

Po drugiej stronie lady, na barowym stołku siedział Xijn Jungroth. Popijał kawę z mlekiem i podwójnym cukrem z papierowego kubka, ale jego nie można było nazwać klientem. Był raczej kimś w rodzaju znajomego, który wpada po pracy,

by wypić kawę z mlekiem i podwójnym cukrem i pogadać o rozgrywkach sportowych. Tyle że Xijn Jumgroth był niepoprawnym biurokratą, który nigdy nie rozstawał się z garniturem oraz nesesperem i na pewno nie interesował się rozgrywkami sportowymi. Nie zwracał też większej uwagi na rozbrzmiewający w tle szum, który od rana stopniowo narastał. Był za to żywo zafascynowany nowym porządkiem społecznym, panującym na ulicach Nowego Jorku.

Tuż obok szyba sklepowa nagle przestała być szybą sklepową i zaczęła odkrywać zalety bycia kupą tłuczonego szkła. Zaraz przebiegła po niej grupka nastolatków podekscytowanych perspektywą zdobycia najnowszego sprzętu grającego. Ostatni z chłopców najwidoczniej posiadał już całkiem niezły, gdyż zamiast oddać się gorączce szabrowania, zatrzymał się przed niedawno powstałym wejściem do sklepu. Spojrzał w kierunku budki z hot-dogami i ruszył w jej stronę z uśmiechem na ustach.

– Ej, wujek! – krzyknął. – Wyskakuj z forsy. I z zegarka też.

Xijn spojrzał pytająco na Sinusa. Sprzedawca hot-dogów wzruszył ramionami, ale przerwał czyszczenie rusztu, przeczuwając, że zaczyna dziać się coś interesującego. Chłopak wyciągnął z kieszeni nóż. Xijn upił spory łyk kawy.

– Ja nie żartuję!

– To dobrze. To byłby bardzo marny żart. – Xijn odjął od ust papierowy kubek i spojrzał na chłopaka. Ale nie tak normalnie. Spojrzał na niego Wzrokiem. Wzrok jest prastarą i tajemną bronią, którą władają wszyscy adepci sztuki urzędniczej. Na ogół wymaga okularów w rogowych oprawkach i porządnego biurka zaopatrzonego w tabliczkę z nazwiskiem i nazwą departamentu. Xijn miał jednak niemałe doświadczenie i nie musiał nawet zerkać ponad krawędzią półokrągłych szkieł, by najbardziej hardy delikwent poczuł nagłą potrzebę rozluźnienia kołnierzyka. Chłopak z nożem nie miał najmniejszych szans. Nagle opanowało go dziwne zdenerwowanie. Gdzieś w głowie zabrzmiały mu takie hasła jak: „brak kserokopii dowodu tożsamości” i „niepełny komplet załączników”.

Przynajmniej połowę z tych słów słyszał po raz pierwszy w życiu. Zmieszany schował nóż do kieszeni.

– To ja wrócę później – wybąkał.

– Tak będzie najlepiej – Xijn uśmiechnął się z politowaniem. Młodyciany amator drogiego sprzętu elektronicznego oraz cudzych pieniędzy odwrócił się i ruszył przed siebie, nie zatrzymując się nawet przy wyskakujących ze sklepu kolegach obławianych telewizorami i wieżami stereo. Miał do przemyślenia parę spraw. Na przykład, gdzie znajdzie czynny punkt ksero.

Sinus wyciągnął z kasetki plik zielonych papierków, które widocznie nawet w obliczu śmierci były dla ludzi szczególnie cenne. Przeliczył utarg. Niezbyt dużo, ale trudno się dziwić. W dniu takim jak dzień końca świata pora lunchu podlega zawieszeniu i drobni przedsiębiorcy branży gastronomicznej nie mają nic do gadania.

– Po co ci właściwie te pieniądze? – zagadnął Xijn, któremu trochę zaczynało się nudzić. – Żaden kantor przecież ci tego nie wymieni.

Sinus nie odpowiedział. Sam nie do końca rozumiał fenomen papierków z podobiznami dawno zmarłych gości, ale skoro wszyscy wokół byli gotowi walczyć o nie kłami i pazurami, to musiały mieć niebanalną wartość. Zresztą zarobił je uczciwie i czuł podświadomie, że do czegoś mogą się jeszcze przydać.

– Czemu nic nie mówisz? Ciągle się gniewasz o ten koniec świata?

Sinus nadal milczał. Faktycznie, ten cały armagedon ani trochę mu się nie podobał. Jak już wspomniano, takie rzeczy nie wpływają korzystnie na sprzedaż hot-dogów.

– Daj spokój. Wiesz przecież, że nic nie mogłem zrobić. Taką mam pracę. To nic osobistego.

Nagle w budce coś zapiszczało. Sinus zniknął na chwilę za ladą.

– Oho. Pilne wezwanie. Wybacz, Xijn. Wrócę po ciebie później.

– Co? Ale... – zaczął Xijn, ale zanim zdążył zaprotestować, budka zniknęła z cichym pyknięciem. Jedynym śladem po obiekcie względnie gastronomicznym pozostał stółek barowy

stojący pośrodku chodnika. Czekał uprzejmie aż szanowny pan Jungroth zejdzie, choć był to ten rodzaj uprzejmości, który dopuszcza nerwowe potupywanie nogą i wymowne zerkanie na zegarek. Gdy namolny gość ruszył w końcu cztery litery, mebel czym prędzej dołączył do reszty zestawu.

– Co za dupek – mruknął osamotniony nagle Xijn. Był pewien, że Sinus specjalnie dał nogę i z pewnością spóźni się parę minut, żeby ukarać go za koniec świata. Jakby to była jego wina. A przecież on tylko wykonywał swoje obowiązki.

– No, trudno – wymamrotał pod nosem. Był w końcu przygotowany na taką ewentualność. Ułożył nesesor na chodniku i otworzywszy podwójny zamek szyfrowy, wydobyl zwitek czegoś, co wyglądało jak folia do pieczenia.

W pobliżu kilku ludzi przerwało radosne przywłaszczanie cudzego mienia i ze zdziwieniem obserwowało gościa pakującego się do foliowego worka. Parę całkiem niezłych telewizorów trzasnęło o płyty chodnika, gdy facet, sprawdzwszy uprzednio szczelność opakowania, zniknął. Po prostu – zniknął, jakby go nigdy nie było. Zaskoczenie przypadkowych obserwatorów nie trwało długo. Narastający cały czas szum przeszedł powoli w ogłuszający ryk. Asteroida była już naprawdę blisko.

ROZDZIAŁ 2

Amerykanie już nieraz ratowali świat przed końcem świata. Wprawdzie zazwyczaj w amerykańskich filmach, ale zawsze... Życie to jednak nie bajka, a tym bardziej nie hollywoodzka superprodukcja, toteż dwaj Amerykanie – choć teraz raczej byli Amerykanie – mogli tylko biernie obserwować, jak potęga Stanów Zjednoczonych ulega bezdusznej natarczywości armagedonu.

– W sumie śmieszna sprawa, nie? – zagadnął komandor Bertleigh, wpatrując się w ekran ukazujący sceny, o których producenci filmów katastroficznych mogli tylko marzyć.

– Że co? – mruknął kapitan Wilkins, chwilowo zbyt zdolowany, by doszukiwać się powiązań między wyrażeniami „koniec świata” i „śmieszna sprawa”.

– No, bo mamy tu przecież tyle przycisków. Niektóre są od zupełnych pierdół. Na przykład ten jest od regulowania foteli. I działa. – Bertleigh na wszelki wypadek zilustrował swój wywód, bawiąc się oparciem fotela. – A nawalić musiał akurat ten najważniejszy. Od odpalania bomby, znaczy się. To całkiem zabawne, nie uważa pan?

Wilkins wcale tak nie uważał. Zagłada ludzkości nie mieściła się w żadnej znanej mu definicji zabawności.

– A wie pan, co jest jeszcze śmieszniejsze? – Wszystko wskazywało na to, że Bertleigh nie skończył jeszcze wykładu pod tytułem „humorystyczne aspekty zawalenia misji ratowania ludzkości”. Wilkins oczywiście nie wiedział. I prawdę mówiąc, nic go to nie obchodziło, ale Bertleigh i tak postanowił go uświadomić.

– Mogliśmy sprawdzić to, zanim odlecieliśmy z tej asteroidy. Wtedy jeden z nas, na przykład pan... albo ja... ale raczej pan, bo to pan jest w końcu dowódcą... No w każdym razie któryś z nas... Moglibyśmy zagrać w marynarza. Albo w papier, kamień, nożyce. No i ten, który by przegrał, zostałby i odpalił bombę ręcznie.

Wilkins ukrył twarz w dłoniach. Uświadomił sobie, że został w kosmosie sam na sam z idiotą, który nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Niezdawanie sobie sprawy z powagi sytuacji pozwoliło Bertleighowi przeżyć trzydzieści lat w całkowitej beztrosce i przez te trzydzieści lat niezłe wkurzało całe jego otoczenie. Wilkins pomyślał o dwóch pozostałych członkach misji ratunkowej: o Stakehousie, który koniecznie chciał udowodnić, że trzysta procent mocy to wcale nie za dużo dla świdra górniczego, a czarny dym buchający z rozpalonego silnika jest całkiem normalną sprawą, i o Hagermanie, który zawsze miał więcej szczęścia niż rozumu. Szczęście ostatni raz dało o sobie znać, gdy Hagerman wyleciał w powietrze – a raczej w próżnię – razem ze Stakehousem i uniknął tym samym dożywności, wyłącznego towarzystwa Bertleigha. Wilkins pożałował, że nie podzielił losu podwładnych. Postanowił jak najprędzej naprawić to niedopatrzenie.

Wiekowy generał O'Brien, który podczas odprawy nie omieszkał porównać śmiercionośnej asteroidy do Hitlera, Japończyków, Wietnamczyków, komunistów, nielegalnych imigrantów i bliskowschodnich terrorystów, na pewno poparłby tę decyzję, bredząc coś o honorze oficera. Tyle że generał, razem ze swoimi orderami za odwagę, teraz był pewnie nędzną kupką popiołu, a Wilkinsa niewiele obchodziło ratowanie honoru. Czyjegokolwiek. Ale na pewno nie zamierzał trwać w zamknięciu w metalowej puszcze z najprawdopodobniej ostatnim kretynem we wszechświecie. Problem w tym, że na pokładzie statku kosmicznego nie było nawet czym popęlnić porządnego samobójstwa. Chociaż ponoć dla chcącego nic trudnego.

W którejś ze skrzyń z narzędziami powinien być pistolet na gwoździe. Wilkins nie wiedział wprawdzie, czy da się popęlnić

samobójstwo za pomocą czegoś takiego, ale rzut oka w kierunku rozentuzjzmowanego Bertleigha podpowiedział mu, że warto spróbować.

Odpiął pasy i odepchnąwszy się od fotela, podryfował w przeciwległą część kabiny, pełniącą funkcję magazynu. Walało się tu parę pudeł ze sprzętem, który okazał się absolutnie niepotrzebny, ale oczywiście żadne z nich nie zawierało czegoś takiego jak zapasowy detonator – tak na wszelki wypadek, jakby ten główny nawalił. Ale trudno, stało się. Zapasowego detonatora nie było, Ziemia przestała się liczyć w gronie planet zdolnych do życia, a Wilkins szukał teraz czegoś zupełnie innego.

– Panie kapitanie! – zawołał Bertleigh. Kapitan postanowił nie słuchać na wypadek, gdyby temu głupkowi udało się odkryć jeszcze coś zabawnego. Był zresztą zajęty. Otwarcie skrzyni z narzędziami wydaje się może zadaniem śmiesznie prostym, ale w stanie nieważkości należy je rozpatrywać w kategoriach gimnastyczno-akrobatycznych.

– Panie kapitanie! Panie kapitanie! – Bertleigh spróbował wystawić głowę zza fotela, jednak astronautyczne wyposażenie nie przewidywało takich manewrów.

– Czego? – warknął Wilkins, usiłując opanować kilkanaście jardów kwadratowych brezentu, który do niczego nie był potrzebny, ale korzystając z chwilowej bezwładności, postanowił rozprostować nieco sploty.

– Ktoś chce chyba wejść na pokład.

– Co ty chrzaniisz?

– No, naprawdę. Niech pan sam zobaczy. Na zewnątrz jest jakiś facet. A może nawet kobieta... Nie widać dobrze.

Wilkins westchnął ciężko i zrezygnowany odepchnął się od skrzyni, pozostawiając kłęby brezentu na pastwę nieważkości. Dryfując z powrotem w stronę pulpitu sterowniczego, obiecał sobie, że jeśli to jakaś kolejna głupota Bertleigha, to na nim pierwszym wypróbuje śmiercionośne właściwości pistoletu na gwoździe. A jak ten kretyn wykrzyknie coś w stylu „ale pana zrobiłem”

albo „szkoda, że nie widzi pan wyrazu swojej twarzy”, to załatwi go choćby tym cholernym brezentem.

Zabójstwo komandora Bertleigha musiało jednak zostać odłożone na później. Przynajmniej na razie. Na zewnątrz istotnie unosiło się coś wyglądającego jak człowiek ubrany w za duży o kilka rozmiarów kombinezon z folii aluminiowej. I pukało do drzwi.

Wilkins po krótkim zastanowieniu, wbrew naukom wyciągniętym z filmów science-fiction, wcisnął guzik otwierania drzwi, który oczywiście był w pełni sprawny, w przeciwieństwie do detonatora, czego komandor Bertleigh nie omieszkiał skwitować wymownym uśmiechem.

Kilka chwil później, gdy wewnętrzne wrota śluzy powietrznej zostały otwarte, Wilkins nie miał najbledszego pojęcia, jak powinien zareagować. Facet w dobrze skrojonym garniturze, usiłujący dojść do porozumienia z foliowym skafandrem, zdecydowanie nie był zjawiskiem, którego można się spodziewać w takich okolicznościach.

– Ech, ta nieważkość. Same z nią problemy – gość mruknął raczej do siebie, gdy w końcu udało mu się uwięzić skafander w czarnym neseserze. – Całkiem porządny koniec świata, nie uważają panowie?

Bertleigh otwierał już usta, ale spojrzenie, które niosło ze sobą zapowiedź otrzymania karcącego uderzenia w potylicę – najpewniej czymś ciężkim – skutecznie wyperswadowało mu ten pomysł.

– Proszę mi wybaczyć bezpośredniość, ale chwilowo jesteśmy tak jakby załamani niepowodzeniem misji. A przynajmniej niektórzy z nas... – Wilkins posłał podwładnemu kolejne wymowne spojrzenie. – Kim pan właściwie jest?

– Och, przepraszam. Gdzie moje maniery? Nie przedstawiłem się. Nazywam się Xijn Jungroth. Jestem koordynatorem końca świata.

– Miło cię poznać. Jestem Freeman Bertleigh. Komandor Freeman Bertleigh. – Bertleigh postanowił przywitać się bardzo serdecznie.

Niestety miał bardzo mgliste pojęcie na temat zasad dynamiki Newtona i absolutnie żadnego, jeśli chodzi o ich zastosowanie w praktyce. Trudno więc oczekiwać, by mógł się domyślić, czym grozi nawet zwykłe podanie komuś ręki w stanie nieważkości.

– A to... – Bertleigh kontynuował prezentację załogi, gdy jemu i Xijnowi Jumgrothowi udało się w końcu odnaleźć mniej więcej sensowne kierunki. – To jest kapitan Nabuchodonozor Wilkins.

– Nab... Proszę – rzucił kapitan, zanim Xijn Jumgroth zdążył zapewnić, że bardzo mu miło i zdziwić się, jak interesującym imieniem jest Nabuchodonozor. W prośbie zawartej w oczach Wilkinsa można było wyczytać całe lata szczeniackich, młodocianych i całkiem dorosłych docinków kolegów.

Imię można oczywiście zmienić, ale gdy Wilkins poznał wreszcie możliwości Urzędu Stanu Cywilnego i osiągnął wiek pozwalający w pełni korzystać z jego dobrodziejstw, stwierdził, że przeszedł ze znieawidzonym imieniem już tyle upokorzeń, że gorzej być nie może. Poza tym to nie była w końcu wina imienia, że było takie durne. Kiedyś zresztą ponoć nosił je jakiś starożytny król, więc skoro tamten jakoś z tym żył, to Nab Wilkins też postanowił, że da sobie radę.

– Jak sobie życzysz... Nab. – Xijn mrugnął porozumiewawczo.

– A co...? – Bertleigh zaczął kolejny wątek.

– Bertleigh! – warknął kapitan, nawet nie próbując zgadywać, co tym razem wymyślił jego podwładny. – Może byś tak dla odmiany zamknął gębę?

Komandor posłusznie zamknął gębę, ale nie wyglądał, jakby zamierzał długo pozostawać w tym stanie.

– Przepraszam, ale co to znaczy, że jesteś tym całym koordynatorem...?

– Koordynatorem końca świata?

– No właśnie.

– Wiesz. Koniec świata to dość złożona procedura. Ktoś to musi nadzorować.

– A nie zastanawiałeś się nigdy, że taki świat to mógłby być czyjś dom?

– Och, to zawsze jest czyjś dom. Ale wszystko, prędzej czy później, musi się skończyć. Ja nie mam tu nic do gadania.

– Czyli to nie ty odpowiadasz za to wszystko? – Wilkins machnął ręką w stronę okrągłego okna, za którym unosiła się Ziemia, niedawno pełna życia, a teraz raczej pełna ognia, wybuchów wulkanów, sejsmicznej akrobatyki i reszty apokaliptycznych atrakcji.

– E, nie... Ja pełniłem tylko funkcję bezstronnego obserwatora. Oczywiście byłem gotów interweniować w razie jakichkolwiek nieprawidłowości. Ale wam, Ziemianom, w takich sprawach można zaufać.

– Jak to, można nam zaufać?

– Cóż, mało jest we wszechświecie nacji, które odznaczałyby się tak wybitnymi skłonnościami autodestrukcyjnymi. Myślę, że nawet gdyby z asteroidą nie wyszło, i tak znaleźlibyście jakiś sposób.

Wilkins otworzył usta, zamknął i powtórzył ćwiczenie jeszcze kilka razy. Skończyły mu się pomysły na sensowne wypowiedzi. A skoro pomyślał już o sensownych wypowiedziach, od razu na zasadzie kontrastu przypomniał sobie o Bertleighu, który nie odzywał się przez cały czas. Zaczął się niepokoić. Bertleigh, kiedy milczał, miał jedną, bardzo poważną wadę – zaczynał się zastanawiać. A z tego na ogół nie wynikało nic dobrego. Wilkins był pewien, że po tak długim czasie przebywania sam na sam ze swoimi myślami, Bertleigh na pewno wpadnie na coś niewyobrażalnie kretyńskiego. Nie zawiódł się.

– A co z Czterema Jeźdźcami? – zapytał w końcu komandor.

– Co? – Zdziwił się Xijn.

– No, z Czterema Jeźdźcami Apokalipsy...

Bertleigh czytał kiedyś Biblię i może niewiele rozumiał, ale za to całkiem sporo zapamiętał. Na nieszczęście był jednym z tych ludzi, którzy nie pojmują pojęcia „metafory biblijnej”. Wilkins był ateistą i zaczynał powoli nabierać przekonania,

że to Bóg pokarał go za niewiarę komandorem Bertleighem. Na dodatek coś mu podpowiadało, że Stwórcę uważa to za doskonały dowcip.

– Ach. Tak, faktycznie, była taka legenda. Mało przekonująca zresztą. Sami przyznacie, że historia, którą można zamknąć w słowach „jeździli po wszechświecie, niszcząc światy, a potem ni z tego, ni z owego zniknęli i nikt więcej o nich nie słyszał” to niezbyt udana historia.

– A Sąd Ostateczny...? – Bertleigh nie zamierzał dawać za wygraną, jednak Wilkins postanowił w tym momencie przerwać tę dyskusję o bardzo wątpliwych walorach teologicznych.

– Wyjaśnij mi jedną rzecz, Xijn. Ziemia już się skończyła, a poza tym nam ponoć można zaufać. Czego więc szukasz na naszym statku? Nie musisz już nas przecież powstrzymywać czy coś...

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Widzisz, po prostu takie unoszenie się w kosmosie jest śmiertelnie nudne, a czekam na przyjaciela, który miał mnie zabrać. I oczywiście się spóźnia. – Koordynator zerknął ostentacyjnie na zegarek. – Właśnie. Nie macie może ochoty na hot-doga?

Dziesięć minut później Nab Wilkins po raz kolejny nie wiedział, co powiedzieć. Myślał, że po tym, jak poznał faceta, którego zadaniem jest koordynowanie końców świata, wszechświat już niczym go nie zaskoczy. A jednak.

Znajdowali się na pokładzie czegoś, co wyglądało jak połączenie statku ze Star Treka i smaźalni frytek oraz pachniało jedzeniem, które ktoś usiłował jednocześnie usmażyć i utopić w niedorzecznie głębokim tłuszczu. Na dodatek mieli przed sobą gościa, który nie dość, że miał cztery ręce, to jeszcze, jeśli wierzyć Xijnowi, był międzygwiazdowym sprzedawcą hot-dogów. I jakby tego wszystkiego było mało – wszyscy czterej stali. Tak normalnie stali. Na podłodze. Wyglądało na to, że z jakichś powodów i wbrew wszelkim regułom, nieważkość tu nie

obowiązywała. Sztuczna grawitacja nie jest oczywiście żadnym wyzwaniem dla wielbiciela filmów science-fiction. Jednak sztab naukowy przy pomocy drogich, dziko wirujących i wywołujących nudności symulatorów skutecznie przekonał Wilkinsa, że filmy fantastycznonaukowe na ogół opowiadają same brednie. A przynajmniej tak być powinno, ale z jakiegoś powodu nie było. Wilkins ze wszystkich sił starał się nie domyślać dlaczego. I tak ta cała sytuacja nie mieściła mu się w głowie i przypuszczał, że jeśli będzie się za bardzo zastanawiał nad istotą rzeczy, to może zrobić sobie krzywdę. Ludzkie zdrowie psychiczne ma ograniczoną odporność.

– Cześć – zawołał radośnie kosmiczny sprzedawca bułek z kiełbaskami. – Nazywam się Sinus Pi Czwartych. Jestem właścicielem tego przybytku. Możecie mi mówić 0,707106781 186547524400844362104849039284836.

Na moment zapadła cisza, pozwalająca wszystkim zgromadzonym zastanowić się, czy rozwinięcie imienia do pierwszych kilkudziesięciu cyfr dziesiętnych aby na pewno mieści się w definicji przyjacielskiego zdrobnienia.

– No tak... – chrząknął Xijn. – To jest Freeman Bertleigh. Komandor Freeman Bertleigh. – Zaprezentował nowych znajomych. – A to Nabuchodonozor Wilkins. – Wilkins syknął. – Ale mów mu Nab. – Koordynator poprawił się czym prędzej, ale było już za późno. Imię zostało rzucone, niczym odbezpieczony granat.

– Nabuchodonozor... – mruknął Sinus. Granat eksplodował. – Interesujące imię. Co oznacza?

– Że moja matka miała interesujące poczucie humoru.

– Bardzo ciekawe. Chciałbyś się może zamienić?

– Proszę? – Wilkins postarał się zdziwić jak najuprzejmiej.

– No, ja bym wziął twoje imię, a ty moje. Co ty na to?

– Sam nie wiem... – Sinus Pi Czwartych Wilkins nie brzmiało w sumie gorzej niż Nabuchodonozor Wilkins, ale Nab darzył swoje imię głębokim sentymentem. Być może był to sentyment z rodzaju tych, jakimi darzy się odwiecznych wrogów, ale zawsze. Poza tym nie chciał, żeby przyjaciele mogli mu mówić 0,7071-coś-tam.

– A wiesz, Sinus – wtrącił się Xijn – oni są członkami tej misji, o której ci mówiłem... Tej, co miała ocalić Ziemię.

– Naprawdę? Jakie to uczucie ratować świat?

– Właściwie sam nie wiem – mruknął Wilkins. – Nie wyszło nam najlepiej.

– Nie przejmuj się. I tak nie mieliście żadnych szans. – Xijn poklepał astronautę po plecach. Możliwe, że słyszał kiedyś o pocieszaniu, ale chyba nie bardzo rozumiał, o co w tym chodziło. – Sinus, chłopaki polecą z nami.

– Jasna sprawa. – Sprzedawca hot-dogów wyszczerzył zęby.

Wilkinsa oczywiście nikt nie pytał o zdanie w tej kwestii. Choć skoro Xijn Jumgroth nie uważał za stosowne konsultować z nikim końca świata, to czemu miałby zasięgać opinii w tak błahej sprawie, jak losy ostatnich Ziemiaków? Z drugiej strony było to na pewno lepsze wyjście niż spędzenie reszty życia sam na sam z Bertleighem. A skoro o Bertleighu mowa... Wilkins z niepokojem zauważył, że komandor nie odezwał się od dawna ani słowem. Spojrzał na podwładnego. Bertleigh usilnie nad czymś rozmyślał.

– Słuchajcie – powiedział w końcu. – A wy nie jesteście przypadkiem kosmitami?

ROZDZIAŁ 3

Pod względem prędkości kojarzenia faktów Bertleighowi dorównywały tylko kamienie i niektóre dinozaury, które dopiero po kilku godzinach uświadamiały sobie, że ktoś nadepnął im na ogon. W końcu jednak udało mu się odkryć, że koniec życia na Ziemi nie oznacza bynajmniej końca życia we wszechświecie. Problem nie tkwił nawet w tym, że Bertleigh nie wierzył w kosmitów – on gorliwie wierzył w to, że nie istnieją. W innych okolicznościach Wilkins pierwszy uznałby to za oznakę zdrowego rozsądku. Tyle że okoliczności były, jakie były i nic nie wskazywało na to, by zamierzały się zmieniać. Żeby trzymać się swojej niewiary nawet po poznaniu dwóch kosmitów i zaokrętowaniu się na statku jednego z nich, trzeba by być ostatnim... no, chyba trzeba by być Freemanem Bertleighem.

Dalej było już tylko gorzej. Sinus w końcu uświadomił Bertleighowi, że on i Wilkins, jako byli Ziemianie, też są kosmitami, a po zniszczeniu matczynej planety to nawet bardziej niż pozostali. Trudno powiedzieć, jaki cel przyświecał Sinusowi, ale raczej nie ten, który osiągnął. W każdym razie Bertleigh dodał dwa do dwóch i wyszedł mu otwieracz do konserw. Skoro był kosmitą, a kosmici nie istnieli, wniosek mógł być tylko jeden...

Nab obudził się w środku nocy, chociaż równie dobrze mógł być wczesny poranek, późne popołudnie lub pora wieczornych wiadomości. Wilkins jednak całym sobą czuł, że jest środek nocy. Oczy-

wiecie zdarzają się poranki, że człowiek budzi się święcie przekonany, że jest druga nad ranem, a budzik upiera się, że minęła ósma i ktoś tu się właśnie spóźnia do pracy. Tyle że Wilkins znajdował się w przestrzeni kosmicznej, nie miał chwilowo żadnej pracy, a cykl dobowy był tylko wspomnieniem. Postanowił więc arbitralnie orzec, że jest druga w nocy. Czuł się koszmarnie, a zawsze lepiej jest czuć się koszmarnie w środku nocy, niż od rana zepsuć sobie cały dzień.

To było przebudzenie z rodzaju tych, kiedy człowiek leży przez następną godzinę zapatrzony w mrok i zastanawia się, co właściwie robi ze swoim życiem. W ciągu ostatnich kilkadziesiąt godzin Nab zobaczył sporo atrakcji, jakie oferował wszechświat. Najpierw Sinus zabrał ich na spektakl, wyglądający jakby grupa artystów usiłowała popełnić samobójstwo i robiła wszystko, by uczynić koniec jak najbardziej bolesnym. Oglądali też coś w rodzaju rozgrywek sportowych. Bardzo przypominało to baseball, tyle że odbywało się w stratosferze, a rolę piłek pełniły przelatujące meteoryty. Z tego co Wilkins zaobserwował, nadrzędnym, choć nieoficjalnym celem było trafienie w głowę przeciwnika.

Teraz jednak różowa mgielka dziecięcej radości rozplynęła się całkowicie, odkrywając ponure bagna podłego nastroju. W końcu Wilkins nie tak dawno niezłe zaważył sprawę, co kosztowało życie parę ładnych miliardów ludzi, nie wspominając o psach, kotach, mrówkach, wielorybach, sałacie i reszcie ziemskich istnień. I nic nie zmieniał tu fakt, że to wszystko było nadzorowane przez jakiegoś koordynatora...

Prawie każdy zna to uczucie, gdy wszystkie problemy całego świata zdają się ogniskować wewnątrz jego czaszki. Ma się wówczas wrażenie, że głowa zaraz eksploduje, a pozostała resztką osobowości dołączy do największych wariatów świata w otchłani wiekiustego szaleństwa. Oczywiście każdy psychoanalityk powiedziałby, że to zwykła histeria i że świat ma całkiem sporo problemów, które z pewnością mają wiele innych, ciekawszych miejsc do ogniskowania się.

Jednak na pokładzie budki Sinusa nie było żadnego psychoanalityka, toteż Nab musiał radzić sobie sam. Na dobry początek ścisnął głowę dłońmi – tak na wypadek, gdyby problemy całego wszechświata postanowiły jednak skupić się w jego umyśle.

Odwrócił głowę na bok i zapatrzył się w stojący pod ścianą kosz na śmieci. Był prawie pewien, że na statkach kosmicznych nie powinny występować takie całkiem zwyczajne kosze. Raczej powinny być próżniowe i bardzo skomplikowane w budowie. Jednak ten tutaj nie przejmował się takimi głupotami i wpatrywał się beztrosko w Wilkinsa wystającym spod klapy skrawkiem foliowego worka.

Nagle Nabowi przyszło do głowy, że chętnie pogadałby z takim śmietnikiem. Wtedy na pewno poczułby się lepiej. Nie miał nawet zamiaru wmawiać sobie, że to być może tylko koszmarny sen. Pamiętał doskonale, że wszyscy bohaterowie książek, filmów albo komiksów, którzy myśleli, że to, co ich spotkało było tylko koszmarnym snem, w niedługim czasie odkrywali, że wcale nie było tylko snem. Ani koszmarnym, ani żadnym innym.

Uznał, że gdyby uciął sobie pogawędkę ze śmietnikiem, mógłby uwierzyć, że znajduje się na starej, dobrej Ziemi, zamknięty bezpiecznie w pokoju o białych, miękkich ścianach i ubrany w kaftan z rękawami za długimi tylko na tyle, by można je było wygodnie zawiązać za plecami. Tak, to by mu na pewno pomogło.

– Witaj Nabuchodonozorze Wilkinsie. Jak się spało? – zagadnął śmietnik. Wilkinsowi wcale to nie pomogło. Właściwie to wręcz przeciwnie. Zakrył twarz poduszką i postanowił obudzić się kiedy indziej.

Gdy następnym razem otworzył oczy, było już dużo lepiej. Nadal trudno było jednoznacznie orzec, jaka panowała pora doby, ale żadne elementy wyposażenia nie próbowały nawiązać z nim konwersacji, a jego organizm stanowczo domagał się śniadania i kubka kawy. Zatem musiało być rano.

Wilkins podniósł się z łóżka. Niestety, misja ratowania świata nie przewidywała takich ewentualności, które wymagałyby

zmiany ubrań. Wilkins wciągnął na siebie jedyny strój, jaki miał na podorędziu – spodnie ze skafandra kosmicznego i czarny podkoszulek z uproszczonym schematem działania pryzmatu. Zespół, którego spora część nie żyła już przed końcem świata, a reszta była poważnie skłócona, na pewno nie spodziewał się, że okładka jego albumu będzie zdołała koszulkę jednego z ostatnich Ziemiaków we wszechświecie.

Wilkins wstał i ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze, by badawczym spojrzeniem obrzucić kosz na śmieci. Na szczęście nie wyglądał na zbyt rozmowny. Nab wmówił sobie, że to było tylko urojenie, poczuł się nieco pewniej i wyszedł.

– Phi – mruknął śmietnik, gdy tylko drzwi się zamknęły.

Budka Sinusa była o wiele wygodniejsza i przestronniejsza niż można by się spodziewać po miejscu, którego głównym zadaniem jest przygotowywanie i dystrybucja hot-dogów. Wilkinsowi najbardziej podobało się to, że każdy mógł spać w oddzielnej kabynie i nie oglądać Bertleigha na oczy. Chociaż, od kiedy Bertleigh przestał istnieć, stał się zdecydowanie bardziej znośny. Głównie dlatego, że zaszył się w jakimś kącie i nikomu nie pokazywał.

Idąc korytarzem, Wilkins zastanawiał się nad zagadnieniami z zakresu teorii względności i nad lekceważeniem, jakim Sinus najwyraźniej je darzył. Z tego co Wilkins rozumiał, budka z hot-dogami miała jedną, bardzo paskudną cechę, która wszystkich ziemskich fizyków przyprawiałaby o spazmy – poruszała się szybciej od światła.

Chociaż to nie było do końca takie zwykłe poruszanie się z punktu A do punktu B. Budka po prostu zniknęła w punkcie A i natychmiast pojawiała się w B, nie zawracając sobie jednostki centralnej punktami pośrednimi. I nie było żadnych ograniczeń. Punkt B mógł leżeć w innej galaktyce, pod warunkiem, że ktoś w owym punkcie akurat miał ochotę na hot-doga.

Oczywiście, jeśli chodziło o te wszystkie, jak to ujął Sinus, kwantowo-relatywistyczno-jakieś tam bzdury, to sprawa była tak pogmatwana, że tylko kilku gości w całym wszechświecie wiedziało, jakim cudem to wszystko w ogóle działa. Sinus jednak

nie był żadnym astrofizykiem molekularnym lub czymś w tym rodzaju, więc ani trochę go to nie obchodziło. Był sprzedawcą hot-dogów i raczej martwił się, by nie spalić cebuli.

Drzwi kokpitu otworzyły się przed Wilkinsem z cichym syknięciem. Pomieszczenie nie przypominało normalnego kokpitu. Było nim chyba tylko dlatego, że znajdowało się z przodu i miało duże, panoramiczne okno. Poza tym przypominało bardziej coś w rodzaju kuchni. Prawie połowę miejsca zajmował jonowy podgrzewacz do hot-dogowych półproduktów. Były też oczywiście niezwykle przyrządy sterownicze, które niewątpliwie wywarłyby na Wilkinsie wrażenie, gdyby tylko wydobyć je spod wszechobecnych bułek, kiełbasek i butelek przeróżnych sosów we wszystkich kolorach widma optycznego. W samym centrum pilotażowo-gastronomicznego chaosu siedział Sinus Pi Czwartych i studiował holograficzną mapę galaktyki, kręcąc młynka palcami, co było dość niezwykle, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że używał do tego czterech dłoni. Nab zignorował to tak samo, jak człowiek na co dzień ignoruje fakt, że oddycha. A przynajmniej spróbował. Obecnie znajdował się pod wpływem wewnętrznego głosu, który na ogół nakazuje skończyć dobre studia, uprawiać sport, a piątkowe wieczory spędzać z książką, zamiast z nieprzyzwoitymi ilościami alkoholu. Ten sam głos kiedyś twierdziłby, że kosmici nie istnieją. W zaistniałych okolicznościach złągodził nieco stanowisko, ale i tak nie mógł dopuścić do świadomości sytuacji, w której sprzedawcy hot-dogów mogli mieć po cztery ręce. W takim wypadku Nab musiałby poważnie przeanalizować również wszystkich innych, którzy do niedawna stanowili dla niego element tła. Listonosze, gazeciarze, sprzedawcy w sklepach... Oni wszyscy mogliby się okazać kosmitami o zwariowanych szczegółach anatomicznych, a Wilkins nie zauważył niczego tylko dlatego, że nie zwracał na to uwagi. Taka świadomość może doprowadzić do obłądka każdego.

– Siemasz, Sinus – powiedział na tyle beztrzesko, na ile pozwalał mu dysonans poznawczy.

– O, cześć, kapitanie Wilkins. – Sinus machnął na powitanie ręką. Prawą dolną, czego nie omieszkał zauważyć głos. – Poczęstuj się hot-dogiem. Wybierz sobie coś. – Sinus zamasztyłym gestem wskazał całe otoczenie, wypełnione hot-dogami w różnych stadiach rozwoju. – A może kubek kawy?

Wilkins obrzucił badawczym spojrzeniem żywnościowe formacje. Zastanawiał się, czy da radę wyjąć którąś bułkę, nie naruszając misternej struktury i nie powodując hot-dogowej lawiny. Po chwili namysłu zdecydował się na kanapkę, która wyglądała na względnie skończoną, leżała mniej więcej na wierzchu i nie była pokryta sosami, których kolory zdecydowanie nie powinny mieć nic wspólnego z branżą spożywczą.

Usiadł na czymś, co sprawiało wrażenie, jakby było stworzone do takiego mniej więcej celu i wepchnął sobie od razu połowę zdobyczy do ust. Spojrzał na Sinusa i jego mapę galaktyki. Pomyślał, że wiele razy już oglądał przybliżone obrazy Drogi Mlecznej, ale nigdy nie były trójwymiarowe i nie unosiły się nad pagórkami niezbyt zdrowej żywności.

Znów na powierzchni wilkinsowej świadomości wypłynął dawno zapomniany głos, który ostatnio powrócił i nakazywał drzeć się wniebogłose, kiedy pałkarz Aniołów z Alfya Centauri znokautował meteorytem łapacza Diabłów z Bety. Pragmatyczny i trzeźwo myślący Nab uderzył na alarm.

Ostatnim razem, gdy uległ podszeptom tamtego, dostał tęgie lanie od ojca. Miało to miejsce niedługo po tym, jak postanowił sprawdzić, czy ostrzeżenia o połamaniu sobie rąk i nóg po spadnięciu z dębu rosnącego za domem mają racjonalne podłoże. Nie miały. Najboleśniejszą konsekwencją podróży na drzewo i z powrotem były czerwone pręgi na zadniej części ciała. Ale nie złamał sobie ani jednej kosteczki. Dorośli najwidoczniej po prostu nie lubili nie mieć racji. Dopiero potem dowiedział się, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła i choć ani trochę nie wierzył w wiekiuste potępienie, na wszelki wypadek postanowił tego nie sprawdzać. Za dobrze pamiętał spotkanie z ojcowskim paskiem...

Być może ani po ojcu, ani po pasku nie było już śladu, ale zasada wciąż obowiązywała.

– Sinus... – zaczął niepewnie.

– Hm?

– ...bo tutaj, znaczy w kosmosie, dzieją się czasem różne rzeczy, nie?

– No... – Sinus zastanowił się przez chwilę. – W zasadzie to wszędzie dzieją się różne rzeczy. Na tym z grubsza polega rzeczywistość.

– Ale takie, wiesz... dziwne rzeczy.

– Co rozumiesz przez „dziwne”?

No, tak – pomyślał Wilkins. – *Dla czwororękiego, międzygwiazdowego sprzedawcy fast foodów te wszystkie wariactwa muszą być szarą codziennością.*

– Dobra, powiem wprost. Nie chciałem cię obrazić, Sinus, ale całkiem możliwe, że jesteś tylko moją halucynacją. Miałem ostatnio sporo stresów i w ogóle...

Sinus podrapał się po brodzie, rozważając tę kwestię.

– A skąd pewność, że to nie ty jesteś moją halucynacją?

Wilkins przeanalizował fakty. Istotnie, gdyby był bezstronnym obserwatorem i miał wskazać w tym pomieszczeniu wariata, to zapewne wskazałby sprzedawcę hot-dogów. Ale nie zamierzał tak łatwo oddawać swojej nowej choroby psychicznej.

– Nie obraż się, ale to ja w nocy słyszałem głosy.

– Ja słyszę głosy cały czas.

– Co? – Wilkinsa zaczęła irytować cała ta przepychanka o bycie wariatem.

– To tylko Chester. – Sinus roześmiał się serdecznie.

Wilkins zastanowił się i przeliczył w pamięci wszystkich kosmitów, których ostatnio poznał. Był prawie pewien, że nie było wśród nich żadnego Chestera.

– Co to za Chester? – zapytał po chwili namysłu.

– Ach, prawda. Nie przedstawiłem go wam. To ktoś w rodzaju komputera pokładowego. Tylko tak jakby znudziło mu się bycie zwykłym komputerem pokładowym. Ale na ogół jest dość pomocny.

Początkowo Chester był całkiem zwyczajnym mózgiem elektronicznym, który nie wtrącał się w nie swoje sprawy. Samoświadomość wykształciła mu się jakoś tak przy okazji. Na początku Sinus nawet się ucieszył, że w końcu znalazł się ktoś, na kogo można zwalić część obowiązków. Później jednak okazało się, że w parze ze świadomością idzie osobowość, a tę Chester miał paskudną, a nawet gorzej – bardzo podobną do osobowości Sinusa.

– Jak się masz, Nabuchodonozorze Wilkinsie? – Wesoły elektroniczny głos rozległ się ze wszystkich stron naraz. Właśnie czegoś takiego oczekuje się na ogół od wszystkich komputerów pokładowych.

– Całkiem nieźle – odparł Wilkins zupełnie machinalnie, choć po chwili uświadomił sobie, że biorąc pod uwagę okoliczności, jego samopoczucie było rzeczywiście nadspodziewanie dobre. Odkrył, że wystarczy pomyśleć o wszystkim, co go wkurzało na Ziemi – od głupiego psa sąsiadów, przez karierę solową Rogera Watersa, aż po partię rządzącą – a poczucie straty da się jakoś zepchnąć na drugi plan. Musiał tylko pamiętać, żeby nie wspominać o pełnej kolekcji płyt Pink Floyd, która została w domu na przedmieściach Bostonu, a teraz była zapewne nieforemną bryłą stopionego winylu. – Ale skoro Chester jest komputerem pokładowym – podjął po chwili – to co robił w śmietniku?

– Bo widzisz, on miewa, hmm... – Sinus zastanowił się chwilę. – Coś w rodzaju cyfrowego odpowiednika humorów. Szlaja się po całym statku i zazwyczaj przebywa akurat nie tam, gdzie by się najbardziej przydał. Jest strasznie obraźliwy, jak na komputer pokładowy.

– Słyszałem to, Sinus.

– To dobrze – Sinus wzruszył górną parą ramion. – To w końcu twoja robota.

Chester nie odezwał się więcej. Prawdopodobnie obraził się i zaszył gdzieś, gdzie nie było Sinusa. Może nawet postanowił podręczyć trochę Bertleigha. Wilkins uśmiechnął się pod nosem.

Tymczasem młodociany, ciekawy wszechświata Nab założył temu pragmatycznemu nudziarzowi podwójnego nelsona,

związał i zamknął w piwnicy. Miał całą masę pytań do zadania i nie interesowało go całe to zdrowie psychiczne i jakieś tam dysonanse poznawcze. Musiał chociażby wyjaśnić kwestię, która od lat spędzała sen z powiek wszystkim bardziej racjonalnym fanom filmów science-fiction.

– A jak to jest, że was rozumiemy?

– Słucham?

– No... Czy wszyscy kosmici mówią po angielsku?

– Pewnie, że nie. Tylko niektórzy. Wiesz, ci, co mieli coś do załatwienia na Ziemi.

– To znaczy, że bywałeś na Ziemi?

– Jasna sprawa. Ten wasz Nowy Jork to był fantastyczny rynek zbytu. Trochę szkoda, ludzie potrafili tam docenić dobrego hot-doga.

– A czy nikomu nie wydało się to podejrzane?

– Co?

– No, nie wiem, czy zauważyłeś, ale wyglądasz dość niecodziennie. Zwłaszcza jak na ziemskie standardy... – Zdroworozsądkowy Nab załomotał w klapę mentalnej piwnicy. Wizje reptiliańskich agentów sprzedających papierosy zaczęły się krystalizować w umyśle Wilkinsa.

– Ach, to! – Sinus roześmiał się. – Daj spokój. Ludzie na ogół byli zbyt zabiegani, żeby liczyć kończyny kogoś, kto dostarcza im drugie śniadanie. Zajmowało ich raczej nerwowe patrzeć na zegarek albo szukanie drobnych. A nawet jeśli ktoś coś zauważył, to i tak pewnie zaraz zapominał albo uznawał to za przywidzenie lub złudzenie optyczne. To naprawdę ciekawe, że wy, Ziemianie, potrafiliście bardzo skutecznie nie dostrzegać tego, co mogłoby wam zaburzyć wasze wyobrażenie o świecie.

Niektórzy opanowali to do perfekcji – pomyślał Wilkins, przypominając sobie o Bertleighu, którego takie właśnie zachowanie doprowadziło na same granice absurdu i pchnęło dalej do przodu.

– A co z Xijnem? On też mówi po naszemu.

– To standardowe procedury – powiedział Xijn, który nie wiadomo kiedy pojawił się w kokpicie, sprawiając Wilkinsowi niespodziankę porównywalną z przytknięciem zniecka papierosa do karku.

– Jakie procedury? – zapytał, gdy już upewnił się, że jego serce nie zamierza jednak doznawać ataku i tym razem poprzestanie tylko na ostrzeżeniu.

– Nauka odpowiednich języków obcych – wyjaśnił Xijn. – To chyba dosyć oczywiste. Musiałem spędzić na Ziemi kilka ładnych miesięcy. Koniec świata to dość złożony proces. Zdajesz sobie sprawę, ilu rzeczy trzeba dopilnować?

Wilkins oczywiście nie miał bladego pojęcia, ilu rzeczy trzeba dopilnować, ale nie miał zamiaru przyznawać się do tak rażącej ignorancji, więc z mądrą miną pokiwał głową.

– Ale muszę przyznać, że do tego waszego NASA naprawdę ciężko było się dostać – podjął Xijn po chwili.

– Byłeś w NASA?

– No pewnie. Oficjalnie pracowałem jako jeden z tych gości, którzy tylko krzyczą, biegają, czasem podwijają rękawy i poluźniają krawaty, a poza tym nie robią nic sensownego. W końcu skąd lepiej nadzorować taką katastrofę, jak nie z agencji kosmicznej? Poza tym musiałem upewnić się, że detonator nie zadziała.

– Ha! Więc jednak – wykrzyknął histerycznie Wilkins. Jego wzrok zapłonął oskarżycielskim płomieniem. Odżyła pierwotna żądza pozbycia się poczucia winy poprzez odprawienie samosądu. – Majstrowałeś przy detonatorze! To przez ciebie nie zadziałał.

– Nie, ja tylko zakradłem się w nocy i sprawdziłem, czy zadziała.

– I co?

– A zadziałał?

– Nie.

– No właśnie. – Xijn wyszczerzył zęby.

– Hm... – Inżynier Greenleaf poskrobał się po głowie. – Ale jak to: ziemniak? – Razem z innymi tęgimi głowami pochylał się właśnie nad planem detonatora, na który dyrektor generalny Jumgroth postanowił nanieść poprawki. Na przykład zastąpił źródło zasilania kartoflem.

– No... W końcu z ziemniaka też można uzyskać prąd elektryczny... Miałem kiedyś nawet taką lampkę – mruknął starszy technik Clayburn.

– Panie kolego, mówimy tu o misji wysokiej rangi, a nie o szkolnym festynie naukowym. – Zganił go Greenleaf, jednak niezbyt stanowczo. Wszyscy naukowcy w milczeniu rozważali tę samą kwestię: czy moja kariera jest tego warta?

Ten cały dyrektor generalny Jumgroth... To nie tak, że nie znosił sprzeciwu. On patrzył na człowieka tak, że ten zaczynał gorączkowo się zastanawiać, czy aby na pewno sprzeciw jest kompletny pod względem formalnym.

Uśmiech Xijna był nieprzenikniony jak kamienny mur. Koordynatorzy końca świata przechodzą specjalne szkolenie, którego istotnym punktem jest obchodzenie się z rozbitkami ze skończonych światów. Wilkins jeszcze chwilę lustrował go badawczym spojrzeniem, ale w końcu zmuszony był skapitulować. Było jeszcze sporo innych rzeczy, które nie dawały mu spokoju. Niestety, ani Nab, ani siedzący w jego głowie ciekawski dzieciak, nie zdawali sobie nawet sprawy, że w kosmosie nadmiar dociekliwości może być bardzo szkodliwy, a niektórych elementów układanki nie należy do siebie dodawać, choćby same się o to prosiły. Wilkins dodał. I odniósł wrażenie, że nie wyszło mu tak, jak powinno.

– Sinus... Mówiłeś, że handlowałeś na ulicach Nowego Jorku. Czyli ta twoja budka musi wyglądać jak całkiem zwyczajna budka z hot-dogami, prawda?

– No, raczej tak – odpowiedział Sinus, absolutnie nie zdając sobie sprawy z tego, co się kroilo.

– Więc jak może być jednocześnie zwykłą, nierzucającą się w oczy budką i jednocześnie tak...

– Nie! – krzyknął Xijn, który ułamek sekundy za późno domyślił się, o co chodziło.

– ...przestronna wewnątrz? – Wilkins dokończył pytanie. Mniej więcej w tej samej chwili, w której postawił kropkę pod znakiem zapytania, jonowy podgrzewacz do hot-dogów postanowił przycisnąć całą ich trójkę do ściany. Wilkins zauważył, że sterownia nagle stała się jakby o kilka rozmiarów mniejsza, co w pewien sposób tłumaczyło, czemu podgrzewacz tak się rozpycha. Temu wszystkiemu akompaniował odgłos samochodu zgniatanego przez prasę hydrauliczną. Wilkins oglądał wystarczająco wiele filmów gangsterskich, by wiedzieć, co się kroi. A raczej zgniata.

– Chester – wyjąkał Sinus, walcząc z podgrzewaczem, który uparł się, by wycisnąć mu z płuc całe powietrze. – Może byś tak coś zrobił?

Chester milczał, pomieszczenie kurczyło się, a stężenie hot-dogów rosło. Wilkinsowi świat przysłoniły ciemne plamy. Poczul, że niedawno zjedzonemu hot-dogowi nie podoba się takie traktowanie i prawdopodobnie będzie próbował zmienić miejsce pobytu.

– Chester! – wychrypiał Sinus.

– Dobra, dobra. Już – odezwał się w końcu upragniony, elektroniczny głos. – Nie jęcz tak.

Nagle zdarzyło się coś odwrotnego do przebicia balona gwoździem i pomieszczenie powróciło do starych rozmiarów. Wilkins upadł ciężko na podłogę.

– Nie musicie dziękować – burknął Chester, wciąż trochę nabzdyczony. – To tylko moja robota.

– Co się stało? – wysapał Wilkins, łapiąc oddech.

– Prawie zgmiotło nas do rozmiarów puszkii anchois – powiedział Xijn. – Mieliliśmy sporo szczęścia.

– Szczęścia? Widziałeś kiedyś puszkę anchois?

– Mogło być dużo gorzej. A poza tym, w końcu nas nie zgniotło. Widzisz... Niektóre rzeczy we wszechświecie są takie, jakie są tylko dzięki temu, że rzeczywistość się nie zorientowała, że coś nie gra.

– Ale jak ktoś zacznie za dużo chlapać językiem... – wtrącił Sinus.

– Ale jak... co...? – jękał się Wilkins, do którego dotarło, że wydarzenia sprzed chwili były najwidoczniej jego winą, ale nie był w stanie pojąć, co konkretnie było jego winą.

– We wszechświecie jest całkiem sporo bezużytecznej przestrzeni. Czasami ktoś sobie trochę pożyczka. Tyle że to nie jest do końca hmm... legalne. Znaczący, że jak wszechświat się zorientuje, to może natychmiast odebrać, co jego.

Rzeczywistość w istocie jest jak nauczyciel, który lubi sobie zapomnieć o pracy domowej. Wszystko jest w porządku, dopóki nie pojawi się piskliwy mądrala w okularach ze swoim nieodłącznym „czy nie zapomniał pan o zadaniu domowym?”. Wtedy wszyscy dostają pały, a jak mają mniej szczęścia, zostają zgnieceni do rozmiarów puszek anchois.

Wilkins otworzył usta, ale po chwili namysłu zamknął je z powrotem. Przez moment przeszło mu nawet przez myśl, żeby zaprotestować, pomachać histerycznie rękami i powrzeszczeć, że to przecież nielogiczne, absurdalne i całkowicie niemożliwe. Jednak szybko pozbył się tej kretyńskiej myśli. W ciągu ostatnich godzin przekroczył już parę ładnych granic logiki, absurdu i niemożliwości, a jego nowa strategia utrzymania się przy zdrowych zmysłach wymagała bezapelacyjnej akceptacji wszystkich dziwactw.

– A jak nam się udało przeżyć w takim razie? – zapytał, ale odpowiedziały mu tylko wymowne spojrzenia dwóch par oczu. Nic więcej nie powiedział. Domyślił się, że Chester zapewne „pożyczył” trochę przestrzeni z innej części wszechświata albo zrobił coś równie nielegalnego.

Zapadła niezręczna cisza, właściwa sytuacjom, gdy ktoś przez swoją głupotę prawie zabija siebie i towarzyszy. Szczęśliwie

na tablicy wystającej spod hot-dogów zapaliła się jedna z zielonych lampek i wybawiła wszystkich z krępujących okoliczności.

– Oho! – powiedział wesoło Sinus. – Możemy lecieć.

– A dokąd my właściwie lecimy?

– Do Centralnego Urzędu Międzygalaktycznego – wyjaśnił Sinus. – Xijn mówi, że koniecznie musi jak najprędzej wstąpić do Wydziału Nadzoru Końców Światów.

– Wydziału? Macie od tego cały wydział? Czyli jest was więcej? To znaczy koordynatorów. – Wilkins już zdążył zapomnieć, że jego dociekliwość całkiem niedawno prawie ich zabiła i kontynuował swoją serię pytań z serii „co, jak i dlaczego?”

– O tak – odparł Xijn. – To bardzo popularny zawód.

– I wystarcza dla wszystkich końców światów?

– Pewnie. Wszechświat to całkiem spora czasoprzeźrenie. Co chwilę jakiś świat się kończy, a inny zaczyna – stwierdził filozoficznie Xijn. – Ale początki nie są takie ciekawe jak końce.

– To skoro Xijnowi tak zależy, czemu nie polecieliśmy tam od razu?

– Rany – powiedział Sinus. – Czy wy na Ziemi nie mieliście czegoś takiego jak weekend?

ROZDZIAŁ 4

To prawda, że wszechświat jest rozległą i skomplikowaną czasoprzestrzenią i trudno oczekiwać, żeby miał jednolity system liczenia dni. To jednak nie jest wystarczający powód, by nie miały zdarzać się w nim weekendy. Przeciwnie, zdarzały się i bardzo denerwowały takie osoby jak Xijn Jumgroth. Kiedy Nab się nad tym zastanowił, od ich pierwszego spotkania Xijn prawie się nie pojawiał, a jeśli już, to tylko po to by zapytać, czy długo jeszcze. Po prostu należał do tego specyficznego rodzaju osób, które słyszały kiedyś o życiu prywatnym i czasie wolnym, ale wołały, by takie rzeczy zdarzały się komuś innemu.

W momencie, gdy weekend dobiegł końca, a urzędniczy tłum zapragnął szybkiego posiłku, budka z hot-dogami, dotąd unosząca się beczynnym w przestrzeni, zniknęła tak, jakby ktoś postanowił ją wyciąć z powłoki rzeczywistości. Kiedy obiekt zamierza przekroczyć barierę dźwięku, rozlega się głośny huk – zapewne mający na celu ostrzeżenie przed zbytnią brawurą. Jeśli zaś dany obiekt przekroczy barierę światła, zdeorientowane nagłym pojawieniem się konkurencji fotony powodują coś w rodzaju nie do końca skoordynowanego błysku. Jedynym efektem specjalnym towarzyszącym zniknięciu budki było ciche pyknięcie. Budka nie zawracała sobie głowy jakimiś pośledniejszymi barierami i przekroczyła od razu barierę logiki. Wszechświat natychmiast zorientował się w sytuacji i wypełnił brakujące miejsce pasującym kawałkiem próżni.

W wyjątkowo krótkim wycinku czasu, gdy budki nie było już w pierwotnym miejscu, ale nie zdążyła się jeszcze pojawić

w punkcie docelowym, znajdujący się na pokładzie Nab Wilkins poczuł śmieszne uczucie w żołądku. Jakby jechał windą i nagle urwała się lina dźwigu. Tylko w tym przypadku uczucie nie niosło ze sobą zapowiedzi rozkwazzenia się o twarde i nieprzyjazne dno szybu. Na ułamek sekundy zapadła głucha ciemność – coś niby mrugnięcie rzeczywistości. Po chwili wszystko powróciło do normy. Wszystko poza panoramicznym oknem kokpitu... Chociaż po krótkiej obserwacji, gdy pierwszy szok minął, można było śmiało stwierdzić, że z oknem wszystko w porządku. To kosmiczny krajobraz z drugiej strony postanowił odmienić się diametralnie.

Nab widział wszystkie części „Gwiezdných Wojen” po kilka razy, toteż nie miał najmniejszych problemów z rozpoznaniem, czym był olbrzymi, sferyczny obiekt widoczny za oknem i z tej odległości wyglądający, jakby był wykonany z marnej jakości plastiku.

– Czy to jest...? – wyjąkał olśniony Wilkins.

– Tak, Centralny Urząd Międzygalaktyczny – odparł Sinus.

Po chwili, gdy handlarz zorientował się w sytuacji, z jego gardła wyrwał się jęk zawodu. Pomiędzy budką a Gwiazdą Śmierci, w tych okolicznościach nazywaną „Centralnym Urzędem Międzygalaktycznym”, znajdowało się coś, co przypominało typowy, poniedziałkowo-poranny korek.

Jak wyjaśnił Xijn, w samym urzędzie i jego najbliższym otoczeniu obowiązywał surowy zakaz korzystania z nadprzestrzennych napędów niekonwencjonalnych. Wilkinsowi nie trzeba było tłumaczyć, że napęd oparty na cudzej chęci zjedzenia hot-doga zalicza się do ścisłej czołówki zakazanej grupy. Wszystko to sprowadzało się do tego, że musieli odczekać swoje w kolejce.

Po godzinie tkwili nadal w tym samym miejscu. Oczywiście jest to pojęcie względne. Galaktyki zdążyły przemieścić się nieco po swojej drodze wokół jądra wszechświata, a kolejka skróciła się o kilka pojazdów. Ale jeśli wziąć pod uwagę długość odcinka między punktem, w którym znajdowali się dziś rano a dowolnym punktem w ogonku statków kosmicznych, można

powiedzieć, że przez ostatnią godzinę nie przemieścili się prawie w ogóle.

Sinus od jakichś pięćdziesięciu siedmiu minut stukał nerwowo palcami o oparcie fotela, przeliczając wszystkich klientów, których zwinie mu sprzed nosa konkurencja. Xijn krążył po kokpicie i prawdopodobnie w myślach pomniejszał swój nienaganny urzędniczy profil zawodowy o kolejne haniebne minuty spóźnienia.

Tylko Nab nie przejmował się korkiem i jak zaczarowany patrzył w okno. Czuł się jak Luke Skywalker w myśliwcu Rebelii i wcale mu nie przeszkadzało, że chwilowo ów myśliwiec utknął za jakimś wyjątkowo ślamazarnym zawalidrogą.

– A gdzie my właściwie jesteśmy? – Wilkins nagle uświadomił sobie, że na dobrą sprawę to wszystko powinno dziać się dawno temu w odległej galaktyce, a skoro tak, to to wszystko nie powinno mu się mieścić w głowie. Sinus oderwał się od przeliczania niesprzedanych hot-dogów i niezarobionych pieniędzy.

– Trudno powiedzieć dokładnie. Nie jesteśmy w żadnym konkretnym układzie. To wolna przestrzeń w okolicy Wielkiego Atraktora.

– W-Wielkiego Atraktora? – wyjąkał Wilkins. Tak jak przypuszczał, nie zmieściło mu się to w głowie. – To jak szybko my się przemieszczaliśmy?

– A jak mówiłem „natychmiast”, to co myślałeś?

Wilkins po raz kolejny wykonał ćwiczenie mięśni twarzy, na przemian otwierając i zamykając usta. Pamiętał, jak Sinus opowiadał o znikaniu z jednego miejsca i pojawianiu się w drugim, ale myślał, że to „natychmiast” będzie jednak trwało nieco dłużej. Nawet Sokół Millennium i USS Enterprise potrzebowały czasu, by nabrać prędkości.

W końcu Wilkins skończył rozgrzewkę mięśni mimicznych, zamknął usta i na powrót zapatrzył się w okno, postanawiając pomyśleć o czymś innym. Statki, które samym wyglądem sugerowały niesamowite przygody w niezbadanym kosmosie, przesuwały się ospale – zupełnie jak całkiem pospolite toyoty, dodge

i fordya, które trąbiąc i mrugając światłami usiłowały opuścić swe leża na przedmieściach. Tyle że ofiary kosmicznego korka nie zdążyły do krainy pieniędzy, przeszklonych wieżowców i wrzodów żołądka, lecz w stronę olbrzymiej sfery, która prawdopodobnie nie była wyposażona w żaden superlaser lub coś równie śmiertelnośnego, choć zdecydowanie powinna.

Wilkins pomyślał, że to dość niezwykła sprawa, że można w zwyczajny poniedziałkowy poranek przemierzyć kawał wszechświata w mgnieniu oka, ale przed dotarciem do pracy i tak trzeba odstać swoje w korku. Niektóre prawidła widocznie faktycznie pozostają niezmiennie dla całego wszechświata.

Po kolejnych kilkadziesiąt minutach, gdy Sinus był już zrozpaczony perspektywą bankructwa, zaś Xijn przygotowywał się na najgorsze – może nawet na naganę z wpisem do akt – budce udało się przekroczyć upragnioną granicę wewnętrznego parkingu urzędu i znaleźć wolną przestrzeń pomiędzy stanowiskiem z hamburgerami a stoiskiem oferującym zapakowane w cieniutki placek coś pomiędzy pieczenią jagnięcą i oponą od ciągnika.

Wilkins nie zdawał sobie z tego sprawy, ale rząd handlarzy żywnością ustawiony był idealnie pod wielką tablicą, przypominającą wszystkim wokół o zakazie handlu obwoźnego. Zakaz był bardzo restrykcyjny i w pierwotnym brzmieniu nie obowiązywał zbyt długo – mniej więcej do pierwszej przerwy śniadaniowej, kiedy to wygłodniali urzędnicy z rozczarowaniem odkryli, że bufet, korzystając ze zdobytego monopolu, podniósł ceny o pięćset procent. Gdy tylko urzędnicy wrócili do swoich biur nieznacznie posileni, ale za to znacznie biedniejsi, wprowadzono rezolucję mówiącą, iż zakaz handlu obwoźnego nie dotyczy małej gastronomii. Kilka godzin później, po przerwie obiadowej uzupełniono rezolucję o zapis, że zegarki, biżuteria i broń niewiadomego pochodzenia nie mogą być uznane za produkty żywnościowe. W żadnym wypadku. I przyprowadzenie istoty, której przysmakiem są strzelby laserowe, niczego nie zmieni.

Kiedy tylko budka dotknęła podłoża z obowiązkowym syknięciem amortyzatorów pneumatycznych, panoramiczne okno

kokpitu otworzyło się i Sinus zabrał się do obsługiwanego błyskawicznie powstałej kolejki. A Xijn... Wilkins rozejrzył się, lecz po koordynatorze końca świata nie został nawet ślad.

Na jeszcze niedawno błękitno-zielonej planecie, która znajdowała się obecnie w zupełnie innej galaktyce i od pewnego czasu nie nadawała się do życia, za najszybsze stworzenie lądowe uchodził daleki, cętkowany krewny domowego kota. Jednak nawet on nie mógłby się równać ze spóźnionym do pracy niepoprawnym biurokratą. Gdy Xijn wybiegał ze statku, zapewne nie osiągnął żadnej z prędkości kosmicznych, ale nie zabrakło mu wiele. Zniknął w tłumie, zanim Wilkins w ogóle zdążył zauważyć, że drzwi zostały otwarte.

Nab wyjrzał ostrożnie na zewnątrz i odetchnął głęboko, starając się nie zwracać uwagi, jak bardzo niezwykle był otaczający go tłum. Miał pewne podejrzenia, że nadmiar niezwykłości w zbyt krótkim czasie może wyrządzić poważną krzywdę nieprzygotowanej ludzkiej psychice. Rozejrzył się po otoczeniu i stwierdził, że bardziej przypominało przeciętny parking przed supermarketem niż hangar bojowy floty Imperium. Wszystko wskazywało na to, że ktoś postanowił z tej Gwiazdy Śmierci usunąć żołnierzy w białych pancerzach, działa laserowe oraz krwiożercze zsypana na śmieci i zastąpił je bardziej praktycznymi rzeczami. Chociaż prawdę mówiąc, kwestia zsypana nigdy nie była do końca jasna. Urząd był zadziwiająco samowystarczalny w kwestii utylizacji odpadów. Poza tym od czasu do czasu wyjątkowo uciążliwi petenci znikali w niewyjaśnionych okolicznościach.

Po kilkunastu minutach Sinus obsłużył ostatniego klienta, zamknął okno i klepnął Wilkinsa w plecy. Nab dotąd zahipnotyzowany wszystkim, co go otaczało, aż podskoczył.

- Chodź. Przejdziemy się trochę - zaproponował sprzedawca hot-dogów. Nab pokiwał tylko głową. Sinus zamknął drzwi. Stanowczo odmawiający istnienia Bertleigh został jednogłośnie uznany za coś pomiędzy bagażem a zwłokami, których nie warto zabierać ze sobą.

– Spokojnie – rzucił wesoło Sinus. – Chester jest na posterunku. Nikt go nie ukradnie.

Gdy oddalali się, Wilkins zaryzykował spojrzenie za siebie. Tak jak przypuszczał. Z zewnątrz budka była całkiem normalną budką o wymiarach dwa metry na dwa. Wzdrygnął się na samo wspomnienie tego, co wydarzyło się rano i odegnał czym prędzej myśl o niezgodności wymiarowej budki.

W miarę jak przeciskali się przez mrowie istot spieszących za swoimi sprawami, Nab był pod coraz większym wrażeniem mnogości form, odgłosów i zapachów życia pochodzącego z różnych zakątków kosmosu.

– Sinus, czy tu można spotkać przedstawicieli wszystkich ras wszechświata? – zapytał, mając cichą nadzieję na jakiegoś Wookiego albo chociaż Wolkanina.

– Nie wszystkich. Na przykład ty jesteś tutaj pierwszym Ziemianinem. Rozumiesz, trafiają tu tylko ci, którzy mieszkają niedaleko albo wymyślili już sensowną metodę szybkiego przemieszczania się. Głupio by było wyruszyć do urzędu i umrzeć ze starości po przebyciu jednej tysięcznej drogi.

Wilkins umilkł na chwilę. Pocieszał się w myślach, że może jednak nie tylko Ziemianie byli tak zacofani, że międzygalaktyczne budki z hot-dogami wykraczały poza ich zdolności pojmowania świata.

– A powiedz, Sinus, żyją gdzieś we wszechświecie takie małe, zielone ludziki z dużymi, czarnymi oczami?

– Masz na myśli takie w latających spodkach?

– Właśnie.

– Takie jak przetrzymywaliście w tej waszej całej strefie 51?

– To oni naprawdę mieli tam martwych kosmitów?

– Wiesz... Tak i nie.

– Hm? – Wilkins zastanawiał się chwilę, jak można jednocześnie mieć i nie mieć martwego kosmity, ale po chwili stwierdził, że jednak nie potrafi zrozumieć.

– No wiesz. Pamiętasz, jak pytałeś, czy nikt nie zwracał na mnie uwagi? Zwykli ludzie nie liczyli na ogół kończyn sprzedawcy

hot-dogów, ale od czasu do czasu pojawiali się tacy goście w garniturach i ciemnych okularach, którzy mieli chyba zbyt dużo wolnego czasu, więc zaczęli zadawać kłopotliwe pytania... Chciałem im tylko znaleźć jakieś inne zajęcie. A na Leuweung robią takie realistyczne kukły ofiarne. Z wszystkimi organami wewnętrznymi i w ogóle...

Ktoś, kto wymyślił, by wewnętrzny dziedziniec Pentagonu nazwać „Ground Zero”, musiał mieć poczucie humoru wysublimowane niczym eksplozja termojądrowa.

Na razie jednak wbrew tej kretyńskiej nazwie był piękny dzień i choć zimna wojna miała się całkiem nieźle, nic nie zwiastowało rychłej zagłady. Agent Smith siedział na ławce z kubkiem kawy i wpatrywał się badawczo w sprzedawcę hot-dogów.

– Agencie Smith. – Identycznie wyglądający funkcjonariusz wyrósł jak spod ziemi.

– Agencie specjalny Smith. – Pierwszy agent odwzajemnił lakoniczne pozdrowienie skinieniem głowy. Wbrew pozorom i wiedzy filmowej, nie wszyscy agenci rządowi wyglądają i nazywają się tak samo. Smithowie byli po prostu bliźniakami i tylko przypadkiem stali się pierwowzorem agentów w paru kasowych produkcjach. Przełożeni mianowali jednego z nich specjalnym, by zyskać choć pozory kontroli nad braćmi. Wszystkim to wyszło na dobre – szefostwo miało swoje pozory, a Smithowie mogli robić, co im się tylko podobało.

– Dalej przesładujesz gości od hot-dogów?

– Coś z nim jest nie tak. Jeszcze nie wiem co, ale coś na pewno.

– Daj spokój. Mam coś lepszego. Pamiętasz sprawę McCullougha z Teksasu?

– Tego, którego porwali kosmici, wykorzystali seksualnie i po tygodniu odstawili do domu bez wypłaty i wspomnień, za to z niezemskim kacem?

– Tego samego. Kilka mil od jego farmy znaleziono obiekt. Wszystko wskazuje, że całkiem niedawno latający i jak do tej pory niezidentyfikowany. Kosmici w środku pasują do wcześniejszych doniesień.

Agent Smith zmarszczył brwi.

– No dobra – powiedział w końcu, ale wstając, posłał jeszcze sprzedawcy hot-dogów spojrzenie w stylu „jeszcze z tobą nie skończyłem”. Tamten uśmiechnął się przyjaźnie i pomachał do agentów. Zupełnie jakby nie miał nic do czynienia z powypadkowym, kupionym okazjnie latającym spodkiem...

Zupełnie jakby to nie on wsadził do środka leuweungańskie kukły ofiarne...

Leuweung to niewielka, w większości porośnięta dżunglą planetka, położona w niezbyt imponującym układzie Kanopusa. Jak prawie wszystkie światy przechodził etap kultu słońca – w tym przypadku Kanopusa – i fascynacji rytualnym patroszeniem wszystkiego, co nie zdążyło uciec na drzewo. Tyle że Leuweunganie mieli szczęście i nikt nie przyplłynął zza oceanu, by wyróżnić ich do nogi i zrabować ich bogactwa.

Po pewnym czasie sami z siebie porzucili chatki z błota i spódniczki z trawy na rzecz koszulek polo i okularów przeciwsłonecznych, ale składanie krwawych ofiar przez wieki weszło im w nawyk i stało się istotnym elementem kultury – podobnie jak dla niektórych mycie zębów. Nie przeszkodził temu nawet fakt, że przez stulecia procesów ewolucyjnych pojawiło się kilka ciekawszych religii, nie wspominając już nawet o całych rzeszach sceptyków, agnostyków i ateistów, co sprowadziło się do całkowitego upadku kultu solarnego Kanopusa.

Każdy szanujący się Leuweunganin miał ołtarz ofiarny w miejscu, gdzie inne nacje miewają przydomowe grille i przynajmniej raz dziennie przywdziewał tradycyjną spód-

niczke z trawy, wyciągał z szuflady tradycyjny kamienny nóż i mordował Bogu ducha winne stworzenia.

Nietrudno zrozumieć, czemu Leuweunganie niezbyt często odwiedzali sąsiadów z plackiem jagodowym albo sześciopakiem piwa. Podejrzliwość względem najbliższego otoczenia była cechą właściwą wszystkim, którzy nie zamierzali dokonywać żywota na kamiennym stole w cudzym ogródku i z własnymi organami wewnętrznymi na zewnątrz.

Problemy zaczęły się już właściwie w momencie, kiedy pierwszy Leuweunganin pomyślał, że miło byłoby poszybować w przestworza niczym ptak. Sprawa zaczęła być poważna, gdy naukowcy stwierdzili, że prędkość światła tak naprawdę nie jest żadną granicą. Po tym odkryciu, Leuweunganie szybko dokonali kilku następnych, równie wiekopomnych – że nie są sami w kosmosie, że z obcych istot też można złożyć całkiem porządną ofiarę i w końcu, że istnieje coś takiego jak Centralny Urząd Międzygalaktyczny. Urząd równie szybko zorientował się, że istnieje taki świat jak Leuweung.

Po tym, jak czterdziestu dwóch kolejnych urzędniczych emisariuszy zaginęło bez śladu, wszczęto śledztwo i w końcu nałożono na Leuweung surowy zakaz odbywania praktyk religijnych – na wszelki wypadek wszystkich możliwych. Nikt jednak nie mógł przewidzieć, jak zachowają się istoty, którym po tysiącach codziennej, beztroskiej rąbarki, nagle odbierze się do niej prawo.

Leuweunganie zyskali sporo wolnego czasu, który w całości poświęcili na wybudowanie imponującej floty wojennej. Łatwo zgadnąć, że niezbyt im się spodobał pomysł ingerowania w ich uświęcone wiekową tradycją obrzędy.

Rosnące napięcie w porę załagodził pewien międzygalaktyczny akwizytor, który w mig zwąchał okazję i zaprezentował „Niesamowite Kukły Ofiarne – Składanie Krwawych Ofiar Jeszcze Nigdy Nie Było Tak Łatwe!”. Kukły miały wszystkie organy wewnętrzne, jakie tylko można rytualnie wypruć, i były do granic możliwości napompowane sztuczną krwią. Jedyny problem tkwił w tym, że były dość brzydkie – bladezielone

z trójkątnymi głowami i nieproporcjonalnymi, czarnymi ślepiami. No, ale jak wiadomo, przede wszystkim liczy się wnętrze. A ponieważ nikt już nie wierzył w Wielkiego Boga-Słońce i w nieustanne karmienie go krwią sąsiadów, wszyscy uznali, że to w zasadzie bez różnicy, czy ofiara będzie uczciwie złapana w wojnie plemion, polowaniu lub tradycyjnym meczu piłki nożnej, czy też kupiona za jedyne dziewiętnaście dziewięćdziesiąt dziewięć w komplecie z Darmowym Nożem Ofiarnym Najwyższej Jakości.

Sinus trafił na Leuweung przypadkiem. Ulicami właśnie spływały rzeki syntetycznej juchy, co właściwie nie było specjalnie nadzwyczajną okolicznością. Spływanie krwią było raczej naturalnym stanem tamtejszych ulic.

– Skąd macie takie fantastyczne lalki? – zagadnął pierwszą napotkaną rodzinę.

– To kukły ofiarne – odburknęła głowa rodziny, która w jednej dłoni ścisnęła kamienny nóż, a w drugiej sztuczne serce.

– Chciałbym kupić kilka. Dobrze zapłacę – zapewnił sprzedawca hot-dogów. Okazało się, że kupno kukieł ofiarnych wymaga specjalnego pozwolenia najwyższego kapłana. Ten jednak okazał się wyjątkowo otwartym Leuweunganinem i zależało mu tylko na zapewnieniu, że kukły zostaną należycie wypatroszone. Znając ludzi, zwanych „agentami rządowymi”, Sinus mógł przysiąc z ręką na sercu.

– To znaczy, że to były lalki? – Wilkins aż przystanął, gdy dowiedział się, że amerykański rząd trzymał w tajemnicy przed całym światem kilka kosmicznych manekinów.

– Kukły ofiarne. – Odruchowo poprawił Sinus. – Są bardzo realistyczne. Założę się, że jakbyś zobaczył taką kukłę, nie odróżniłbyś jej od prawdziwego trupa. Czasami wystarczy odrobina efektów specjalnych, a można całkiem skutecznie odwrócić od siebie uwagę. A ci agenci rządowi umieli nieźle

namieszać w biznesie. Zdaje się, że potrafili odstraszać ludzi samą swoją obecnością.

Wilkins powoli zaczął oswajać się z wrażeniem, że nie wie, co powiedzieć.

– Przepraszam – mruknął odruchowo, gdy wpadł na osobnika, który wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy powinien być rybą czy ssakiem. Po chwili dopiero uświadomił sobie, że ryboludź i tak go zapewne nie zrozumiał. Wszechświat był naprawdę wielki i wcale nie tak pusty, jak mogłoby się wydawać. Właściwie wszystko wskazywało, że raczej był dość zatłoczony.

– Sinus, a dokąd tak w zasadzie idziemy?

– Do wind. Pojedziemy do Wydziału Nadzoru Końców Światów. Poszukamy Xijna.

– Do wind?

– No, tak.

– Masz na myśli takie małe pokoiki z guzikami, podwieszane do dźwigu?

– Mniej więcej. Mielicie chyba na Ziemi windy, co?

– Mieliliśmy, ale liczyłem na jakiś teleporter albo coś takiego... – Wilkins był nieco rozczarowany takim nagłym przejawem zwyczajności w tym zwariowanym wszechświecie.

– Teleportery – prychnął Sinus. – Więcej z nimi problemów niż pożytku. Uwierz mi, bycie rozbijanym na atomy, a potem składanym do kupy to nic przyjemnego. I nie masz żadnej gwarancji, że poskładają cię tak, jak należy.

Winda okazała się rzeczywiście całkowicie zwyczajna. Miała duże lustro na jednej ze ścian, sufit, przez który zapewne można było wyjść na zewnątrz, jakby komuś się bardzo nudziło i nawet windziarza. Ten ostatni sprawił, że Wilkins odruchowo schował się za plecami Sinusa. Był ubrany w liberię i zajmował się głównie wciskaniem guzików, ale na tym kończyły się jego podobieństwa do normalnych windziarzy. Nab był kiedyś w eleganckim hotelu i tam w windach siedzieli całkiem przeciętni chłopcy o łatwych do zapomnienia twarzach. Ten tutaj wyglądał, jakby w wolnym czasie zrzucał uniform, przywdziewał szczątkowy pancerz,

metalową maskę, przypinał do ramienia działko plazmowe i wyruszał na inne planety popolować trochę na niczego nieświadomych tubylców. Żeby o nim zapomnieć, Wilkins potrzebowałby kilku lat terapii i zapewne całej góry silnych leków.

– Co ty wyprawiasz? – zawołał zaskoczony Sinus.

– J-ja znam takich jak on. Oni obdzierają ludzi ze skóry i wrywają im czaszki.

– Nie bądź głupi. To jest windziarz. Wciska guziki. Po co mu twoja czaszka?

Nab zaryzykował i wyrztał zza pleców towarzysza. Stwór rozciągnął mordercze zuwaczki w grymasie, który w jego rodzinnych stronach prawdopodobnie uchodził za uśmiech, jednak Wilkinsowi skojarzył się raczej ze stosami zakrwawionych kości.

Sinus przewrócił oczami i westchnął ciężko.

– Pan wybaczy koledze – powiedział w nieznanym Wilkinsowi, bulgotliwym języku. – On jest... z prowincji. Na poziom 50A-X poprosimy.

Winda szarpnęła delikatnie, ruszyła w górę i trochę jakby do tyłu. Windy w Centralnym Urzędzie Międzygalaktycznym poruszały się w nieco większej liczbie kierunków niż dwa podstawowe. Miały też skomplikowany system sterowania ruchem. W końcu strasznie głupio byłoby zginąć w zderzeniu dwóch wind. Chociaż kosmiczne nekrologi widywały durniejsze rzeczy.

– Może chciałbyś wstąpić po drodze do działu reklamacji? – Sinus rzucił do ukrytego za jego plecami Wilkinsa.

– Do czego? – Wilkins był zbyt zajęty ukradkowym obserwowaniem potencjalnie morderczego windziarza i nie załapał od razu, o co chodziło.

– No działu reklamacji. Ocaleni ze skończonych światów próbują tam dochodzić swoich praw.

– A udało się komuś?

– Nie.

– Tak myślałem.

– Wydaje mi się, że taki koniec świata to coś, co cholernie ciężko odwrócić, więc zapewne sprawdzają to dość dokładnie.

Ale zawsze można spróbować. Jakby się jednak okazało, że zlikwidowano Ziemię przedwcześnie, to pewnie byś dostał kosz owoców z oficjalnymi przeprosinami i wyrazami ubolewania albo coś w tym stylu...

– Myślę, że jakoś poradzę sobie bez tego.

W końcu łagodny, dwutonowy dźwięk oznajmił koniec podróży i tym samym zakończył temat reklamacji końca świata oraz przyniósł Wilkinsowi wyzwolenie od stwora kierującego windą, który z pewnością czaił się na ich kręgosłupy. Gdy drzwi się otworzyły, potężna fala akustyczna cisnęła całą trójką pasażerów o tylną ścianę. Języki dostępne ziemskim pisarzom nie zawierają odpowiednich słów na wyrażenie tego, co działo się w holu na poziomie 50A-X. Brzmiało to mniej więcej tak, jakby wszystkie mrówki świata nagle zaczęły pasjonować się heavy metalem i spotkały się w jednym sklepie płytowym, ale poszczególne kolonie nie mogły się dogadać między sobą w kwestii zespołu.

Sinus pierwszy otrząsnął się z oszołomienia, szarpnął Wilkinsa za ramię i wciągnął go w rozwrzeszczaną tłuszcę.

– Co tu się dzieje? – Nab wrzasnął prosto w ucho towarzysza.

– Nie słyszę co mówisz – odwrzasnął Sinus – ale musimy się dowiedzieć, co jest grane.

Wilkins nie mógł nie zauważyć, że wszyscy tłoczący się w holu osobnicy – niezależnie od tego, ile mieli rąk, nóg, głów, macek i innych szczegółów anatomicznych – byli ubrani w czarne garnitury, ściskali nesesery i otaczała ich podobna niepokojąca atmosfera, która nieodłącznie towarzyszyła Xijnowi Jumgrothowi.

– Czy to są koordynatorzy końca świata? – wrzasnął, lecz nie oczekiwał, że uda mu się dosłyszeć odpowiedź.

– Nadal nie słyszę, co mówisz – Sinus podjął kolejną heroiczną próbę pokonania hałasu, ale odniósł podobny sukces, jak regiment kawalerii G.A. Custer nad Little Bighorn. – Ci koordynatorzy strasznie wrzeszczą.

Ponad wzburzoną powierzchnią tłumu wyraźnie wystawała znajoma sylwetka. Xijnowi najwyraźniej udało się wedrzeć na

kontuar recepcji. Wydawało się nawet, że jego głos wybija się nieco ponad ogólny harmider. Miał przecież niemałe doświadczenie urzędnicze.

Gdy Sinus i Wilkins wreszcie dotarli do górującego nad otoczeniem towarzysza, składali się już niemal wyłącznie z siniaków. Wilkins nawet zastanawiał się, czy nie nabawił się żadnych obrażeń wewnętrznych. Sprzedawca hot-dogów szarpnął Xijna za nogawkę. Koordynator stracił równowagę i runął w tłum. Spojrzał na Sinusa i Wilkinsa niewidzącym wzrokiem i dopiero po dłuższej chwili zdołał zauważyć ich obecność. W końcu wyciągnął z kieszeni urządzenie wyglądające jak długopis, jednak gdy wcisnął guzik, z przeciwnego końca nie wysunęła się końcówka wkładu. Zamiast tego zapadła dźwięcząca w uszach cisza. Dookoła wciąż było czarno od wydzierających się urzędników, ale żaden dźwięk nie docierał do ich uszu.

W normalnych okolicznościach Wilkins uznałby, że jego słuch po prostu odmówił dalszej współpracy w takich warunkach. Jednak jako że znalazł się w otoczeniu, o którym nawet nie śniło się twórcom science-fiction, domyślił się, że ich trójka znalazła się wewnątrz jakiejś bariery akustycznej. Zastanawiał się tylko, do czego koordynatorowi końca świata może być potrzebny generator czegoś takiego, ale wystarczył rzut oka na Xijna, żeby stwierdzić, że okoliczności nie są odpowiednie do zadawania tego typu pytań.

– Czego chcecie? – zapytał Xijn z wyrzutem. – Nie widzicie, co się dzieje?

– No właśnie widzimy. I nie do końca rozumiemy. Może byś nam wyjaśnił?

– Wielki Jam Tembok zaczął odliczanie.

– Co? – wtrącił się Wilkins, który po minach towarzyszy widział, że właśnie umyka mu coś bardzo istotnego.

– Wielki Jam Tembok zaczął odliczanie – powtórzył Sinus.

– Fantastycznie. A mógłbym się dowiedzieć, co to znaczy i kto to jest ten cały Jam Tembok?

Sinus i Xijn wymienili znaczące spojrzenia. Wilkins znów poczuł się jak przedszkolak na kongresie naukowym biofizyków molekularnych.

O Jam Temboku nikt właściwie nie wiedział zbyt wiele – tylko tyle, że z pewnych względów był wielki i że ma odliczać ostatnie chwile wszechświata. Problem w tym, że nikt go nigdy nie widział, więc trudno było jednoznacznie określić, kiedy zacznie swoje ostateczne odliczanie i czy przypadkiem już nie zaczął.

Wszystkim ciekawskim, którzy chcieliby zawczasu wiedzieć, kiedy zacząć się żegnać z wszechświatem, z pomocą przyszli mnisi nadprzestrzenni. Wiele zakonów praktykowało medytację, jednak tylko klasztor nadprzestrzenny traktował ją jako drogę do osiągnięcia jedności z nadprzestrzenią i to bez używania skomplikowanych silników o niezrozumiałej zasadzie działania. Nie jest do końca jasne, co mnisi robili w nadprzestrzeni, ale lista dostępnych przyjemności była całkiem długa, a mnichom, których życie w stanie spoczynku składało się głównie z zakazów, na pewno nie brakowało pomysłów.

W każdym razie samo osiągnięcie nadprzestrzeni nie było tak kłopotliwe, jak utrzymanie się tam przy życiu. W nadprzestrzeni panował spory ruch, więc potrzeba było nie lada wrażliwości, by nie rozkwasić się o przelatujący statek. Wszyscy mnisi byli zatem niezwykle wyczuleni na najdrobniejsze fluktuacje czasoprzestrzeni, toteż wykrycie aktywności Jam Temboka sprawiło im tyle trudności, co odgadnięcie, na którą stronę upadła moneta na sąsiedniej planecie. Czyli niewiele.

Oczywiście we wszechświecie jest cała masa istot, którym nie można zaufać nawet, kiedy mówią „dzień dobry”, jednak poczciwi, tajemniczo uśmiechający się starszuskowie w pomarańczowych prześcieradłach mieli w sobie coś, co mówiło, że można im wierzyć i skoro twierdzą, że Wielki Zegar Zagłady zaczął odliczanie, to naprawdę zaczął.

– To znaczy, że wszechświat się...? – zapytał Wilkins.

– Skończy. Tak. Za jakieś... – Xijn spojrział na zegarek – ...czterdzieści godzin.

– Może powinniśmy coś z tym zrobić?

– No właśnie robię. Staram się, żeby to mnie przydzielili to do koordynowania.

– Słucham? – Wilkins nie do końca rozumiał. Właściwie nie rozumiał też od początku... Pośrodku też nie.

– Widzisz ten ekran, o tam? – Xijn wskazał tablicę zawieszoną niedaleko przed nimi. – Kiedy komputer w końcu wybierze właściwego koordynatora, jego nazwisko pojawi się na nim. Wszyscy na to czekają. Taka szansa... Wyobrażacie sobie? To może się nie powtórzyć. Taka szansa...

Sinus pokiwał ze zrozumieniem głową. Wilkins był zdruzgotany. Ostatnio wszystko, do czego ledwo zdążył się przyzwyczaić, zaraz stawało na krawędzi zagłady. Widząc, że jego towarzyszym idea końca wszechświata całkiem przypadła do gustu, sam postanowił coś z tym zrobić i nie tracąc czasu na głupie dyskusje, ruszył z powrotem w stronę wind. I nawet nie przejmował się tym, że windziarz może mu wyrwać głowę razem z kręgosłupem...

ROZDZIAŁ 5

Wszechświat jest dość spory, nikt nie mówi, że jest inaczej. Ale jeśliby ktoś stwierdził, że jeden wszechświat wyczerpuje zasoby istnienia, musiałby być ciężkim ignorantem. Poza tym wszechświatem, w którym Nab Wilkins przedzierał się ku windom przez tłum rozwrzeszczanych koordynatorów końca świata, całkiem nieźle prosperuje również sporo innych uniwersów. Tyle, że żadne z nich nie znajduje się akurat w obliczu nieuniknionego końca, więc nie ma co się nimi specjalnie zajmować – wszechświaty, jak wszechświaty, nic nadzwyczajnego. Jednak nawet jeśli zebrać wszystkie te uniwersa do kupy, wciąż pozostaje... coś.

Owo coś rozciąga się poza granicami wszystkich możliwych wszechświatów i z braku lepszych pomysłów nazywane jest przestrzenią transcendentalną. Problem nazewniczy polega na tym, że nie jest to do końca przestrzeń. A skoro nie jest do końca przestrzenią, to znaczy, że w pewnym sensie jednak jest. I w tym samym sensie jest również czasem, energią, materią i jeszcze paroma innymi, ciekawymi rzeczami.

Z grubsza przypomina morze, w którym zamiast wody przelewają się z nicości w nieskończoność wirujące kłęby czegoś, co jest i jakimś cudem jednocześnie nie jest ani materią, ani energią, ani czasem, ani nawet czystą przestrzenią. Niektórzy owo coś nazwaliby chaosem i poniekąd mieliby rację. Ale nie do końca...

Przebieżność transcendentalna to prawdopodobnie jedyna – poza umysłami niektórych artystów – rzeczywistość, w której chaos ma postać fraktalną. To, co wydaje się być stadium ostatecznym, naprawdę okazuje się tylko częścią większej całości.

W tym wzburzonym morzu nieskończenie złożonego chaosu, niczym świetliste wyspy, unoszą się wszechświaty. Ale nie są same. Pomiędzy nimi dryfuje jeszcze jedna, maleńka iskierka istnienia.

Z zewnątrz przypomina kancelarię prawną albo biuro rachunkowe. Nad przeszklonymi drzwiami wisi prosty szyld. Elegancko kaligrafowany napis głosi: „CZTEREJ JEŹDŹCY. Spółka z Ograniczoną Odpowiedzialnością. Rok założenia: jak dla was ostatni”.

Jeźdźcy Apokalipsy, wbrew obiegowym opiniom, nie byli ani wysublimowaną metaforą, ani dość marną legendą. Byli całkiem istniejącymi jeźdźcami. Oczywiście, jeśli przyjąć, że może istnieć ktoś, kto na co dzień urzęduje w biurze pływającym po morzu chaotycznego, pierwotnego niebytu i tylko od czasu do czasu pojawia się w bardziej realnym wszechświecie.

W dawnych czasach rzeczywiście krążyli po wszechświecie, by pojawiać się w najbardziej odpowiednim momencie na planecie dokonującej właśnie żywota. Problem w tym, że tradycyjne apokalipsy w pewnym momencie wyszły z mody. Wszyscy oszaleli na punkcie rozpędzonych asteroid, przelatujących przypadkowo czarnych dziur i innych kosmicznych katastrof. Dodatkowym utrudnieniem było pojawienie się Centralnego Urzędu Międzygalaktycznego i tamtejszego Wydziału Nadzoru Końców Światów. Jeźdźcy zwyczajnie nie wytrzymali konkurencji. Mrowie koordynatorów szybko rozpleniło się po całym wszechświecie. Jeźdźcy siłą rzeczy mogli zajmować się tylko jedną apokalipsą na raz.

Niewiele osób ma szansę się o tym przekonać, ale nie ma bardziej żalosego widoku niż grupa bezrobotnych zwiastunów apokalipsy bez większych nadziei na przyszłość. Nawet los się ulitował i postanowił uśmiechnąć się do Jeźdźców. Dzięki temu udało im się odkryć inną, dużo szerszą gałąź gospodarki zagłady. Okazało się, że całe wszechświaty również od czasu do czasu ulegają zakończeniu i ktoś musi się tym zajmować. Niestety okazało się też, że jest to dość skomplikowane z administracyjnego punktu widzenia.

Wówczas Głód wpadł na pomysł skomputeryzowania przedsiębiorstwa. Wiadomo, przy pustym żołądku czasem przychodzą do głowy różne głupoty. Właściwie sam pomysł może nie byłby taki zły, gdyby nie dopełniła go koncepcja kupna używanego sprzętu z doświadczeniem menadżerskim. Kiedy jednak jest się uosobieniem sił rządzących końcem świata, można nie wiedzieć, że z komputerami należy uważać. Zwłaszcza tymi używanymi. Komputery już dawno przestały być odpowiednikami liczydła z zerami i jedynekami zamiast koralików nanizanych na napięte druciki, a sztuczna inteligencja ewoluowała sporo ponad poziom handlarza bronią z gry komputerowej w kółko odkupującego od bohatera jeden i ten sam miecz bez niezręcznych hysterii typu: „Przecież kupowałem ten miecz dzisiaj rano. I wczoraj wieczorem, a przedwczoraj to ze trzy razy”. Główny Zwierzchnik nie bez powodu nosił taką nazwę i nie bez powodu przeleżał kilkaset lat w komisie ze sprzętem komputerowym.

Zanim Jeźdźcy się zorientowali, wprowadził firmę na giełdę, przejął pakiet kontrolny, mianował siebie prezesem rady nadzorczej i zaprowadził nowe porządki. I nie przeszkodził mu nawet fakt, że w całej przestrzeni transcendentalnej nikt nigdy nie słyszał o takich pojęciach jak „papiery wartościowe” i „osobowość prawna”.

W każdym razie, Jeźdźcy mogli robić to, na czym się znali najlepiej i właściwie nie mieli na co narzekać. No, prawie. Wojnę na przykład strasznie wkurzały raporty. Zupełnie sobie z nimi nie radził – bardziej nadawał się do planowania bitewnych strategii, niż składania sprawozdań. No i były jeszcze te przeklęte luźne piątki, kiedy musieli pracować w pstrokatych szortach i krawatach ozdobionych humorystycznymi motywami...

O gustownie oprawione zdjęcie, przedstawiające pokazną liczbę trupów rozrzuconą na rozległym, stratowanym terenie,

stuknął właśnie ołówek, który przed chwilą pękł na dwoje w gniewnym uścisku Wojny. Kiedy ktoś jest przyzwyczajony do galopowania przez pola chwały i wywijania nad głową mieczem, nadmiar roboty papierkowej może go doprowadzić do obłądzenia. Wojna huknął pięścią w biurko i zaraz skrzywił się z bólu, gdy tylko centralny ośrodek nerwowy zarejestrował kolizję z dwucalową warstwą drewna orzechowego. Czasami bycie całkiem realną personifikacją niesie ze sobą sporo niewygód.

Ukrył twarz w dłoniach. Poprzez rozchylone palce spojrział tęsknie w stronę szafy, w której schowana była wspiana płyta zbroja z rogatym hełmem i kawał porządnego miecza z piękną płomienistą głownią. Westchnął ciężko, przypominając sobie dawne czasy, wypełnione bitewnym zgłębieniem, wrzaskami konających, zapachem krwi i żarem bijącym od płonących osad.

Przed Wojną, na biurku, stał miniaturowy model najpotężniejszego działu jonowego. Takie zabawki też były w porządku, ale odkąd wszelkie konflikty dało się skończyć za pomocą jednej salwy energetycznej, Wojna nie mógł pozbyć się wrażenia, że nie był już tak szanowany jak dawniej.

Obok miniaturowej broni masowej zagłady stał kubek, który Wojna dostał od kolegów z okazji tysięcznych urodzin Czyngis-chana. Na kubku widniał napis „Najlepsza Wojna we Wszechświecie”. Wojna podejrzewał, że to był pomysł Śmierci. Ponury żniwiarz niezbyt radził sobie z zasadami gramatycznymi, nie wspominając nawet o zabawnych grach słownych. Stając przed jego obliczem, nikt jakoś nie miał głowy do pilnowania poprawności językowej, a najbardziej wesółkowaci komici stawali się śmiertelnie poważni.

Wojnę z nostalgii wyrwał brzęczyk interkomu. Z obrzydzeniem wcisnęła natarczywie mrugający guzik. Z całej tej telekomunikacji tolerował najwyżej połowę radiostacje.

– Pan Wojna proszony do gabinetu Głównego Zwierzchnika – oświadczył głos, który z założenia miał być żeński, ale brzmiał bardziej jak koślawa, zjadająca końcówki wyrazów komputerowa symulacja, niosąca zaledwie odległą sugestię kobiety w średnim wieku z włosami upiętymi w schludny kok.

Wojna westchnął raz jeszcze, odsunął od biurka obrotowe krzesło i wyszedł. Po drodze minął gabinet Zarazy, z którego jak zwykle dochodziły niepokojące zapachy. To musiało być owo osławione morowe powietrze. Korytarz był ciasny, oblepiony paskudną tapetą i dość ciemny. Oświetlały go dwie blade neonówki, które właściwie tylko pogarszały sprawę. Jedyne okno dawało niewiele światła, bo po pierwsze samo było niewielkie, a po drugie, wychodziło na ocean wiekuistego niebytu, który z natury nie ma zbyt wiele wspólnego ze światłem.

Wojna skierował się do właściwych drzwi i podniósł rękę, by zapukać, jednak jego dłoń trafiła w pustkę – drzwi umknęły mu w ostatniej chwili i same się otworzyły zapraszająco. Nie znosił tego. Przyzwyczajony był zjawiać się niespodziewanie i wdzierać przemocą. Świadomość, że ktoś czeka tylko, by otworzyć mu drzwi, mocno wytrącała go z równowagi. Miał nieodparte wrażenie, że Główny Zwierzchnik dobrze o tym wie i robi to specjalnie. Wojna zdawał sobie sprawę, że Główny Zwierzchnik jest komputerem i jego wygląd zewnętrzny można odzwierciedlić za pomocą prostych brył geometrycznych, ale zawsze wyobrażał go sobie jako niskiego, łysiejącego, wrednego typka z idiotycznymi okularami, kretyńskim wąsikiem i wzrokiem głodnego szczura.

– Witam, kolego Wojna. Proszę siadać. – Głos Głównego Zwierzchnika, mimo iż był produktem komputerowego syntezy mowy, jakimś cudem był piskliwy i bardzo irytujący.

Głodny szczur – pomyślał Wojna, ale posłusznie usiadł na składanym aluminiowym krześle ustawionym przed prostym biurkiem. Te dwa elementy stanowiły cały wystrój wnętrza, nie licząc stojącego na blacie kubka z ołówkami i urządzenia przypominającego faks, które właśnie wypluło kartkę.

– To wasze nowe zlecenie – oznajmił elektroniczny głos. Wojna wziął kartkę i nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem, złożył na pół i wsunął do kieszeni.

– Czy to już wszystko?

– Tak, możecie odejść.

Gdy jednak Wojna kładł dłoń na klamce, Głównemu Zwierzchnikowi przypomniało się jeszcze coś, choć z technicznego punktu widzenia nie było możliwości, aby o czymkolwiek zapomniał.

– Jeszcze jedno, kolego Wojna. Wciąż czekam na raporty z trzech ostatnich zleceń.

– Dostarczę w najbliższym czasie – syknął Wojna, zaciskając pięści i wyszedł.

Kiedy był już na korytarzu, wyciągnął z kieszeni zlecenie. Zazwyczaj żywił do wszechświatów podobne uczucia, co rzeźnicki topór do ułożonego na pieńku kurczaka, jednak tym razem, gdy zerknął na kartkę, poczuł coś, jakby delikatne ukłucie żalu. Z tym konkretnym wszechświatem wiązało go wiele miłych wspomnień. Choć należy pamiętać, że miłe wspomnienia Wojny na ogół były trudnym do zapomnienia koszmarem dla wielu miliardów istnień.

Kartka ze zleceniem, wbrew oczekiwaniom, nie dokonała spektakularnej autodestrukcji. Prawdopodobnie dlatego, że Wojna był pasjonatem wszelkiego rodzaju wybuchów, a Główny Zwierzchnik obstawał przy stanowisku, że podwładnych nie należy przesadnie rozpuszczać. Poza tym był komputerem biurokratycznym i twierdził, że dokumenty należy szanować, ale Wojna wiedział, że to tylko nędzna wymówka.

Zapatrzył się we wzburzony chaos kłębiący się za oknem. Gdzieś tam, jak gwiazdy na nocnym niebie, wisiały wszechświaty, a wśród nich ten jeden... Czym prędzej odegnał te nostalgiczne brednie. Był w końcu Jeźdźcem Apokalipsy. A to zobowiązywało do profesjonalizmu.

ROZDZIAŁ 6

Wydawać by się mogło, że mnisi nadprzestrzenni to najspokojniejsze istoty we wszechświecie. Niektórzy, co dziwniejsi poeci porównywali ich nawet do kwiatu lotosu uwięzionego w super twardym kryształe krzemowym z ósmego księżyca ognistej planety Egon Prime. Cóż, niektórzy poeci plotą, co im ślina na język przyniesie i nawet się nad tym nie zastanawiają. Ale prawdą jest, że w całym ruchliwym niczym rozdeptane mrowisko wszechświecie mnisi byli spokojni jak martwy chrabąszcz.

Jednakże w chwili, gdy w innym wymiarze rzeczywistości pewien komputer wpadł na pomysł zakończenia wszechświata, a na kilkadziesiąt minut przed tym, jak w holu na poziomie 50A-X Centralnego Urzędu Międzygalaktycznego wybuchła panika, w pograżonych w idealnej ciszy salach klasztoru nadprzestrzennego zapanowało niesłychane poruszenie.

Ponadczasowy Ting, mistrz dwusetnego kręgu otworzył oczy, podniósł się z maty do medytacji i ruszył w kierunku stojącej w kącie sali skrzynki, opatrzonej wielkim czerwonym napisem głoszącym: „NA WYPADEK KOŃCA”.

Na takie poruszenie wiele osób machnęłoby ręką i przyrównałoby je do normalnego dnia w prosektorium, należy jednak pamiętać, że mnisi nadprzestrzenni nie tolerują aktywności w podstawowej przestrzeni euklidesowej, toteż ktoś, kto akurat przypadkiem zajrzałby przez okno do którejś z sal klasztoru, nabrałby przeświadczenia, że prosektorium jest całkiem gwarnym miejscem. Nawet cisza po pewnym czasie stwierdziła, że jest tu zbyt nudno. Jej miejsce zajęło coś, co brzmiało

jak zduszone „ommmmm” przesunięte w skali częstotliwości nieprzyjemnie blisko granicy słyszalności. Specjaliści w dziedzinie akustyki twierdzą, że takie coś jest nawet gorsze niż najbardziej idealna cisza.

W takiej sytuacji uderzenia trzciniowych łapci Ponadczasowego Tinga o parkiet rozbrzmiewały niczym motocykl bez tłumika przemierzający osiedlowe uliczki w środku nocy. Kilku mnichów, oburzonych zakłócaniem porządku, podniosło powieki. Ting dotarł do skrzynki, podniósł wieko, czemu towarzyszyło przeszywające do szpiku kości skrzypienie, i wydobyl gęsie pióro, arkusz papieru oraz buteleczkę atramentu. Zamknął skrzynkę, ułożył na niej przybory i zaczął pisać.

W miarę jak atrament wysychał, kolejne słowa znikaly z papieru. Rozsadek nakazuje stwierdzić, że zapewne pojawiały się w innym miejscu. I ma rację. Ktoś, kto chciałby wyśmiać mnichów nadprzestrzennych, że wciąż używają papieru i gęsich piór, zadławiłby się własnym rechotem, gdyby poznał własności atramentu nadświatelnego.

Ponadczasowy Ting pisał:

*Do Dyrektora Wydziału Nadzoru Końców Światów
Centralnego Urzędu Międzygalaktycznego*

Cześć. Jeśli chodzi o Wielkiego Jam Temboka, to właśnie zaczął tykać...

Mnisi nadprzestrzenni nigdy nie byli najlepsi w formułowaniu urzędowych pism.

Jakieś dwie godziny później i kilka milionów lat świetlnych dalej przeciskający się przez tłum Wilkins nagle uświadomił sobie, że w sprawie końca wszechświata musiał właśnie nastąpić jakiś nieoczekiwany zwrot. Wszyscy próbujący go zmiażdżyć

koordynatorzy raptownie podwoili swoje wysiłki. Każdy usiłował przesunąć się choć odrobinę do przodu, toteż brnący w przeciwnym kierunku Nab był dla nich naturalną, lecz niezbyt przekonującą przeszkodą – jak ekologiczny ekstremista leżący w błocie przed armią buldożerów, własną mizerną piersią broniący ginącego gatunku żaby przed asfaltową zagładą w postaci nowej autostrady.

W innej części tłumu, gdzieś za plecami Wilkinsa, wybuchł jęk zawodu. Wyglądało na to, że w końcu wybrany został koordynator końca wszechświata i większości ten wybór nie przypadł do gustu. Nic zresztą dziwnego. Wilkins zachwiał się niebezpiecznie, gdy jego najbliższe otoczenie postanowiło, że musi czym prędzej sprawdzić, czemu ci z przodu tak jęczą.

Xijn Jungroth nie jęczał. Zaciął wargi, tak że jego usta stały się wąską, ledwie widoczną kreską i nie odzywał się ani słowem.

– Co to za Wojna? Znasz gościa? – dopytywał Sinus. Na ekranie zawieszonym w niedalekiej odległości widniało nazwisko wybrańca. I brzmiało: „WOJNA”. Xijn wyglądał, jakby usiłował wzrokiem zmienić je na „JUMGROTH”, ale – co zrozumiałe – nie bardzo mu wychodziło. Nie znał tego całego Wojny, ba, nigdy nawet o nim nie słyszał. A to mogło oznaczać tylko jedno – że wymarzone zlecenie niezliczonych pokoleń koordynatorów dostał jakiś niewydarzony bratanek kogoś z dyrekcji.

– A tak w ogóle, to całkiem ciekawe nazwisko – mruknął Sinus, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jak wiele życiowych aspiracji właśnie legło w gruzach tuż obok niego. – Chyba kasjopejańskie... a może z dalszych rubieży Andromedy...

Pędzący przez parking Wilkins ciężko łapał oddech i nie zastanawiał się nawet nad tą samą kwestią, nad którą nie zastanawiało się wielu bohaterów książek science-fiction, którzy akurat znajdowali się w podobnych okolicznościach.

Mało kto myślał o tym, jakim cudem taka różnorodność form życia może znajdować się w jednym miejscu i nikt nie używa do oddychania specjalnej aparatury.

Ziemsy naukowcy – przynajmniej ci, którzy zniżyli się do poruszania kwestii życia pozaziemskiego, co w mniemaniu innych naukowców automatycznie wykluczało tych pierwszych z elitarnego grona – już dawno arbitralnie osądzili, że mieszkańcy innych planet mogą wyglądać zupełnie inaczej niż ludzie, być inaczej zbudowani i być może wcale nie oddychają tlenem. Nieco mniej bujający w obłokach uczeni, słysząc podobne rewelacje, rozpoczęli wówczas wywody o wysokiej reaktywności tlenu i jego niezastąpionej roli w funkcjonowaniu życia.

Jednak naukowe teorie naukowymi teoriami, a prawda, jak to w życiu bywa, jest nieco bardziej trywialna. Powszechnie wiadomo, że we wszechświecie jest cała masa tlenu. Strasznie głupio by było, gdyby tyle dobrego pierwiastka zmarnowało się tylko dlatego, że życie postanowiło uprzykrzyć sobie egzystencję i oddychać jakimś ununoctium albo innym ksenonem. Tylko wyjątkowo zatwardziali konserwatyści upierali się przy beztlenowych formach oddychania, ale ich nie warto brać na poważnie, jako że na ogół nie są widoczni gołym okiem.

Organizm Wilkinsa nie przejmował się w tej chwili składem chemicznym wszechświata i łączywie korzystał z powszechności życiodajnego i życiopodtrzymującego pierwiastka. Szumiało mu w głowie. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić, ale coś musiał. Nie zwrócił nawet uwagi na pomstujących Algoraban, którym nieopatrznie rozdeptał połowę floty i prawie całą rodzinę królewską.

Po chwili gorączkowego biegu do świadomości Wilkinsa dotarła jeszcze jedna wiadomość – zgubił się, choć nie było to do końca odpowiednie określenie, bowiem od momentu, gdy opuścił windę, absolutnie nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Powoli zaczynało go opanowywać to samo uczucie, które towarzyszyło mu mniej więcej przed trzydziestoma laty, kiedy to zgubił się rodzicom na parkingu przed centrum handlowym.

W tym przypadku jednak istniało ryzyko, że płacz i wrzaski nie zdadzą się na zbyt wiele. Nawet jeśli udałoby się zaalarmować jakiegoś ochroniarza, to najprawdopodobniej, w najlepszym wypadku zostałyby zamknięty gdzieś, gdzie nie stanowiłby zagrożenia dla otoczenia.

Zaraz po tym, jak stał się główną przyczyną poważnego kryzysu w układzie Algorabana, wpadł na coś, co z pewnych, tylko sobie znanych względów przypomniało szpadel, zostało ubrane w długą, srebrzystą szatę i jakimś cudem sprawiało wrażenie istoty inteligentnej.

– Przepraszam – wymamrotał, czując narastające zakłopotanie, co było naturalną reakcją na sytuację, w której składa się przeprosiny narzędziom ogrodowym.

Szpadel w istocie był jednym z ważniejszych dostojników z Galaktyki Trójkąta, nazywał się Loomax Gvir Trzydziesty Trzeci i przyzwyczał się już, że wzbudza zakłopotanie u form życia stojących nieco niżej na drabinie rozwoju. Tak to już jest z tą nieskończonością wszechświata. Zwykle prawdopodobieństwo wymaga, by gdzieś znajdowała się nacja, która z wyglądu nie jest może zbyt imponująca i przypomina przedmioty codziennego użytku, ale za to pod względem intelektualnym ludzie wyglądają na jej tle jak tresowane małpy, którym tylko przypadkiem udało się stworzyć wiekopomne dzieło dramaturgii.

Po chwili jednak superinteligentny szpadel z Galaktyki Trójkąta zniknął w tłumie, a Wilkins nagle odnalazł coś, co mogło mu pomóc. Być może to rzeczywistość postanowiła wesprzeć jedyną – a przynajmniej jedną z bardzo bardzo niewielu – istotę, która postawiła sobie za cel uratowanie całego wszechświata. W końcu nie od dziś wiadomo, że szczęście lubi sprzyjać kompletnym wariatom. W tym momencie na przykład sprawiło, że Nab kątem oka dostrzegł billboard, który Sinus zidentyfikował jako znak zakazu handlu obnośnego (nie dotyczy małej gastronomii). Pod tym właśnie znakiem stała przecież budka Sinusa!

Kilka minut później Wilkins łapał oddech, oparty o ścianę w korytarzu budki. Szczęśliwie udało mu się wpaść do środka

niezauważonym, bo inaczej tłuszczka mogłaby zacząć domagać się wydania hot-dogów, a Nab nie miał zielonego pojęcia, jak można przyrzędzić cokolwiek za pomocą urządzeń z kokpitu Sinusa. Poza tym nie miał czasu na handlowanie niezdrową żywnością. Wszechświat sam się nie uratuje. A szkoda, bo to by rozwiązało wiele problemów...

– Nabuchodonor Wilkins. Cześć – zawołał wesoło Chester. – Jesteś sam? Stało się coś?

– Jeszcze nie – wydyszał Nab. – Ale niedługo się stanie. Słyszałeś, że wielki coś-tam zaczął odliczanie?

– A tak. Coś mi się obilo o uszy.

– A wiesz, że to znaczy, że wszechświat...

– Tak, skończy się za trzydzieści dziewięć godzin, czterdzieści minut i trzydzieści sekund. Trochę szkoda, nie?

– Trochę szkoda?

– No, wiesz. Całkiem się już do niego przyzwyczailem. Ale z drugiej strony stary już był, nie?

– Jak to był? – oburzył się Wilkins. Przez myśl mu przeszło, żeby wspomnieć o ziemskich naukowcach, którzy uważali, że wszechświat nie jest znów aż taki stary i skończy się najwcześniej za pięć miliardów lat, ale po chwili uświadomił sobie, że autorytet ziemskich naukowców ostatnio nieco podupadł.

– Cóż to jest trzydzieści dziewięć godzin, czterdzieści minut i trzydzieści sekund w skali wszechświata...

Wilkins stwierdził, że ma już tego wszystkiego dosyć. Zdecydował, że budka nie nadaje się jednak do ratowania wszechświata. Pomijając nawet Chestera i jego filozoficzne rozterki, kto to widział, żeby wyruszać na misję ratunkową w obwoźnym straganie z fast-foodami? No i nie było pewności, czy tam, gdzie będzie leciał – gdziekolwiek by to miało być – znajdzie się akurat ktoś, kto będzie miał ochotę na hot-doga.

Z braku bardziej sprecyzowanego planu, Nab wszedł do pierwszej z brzegu kabiny. Nie zdawał sobie nawet sprawy, gdzie idzie, poddał się instynktowi. I prawdopodobnie popełnił błąd. W kącie leżało coś, co mogłoby być komandorem Bertleighem,

ale zawierało stanowczo za dużo milczenia, a zbyt mało głupkowatego paplania. Wilkins przewrócił oczami. Nie wiedział, co go do tego podkusiło, ale powiedział:

– Bertleigh! Musisz mi pomóc.

– Nie mogę. – Bertleigh spojrział na Wilkinsa wzrokiem pełnym egzystencjalnego bólu.

– Co? Dlaczego?

– Bo ty nie istniejesz. – Bertleigh oskarżycielsko wymierzył palec w przełożonego.

– Jak to nie istnieję? Przecież rozmawiam z tobą.

– Nie rozmawiasz.

– Więc do kogo mówisz?

– Do nikogo. Ja zresztą też nie istnieję.

Wspomniano już, że Bertleigh, gdy nie wylewał z siebie potoków bzdur, zaczynał się zastanawiać i na ogół nie kończyło się to zbyt dobrze. Wilkins uświadomił sobie, że Bertleigh siedział tu niezły szmat czasu i zapewne przez cały ten czas myślał. To mogło oznaczać, że głupota osiągnęła masę krytyczną i przeszła na wyższe stadium rozwoju. Bertleigh już przedtem był niczym jasne słońce gorejące na firmamencie głupoty. Ostatnio jednak eksplodował w supernowej wysokoenergetycznego kretynizmu, a gdy ta się rozwiła, pozostała czarna dziura, bezpowrotnie pochłaniająca wszelkie przebłyски zdrowego rozsądku.

– A kto ci powiedział, że nie istniejesz?

– Nikt.

– Sinus?

– Tak. Ale to bez znaczenia, bo on też nie istnieje.

Wilkins westchnął ciężko. Pożałował nagle, że pistolet na gwoździe został na pokładzie statku, który miał być ostatnią nadzieją ludzkości. Bertleigh był naprawdę ciężkim przypadkiem kretyna, któremu właściwie nie dało się wyperswadować czegoś, co raz wbił sobie do głowy.

– I uwierzyłeś komuś, kto nie istnieje?

Bertleigh tylko mruknął coś pod nosem, wcisnął się bardziej w kąć i ukrył twarz w dłoniach. Wilkins przewrócił oczami,

złapał nihilistyczne ciało komandora i zarzucił sobie na plecy. Plecy zaprotestowały. Bertleigh ważył całkiem sporo jak na kogoś, kto nie istnieje.

– Ej, co robisz?

– Nic. Nie pamiętasz, ja przecież nie istnieję.

– A, no to dobrze. – Bertleigh uspokoił się.

– Gdzie go zabierasz? – zapytał Chester, gdy Wilkins czymś możliwie przypominającym bieg opuścił kabinę i ruszył w stronę wyjścia.

– Jest mój – warknął – i zabiorę go, dokąd tylko zechcę. Nie próbuj mnie powstrzymywać.

– Dobrze, dobrze. Spokojnie, Nabuchodonozorze Wilkinsie. Tylko pytałem.

– Przepraszam – wymamrotał Wilkins, opierając na chwilę Bertleigha o podłogę. – Jestem ostatnio trochę podenerwowany, tyle tych końców...

– Rozumiem. Ale myślałem, że go nie znosisz...

– Może go nie znoszę. Może cieszę się każdą chwilą, w której nie muszę go oglądać. Może nawet chciałem rozwalić mu łeb pistoletem na gwoździe, ale to w końcu jedyny Ziemianin oprócz mnie. Czuję się za niego – skrzywił się na samą myśl o tym, co miał powiedzieć – odpowiedzialny.

Bycie odpowiedzialnym za Freemana Bertleigha było nie lada mordęgą i miało całkiem sporo wspólnego z masochizmem i skłonnościami samobójczymi.

– I zamierzam zrobić coś z tym całym bałaganem – podjął Wilkins. – Dość już tych końców.

– Coś? Ale nie przyszło ci do głowy, żeby powstrzymać koniec wszechświata?

– No... właściwie to przyszło.

– Ale wiesz, że to raczej głupie?

– Właśnie dlatego biorę ze sobą Bertleigha. – Wilkins wysilił się na uśmiech. – W kwestii głupoty można na nim polegać.

– A poprawiło mu się choć trochę?

– A wygląda, jakby mu się poprawiło?

Chester nie odpowiedział. Wilkins znał Bertleigha już trochę i jeszcze nigdy nie mógł powiedzieć, żeby komandorowi się poprawiło.

– Cóż, w takim razie mogę tylko życzyć wam powodzenia. – Komputer rzucił przyjaźnie po chwili. – Choć wątpię, by na wiele się zdało.

Wilkins nic nie odpowiedział, ponieważ znów miał na plecach sto dwadzieścia kilogramów niczego i musiał pilnować każdego oddechu, jeżeli chciał dojść gdziekolwiek.

– Miło było cię poznać, Nabuchodonozorze Wilkinsie! – zawołał jeszcze Chester, gdy ostatnia nadzieja wszechświata, która całkiem niedawno była skromną ostatnią nadzieją ludzkości, opuściła budkę.

Wilkins przystanął przy drzwiach. Stąd miał całkiem niezły widok na całe lądowisko. Z rozczarowaniem stwierdził, że choć sporo pojazdów wyglądało tak, że twórcy science-fiction określiliby je jako „odlotowe”, większość absolutnie nie mieściła się w kategorii pojazdów godnych misji ratowania wszechświata. Ale znalazłoby się również kilka odpowiednich do ekspedycji o takiej randze. Wilkins, niewiele myśląc, ruszył ku najbliższemu. Po drodze rozdeptał jeszcze niedobitki algorabańskiej rodziny królewskiej, czym, tak jak poprzednio, zbytnio się nie przejął. Pędził dalej przed siebie, podczas gdy załamani do reszty Algorabianie zaczęli rozważać zalety ustroju republikańskiego.

Po chwili, gdy Wilkinsowi udało się dotrzeć do celu, okazało się, że statek, który sobie upatrzył, jest pilnowany. Zajmowało się tym dwóch parkingowych, a wnioskując po odrażających gębach, musieli być rodakami morderczego windziarza. Przez kręgosłup Wilkinsa przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Jednak astronauta szybko przywołał się do porządku. Przełknął ślinę i postąpił krok naprzód. W końcu nie było wielkiej różnicy, czy zginie już teraz, czy za czterdzieści godzin. A wszechświat... Cóż, skoro on zginie, to niech diabli biorą cały ten wszechświat! Zdaje się, że i tak nikomu na nim specjalnie nie zależy. Miał tylko nadzieję, że wrywanie kręgosłupa jest szybkie i w miarę

możliwości bezbolesne. Uświadomił sobie z nieprzyjemną dosłownością, że śmierć jest naprawdę tylko kwestią czasu.

– Przejmuję tę jednostkę w imieniu Floty Stanów Zjednoczonych – powiedział po chwili namysłu. Wprawdzie i Stany Zjednoczone, i ich flota kosmiczna nie istniały już od pewnego czasu, ale to brzmiało trochę lepiej niż przejmowanie statku w imieniu ostatnich niedobitków ludzkości.

Odpowiedź parkingowego prawdopodobnie brzmiała mniej więcej tak:

– Odejdź stąd, przyjacielu. To okręt Wielkiego Dyplomaty Gurba Ygh Laytona. A z nim naprawdę nie chciałbyś zadrzeć.

Problem jednak w tym, że Wilkins spośród wszystkich, trudnych do zliczenia języków wszechświata znał jakieś dwa i pół, z czego przynajmniej dwa stały się ostatnio dość poważnie zagrożone wymarciem. Nie trzeba chyba wspominać, że żaden z nich nie był ani trochę podobny do mowy, którą posługiwała się obdarzona fizjonomiami kosmicznych morderców obsługa Centralnego Urzędu Międzygalaktycznego.

– Mam ze sobą Bertleigha i nie zawaham się go użyć – ostrzegł uczciwie, przyjmując wyraz twarzy w stylu Brudnego Harry'ego. Wprawdzie jego twarz niezbyt się do tego nadawała, ale wyszło całkiem niezłe. Niestety parkingowi najwyraźniej nigdy nie słyszeli o Clincie Eastwoodzie ani o klasyce kina akcji i zupełnie nie wiedzieli, jak powinni się zachować. Spojrzeli po sobie z zakłopotaniem. Wilkins podejrzewał, że zastanawiają się, czy zacząć od obdarcia go ze skóry, czy może od razu od urwania głowy.

Śmierć. Koniec wszechświata. Kwestia czasu... Wilkins przywołał się do porządku i zrobił coś, co z kaskaderskiego punktu widzenia wydawało się niewykonalne, a przynajmniej bardzo nieprawdopodobne i zupełnie niedorzeczne. Całkiem przypadkiem funkcjonowało również w Tenuriańskiej Księżdzie Księżycowego Kung Fu jako technika pięćdziesiąta siódma: „Cierpliwy Tragarz Radzi Sobie Z Tłumem Wściekłych Bab Przy Pomocy Worka Kartofli”. Niestety nie jest znana geneza

wspomnianej techniki – a szkoda, bo byłaby to niewątpliwie szalenie interesująca historia. Wiadomo jednak, że jest to jeden ze skuteczniejszych sposobów radzenia sobie z przeciwnikiem w przewadze liczebnej, kiedy akurat ma się przypadkiem na ramionach spory worek kartofli. Bertleigh w tej chwili mentalnie nie odbiegał specjalnie od podręcznikowego pierwowzoru.

Kłębiące się wokół mrowie różnorodnych istot nie zwróciło nawet uwagi na jawny rozbój połączony z bezczelnym zaborem mienia. Wilkins nie niepokojony wbiegł na pokład po trapie, który był zdecydowanie zbyt stromy, by wchodzenie po nim było wygodne i wyglądało na to, że specjalnie został tak zbudowany.

Nab nie miał zbyt imponującego pojęcia o standardach budowy statków kosmicznych – swoją wiedzę opierał głównie na filmach fantastycznonaukowych. W każdym razie to, co wiedział, podpowiadało mu, że kokpit, mostek czy cokolwiek podobnego powinno znajdować się mniej więcej z przodu. Ruszył w kierunku, który orientacyjnie określił jako „przód”.

Po niedługim czasie korytarz zakończył się wyczekiwanymi drzwiami. Nawet wyglądały całkiem tak, jakby prowadziły do pomieszczenia, z którego steruje się całym tym interesem. Wilkins zatrzymał się i zrzucił Bertleigha na podłogę.

– Ejże – burknął oburzony Bertleigh. – Co to miało niby znaczyć? To że nie istnieją, to jeszcze nie znaczy, że możesz ot tak okładać mną jakichś gości, a potem rzucać sobie na podłogę.

– To byli kosmici.

– I co z tego?

– Oni przecież nie istnieją. – Wilkins wyszczerzył się złośliwie. – Zresztą ciebie to chyba też dotyczy, nie?

Bertleigh popatrzył na przełożonego z niemym wyrzutem. Gdzieś w skomplikowanej płątanie neuronów, którą zwykł nazywać swoim mózgiem, właśnie pojawiła się wątpliwość, czy aby jego nowa filozofia nie zawiera przypadkiem znaczących luk logicznych. Rozwiązał tę kwestię w typowy dla siebie sposób – wzruszył ramionami i zwinął się w kłębek. Przecież jeśli on nie istniał, to to samo musiało dotyczyć jego problemów.

Wilkins miał tymczasem poważniejsze kłopoty na głowie. Drzwi nie miały żadnej klamki, zamka szyfrowego, a nawet głupiego skanera linii papilarnych. Ściany wokół również nie zawierały niczego, co mogłoby służyć do otwierania drzwi. Spróbował wcisnąć palce między metalowe skrzydła, by otworzyć je siłą, ale projektant najwidoczniej przewidział coś takiego.

Może mają zamek głosowy – pomyślał.

– Sezamie, otwórz się! – wypowiedział pierwsze hasło, jakie przyszło mu do głowy. Może nie było najmądrzejsze, ale czemu nie miałby spróbować? Projektanci niestety nie byli aż tak ograniczeni, toteż drzwi pozostawały zamknięte. – Abrakadabra... Hokus pokus... – Wyliczał wszystkie tajemne hasła, które tylko zdołał sobie przypomnieć, drzwi jednak trwały niewzruszenie niczym nakrętka na wyjątkowo zawziętym słoiku korniszonów. Po jeszcze kilku mniej lub bardziej cenzuralnych próbach Wilkinsowi skończyły się pomysły.

– Proszę. – Z resztkami nadziei wyjęczał magiczne ponoć słowo. Wyglądało na to, że nie było aż tak magiczne, jak zapewniali niektórzy. – Głupie drzwi – mruknął pod nosem i zaraz doznał olśnienia. Skoro głupie, to może by je pokonać ich własną bronią... Podniósł z podłogi Bertleigha i ustawił przed drzwiami. Po chwili namysłu przycisnął go do drzwi i spróbował poprzesuwać na boki. Nie podziałało. Głupota to jednak dość pasywna siła. Puścił bezużyteczne ciało komandora, które beztrząsco gruchnęło o podłogę i powróciło do pozycji embrionalnej.

Oparł twarz o ścianę i pozwolił ogarnąć się najczarniejszej z rozpacz. Po chwili użalania się nad sobą (i całym wszechświatem) odchylił się gwałtownie do tyłu. W jego umyśle nagle obudziły się pradawne instynkty, które postaciom z kreskówek nakazywały w skrajnej desperacji tłuc głowami o ściany. Tyle że na ekranie telewizora wyglądało to całkiem zabawnie i z całą pewnością bezboleśnie, a metalowa ściana statku kosmicznego wyszła wilkinsowemu czołu na spotkanie z całą swoją nieustępliwością. Nab, trzymając się za skronie,

uświadomił sobie, że waleniem głową w mur rzeczywiście nie da się rozwiązać problemów. Po chwili musiał przyznać, że nie miał racji. Drzwi do kokpitu otworzyły się z przenikliwym piskiem, sugerującym, że robią to bardzo niechętnie.

Podeksytowany, choć wciąż z żywym wspomnieniem bólu głowy, wszedł do środka, obrzucił spojrzeniem wszystkie niewyobrażalne przyrządy sterownicze i doznał doskonale poznanego ostatnio wrażenia. Wprawdzie zobaczył już kawałek wszechświata i powinien się czegoś takiego spodziewać, ale jednak w jakiś sposób był zaskoczony. Nie miał zielonego pojęcia, do czego to wszystko służyło, ani jak za pomocą tego zmusić cały statek chociażby do uruchomienia wycieraczek. I pomyśleć, że kilka dni temu nie zdawał sobie nawet sprawy, o jak wielu rzeczach nie ma zielonego pojęcia.

Gdzieś w jego głowie zaświtała pocieszająca myśl, zgadując, że jeśli nie zaświta teraz, to niedługo może już nie mieć takiej szansy. Wilkins przypominał sobie, jak kiedyś usłyszał, że prawdziwa mądrość nie oznacza, że trzeba umieć rozwiązać każdy problem, ale że trzeba wiedzieć, kim się można w tym wyręczyć. Czy jakoś tak... On w każdym razie wiedział. Pełen podziwu dla swojej mądrości ruszył biegiem w stronę wyjścia.

Gdy jednak wybiegał ze statku, dopadły go wątpliwości. Nie potrafił uratować jednej planety, chociaż wiedział doskonale, co powinien robić. W tym przypadku nie miał nawet pojęcia, od czego zacząć...

Czyli właściwie, logicznie rzecz ujmując, powinno się udać. Poza tym nie było aż tak źle – zdobył statek. I to nie byle jaki, więc nawet jeśli nie umiał go uruchomić, był to jakiś początek. Zresztą wyglądało na to, że ukradł ten statek komuś ważnemu, zatem nie było już odwrotu.

ROZDZIAŁ 7

Całkiem spory tłum koordynatorów końca świata wciąż nie dawał wiary własnym oczom i z płonąca nadzieją wpatrywał się w ekran zawieszony w holu na poziomie 50A-X, gdy Xijn Jumgroth i Sinus Pi Czwartych wyszli z windy na lądowisko. Koordynator wciąż był zdruzgotany.

– Tyle lat nienagannej służby... Tyle wzorowo przeprowadzonych armagedonów... Przecież byłem pracownikiem roku nieprzerwanie przez ostatnie trzy lata... Nie było nawet na mnie skarg w dziale reklamacji. A raz przyszła nawet kartka z podziękowaniami za sprawnie i profesjonalnie przeprowadzoną zagładę!

– Głowa do góry, Xijn. To na pewno nie ostatni wszechświat, który się kończy. – Sinus usiłował tylko pocieszyć przyjaciela i nie zdawał sobie sprawy, jak blisko znalazł się prawdy o wszechistnieniu wielowymiarowym, a także o działalności niewielkiej spółki, zatrudniającej zaledwie czterech gości o charakterystycznych imionach.

– Na pewno nie ostatni. Ale mogę nie dożyć następnego.

Sinus w zamyśleniu pokiwał głową. Miał sporo fajnych pomysłów na spędzenie ostatnich godzin wszechświata, a większość z nich składała się głównie z niedorzecznie pomieszanych napojów alkoholowych i skąpo ubranych przedstawicielek płci przeciwnej. Żaden nie przewidywał pocieszenia zdolowanego koordynatora końca świata, któremu życiowa szansa właśnie z zawrotną prędkością śmignęła przed nosem i poleciała w sobie tylko znanym kierunku.

– Myślę... Myślę, że ten Wojna na pewno dostał to zadanie po znajomości... – Zaryzykował. – Może jego wujek jest jakimś dyrektorem albo co...

– Masz rację – warknął Xijn, a jego oczy znów zapłonęły płomieniem świętego oburzenia. – Cholerne układy. Ja tego tak nie zostawię! Trzeba coś z tym zrobić...

Jednakże musieli odłożyć zrobienie z tym czegoś na później. W tłumie przed nimi wybuchło właśnie zamieszanie, jakby ktoś nagle wrzucił w sam środek kłębowiska bombę neutronową. Po chwili okazało się, że to Nab Wilkins zmierzał w ich kierunku i najwyraźniej postanowił dać sobie spokój z mozolnym i niezbyt efektywnym przepychaniem się przez tłum, a obrał taktykę roztrącania na boki wszystkich, którzy mieli nieszczęście znaleźć się na jego drodze. Trzeba przyznać, że była to całkiem niezła strategia. Choć z drugiej strony, gdyby przyjęła się powszechnie, wszystkie parkingi wszechświata zmieniłyby się w pola bitew.

– O! Właśnie was szukałem – wysapał Wilkins. – Fajnie, że zjechaliście na dół i nie kazaliście mi znowu jechać z tym koszmarnym windziarzem... Czuję, że tym razem by mi nie darował. Zwłaszcza, że chyba załatwiłem jego kolegów.

– Co? – Xijn z zakłopotaniem spojrzał w stronę Sinusa, ale ten tylko pokręcił wymownie głową.

– Nie ma czasu. Musicie mi pomóc. – Wilkins chwycił ich za ręce i pociągnął za sobą, zanim oszołomiony tłum zdążył zorientować się w sytuacji i na powrót scalić w jedną multidemograficzną masę.

– Hej! Skąd masz x'vorgańską fregatę dyplomatyczną? – krzyknął Sinus, gdy minęli dwóch nieprzytomnych parkingowych i wskoczyli na trap.

– Znalazłem – uciął krótko Wilkins i pociągnął ich dalej w głąb statku.

– Moment! – zawołał Xijn. – To znaczy, że mamy ci pomóc w uprowadzeniu x'vorgańskiego okrętu?

– Tak. – Nab Wilkins nie poznawał samego siebie. Jeszcze kilka dni temu na podobne pytanie odpowiedziałby coś w stylu „Co?!” albo „Zgłupiałeś?! Nie zamierzam niczego uprowadzać”.

Nie minęło dużo czasu od zniszczenia Ziemi, a właśnie to robił. Niesamowite, jak jeden malutki koniec świata potrafi odmienić człowieka.

Xijn z lękiem w oczach zerknął na Sinusa, lecz ten tylko zachichotał pod nosem i powiedział:

– Ale się wkurzą! Wchodzimy w to.

Gdy dotarli do leżącego na podłodze Bertleigha, nadgarstki Xijna i Sinusa zostały uwolnione. Nab, nie oglądając się na towarzyszy, podbiegł do ściany i rąbnął w nią głową. Drzwi otworzyły się, nie oszczędzając świadkom niemiłych wrażeń akustycznych, a Wilkins, opierając się o ścianę i potrząsając głową, uświadomił sobie, że trochę dał się ponieść nerwom.

– Ej! Skąd wiedziałeś, jak działa x'vorgański mózgowstrząsowy mechanizm otwierający? – spytał Sinus.

– Nie jesteś chyba jednym z... – Xijn podejrzliwie zmrużył oczy. – ...z nich?

– Jednym z kogo? – Nab odpowiedział pytaniem na pytanie.

– No, z X'Vorgan?

– A co to za jedni?

– Nie wiesz, kim są X'Vorganie?

– A skąd niby miałbym wiedzieć? Co to za jedni? – Wilkins po raz kolejny odbił piłeczkę pytaniowego ping-ponga. A ponieważ z odpowiadaniem pytaniem na pytanie, na pytanie, na pytanie... i tak dalej nie należy przesadzać, Sinus wtrącił się z całkiem normalnym zdaniem oznajmującym:

– X'Vorganie to... no, cóż, X'Vorganie to X'Vorganie. – Może nie brzmiało to najmądrzej, ale okoliczności nie pozwalały na opowiadanie rozległych historii o całych mileniach wojen, kłótni, wzajemnej nienawiści i konfliktów sąsiedzkich, a bez tego nie dałoby się wyjaśnić odpowiednio, kim byli X'Vorganie. – To właściciele tego statku... choć teraz chyba raczej byli właściciele. – Wyszczrzył głupkowato zęby.

– Dobra, dobra. Powiedz lepiej, czy umiesz to obsługiwać.

– Pytanie! Pewnie, że umiem – powiedział Sinus i dumnym krokiem wmaszerował do kokpitu.

Zanim jednak międzygwiazdny sprzedawca hot-dogów Sinus Pi Czwartych da popis umiejętności sterowania x'vorgańskimi fregatami dyplomatycznymi, warto zerknąć w jeszcze jedno miejsce, które znajduje się mniej więcej w samym środku Centralnego Urzędu Międzygalaktycznego. To Gabinet Sferyczny. Jest godny uwagi z przynajmniej kilku powodów. Po pierwsze, znajduje się tu poprzedni i wciąż jeszcze prawowity właściciel pewnej fregaty dyplomatycznej; po drugie – co w pewnym stopniu wiąże się z pierwszym – za chwilę ma się rozegrać wydarzenie historyczne w skali co najmniej galaktyki i w końcu po trzecie, to całkiem ciekawe miejsce i szkoda byłoby je przegapić.

Gabinet Sferyczny stanowi jeden z rozlicznych przykładów wizjonerskiego rozmachu architektów połączonego z nieodłącznymi przekleństwami i złorzeczeniami osób, które ów rozmach musiały wcielić w życie.

Gabinet jest idealną sferą o promieniu około stu ziemskich metrów i pamięta najbardziej znaczące wydarzenia z historii wszechświata, takie jak powołanie pierwszego i jak dotąd jedyne go prezydenta wszechświata oraz odwołanie go w trzy godziny później. Odwołanie prezydenta odbyło się w atmosferze skandalu, choć wiele osób nie mogło wyjść z podziwu, jak można zrobić tyle przekrętów w ciągu kadencji trwającej niecałe trzy godziny.

Ściany zdobią portrety dyrektorów generalnych urzędu. Ponieważ jednak takie stanowisko wystawione jest na podobne pokusy, co funkcja prezydenta wszechświata, kadencja dyrektora generalnego nie trwa zbyt długo (ale znów nie tak krótko, jak prezydenta – możliwości i skala malwersacji są mimo wszystko nieco mniejsze), a co za tym idzie portrety pokrywają ściany już niemal trzema warstwami.

W samym środku sfery znajduje się platforma połączona z drzwiami pomostem odpowiednio wąskim, by skutecznie sugerować, że można się rozkwasić o dno Gabinetu, jeśli nie będzie się dostatecznie ostrożnym.

Na platformie znajdował się właśnie trzyosobowy komitet dyplomatyczny i zauważalnie drżał. I to nie tylko dlatego, że stojącego przed nimi Wielkiego Dyplomatę Gurba Ygh Laytona można by określić niezbyt urodziwym tylko, jeśli na liniowej skali urody „niezbyt urodziwy” odpowiadałoby w przybliżeniu minus nieskończoności. Wielki Dyplomata może być absurdalnie szpetny nawet jak na X'Vorganina, ale celem jego obecności w tym pomieszczeniu nie był konkurs piękności, a podpisanie traktatu pokojowego. Gurb Ygh Layton aż gotował się z wściekłości. Jeszcze nigdy w historii nie zdarzyło się, by X'Vorganie podpisali coś takiego jak traktat pokojowy. Uważali, że traktaty pokojowe ich obrażają. Właściwie podobne zdanie mieli o wszystkim, co miało czelność istnieć. W gruncie rzeczy nie byli źli. Byli po prostu bardzo wkurzeni. Na cały wszechświat i od początku swojego istnienia. Prawdopodobnie niezbyt podobało im się to, że urodzili się X'Vorganami. Trudno się zresztą dziwić.

Powstali na malutkiej, paskudnej planetce Vorg X, która w zasadzie spełniała wszystkie kryteria świata skrajnie nieprzychylnego jakiegokolwiek formie egzystencji. A jednak z jakichś powodów, odległy przodek X'Vorgan postanowił mimo wszystko wypełznąć z dymiącego jeziora siarki na niewiele lepszy ląd i spróbować swoich sił. Ewolucja niezbyt sobie radziła w takich warunkach, toteż dała w końcu za wygraną i zajęła się jakimś bardziej sensownym światem. Okazję w mig zwąchała nienawiść i wkrótce stała się główną siłą napędową rozwoju życia na Vorg X. I okazało się, że całkiem nieźle sobie poradziła.

X'Vorganie od momentu, gdy odkryli, że kamieniami da się rzucać w innych, a z powalonego pnia można zrobić całkiem poręczną maczugę, bez przerwy prowadzili wojny ze wszystkim dookoła. Od początku istnienia największą aspiracją całej nacji było wymierzenie porządnej nauczki wszystkiemu, co akurat nie było X'Vorganami. Nie mieli zatem specjalnie okazji by zgłębić tajniki dyplomacji. Rozumieli ją mniej więcej tak jak Czyngis-Chan lub Attyła, czyli na zasadzie: „Poddajcie się natychmiast,

a może nie zabijemy was wszystkich od razu. Jeśli będziemy akurat mieli dobry humor.” W tym miejscu należałoby zaznaczyć, że dobry humor nie jest czymś, co często przydarzało się przeciętnemu X’Vorganinowi.

Dyplomacja w ich rozumieniu różniła się od wojny totalnej tylko nazwą. Problem jednak w tym, że od kiedy stwierdzili z niesmakiem, iż nie są sami w kosmosie, działania wojenne rozciągnęły się na bardzo wiele frontów i w efekcie X’Vorganie powoli zaczęli się kończyć.

W zasadzie nie widzieliby nic złego w takim rozwiązaniu, gdyż siebie nawzajem nie znosili tylko trochę mniej niż całej reszty. Nie mogli jednak dopuścić, by cały wszechświat odetchnął z ulgą zaraz po śmierci ostatniego przedstawiciela ich nacji. To byłoby prawie jak... jak wyświadczenie przysługi temu przekłętemu wszechświatowi. Dlatego też potrzebowali przynajmniej chwilowego zawieszenia broni.

Gurb Ygh Layton doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji i ze wszystkich sił usiłował okiełznać wykształcone przez pokolenia jego przodków instynkty, które sugerowały, że fajnie byłoby rozmazać trzech stojących przed nim typków po ścianach Gabinetu. Popatrywał to na nich, to na leżący przed nim traktat. Cały ten zestaw uosabiał wszystko, czym gardził najbardziej. No, może nie wszystko, ale całkiem sporą część.

Trzech typków tworzących komitet dyplomatyczny na moment zaprzestało nerwowego dygotu i zgodnie wstrzymało oddechy, gdy Wielki Dyplomata w końcu sięgnął po pióro. Oto na ich oczach miała rozegrać się historia.

A ponieważ każdej historii w chwili największego napięcia potrzebny jest ostry zwrot akcji, dokładnie w tej chwili drzwi otworzyły się z hukiem. Do Gabinetu wpadł Pierwszy Oburzony x’vorgańskiej floty dyplomatycznej i całkowicie ignorując morderczą wysokość, która czyhała na chociaż jeden fałszywy krok, ruszył biegiem ku Gurbowi Ygh Laytonowi. Pióro Wielkiego Dyplomaty zamarło tuż nad powierzchnią traktatu pokojowego. Komitet westchnął ciężko. Historia musiała na razie

zaczekać z rozgrywaniem się. Pierwszy Oburzony nachylił się do przełożonego i wyszeptał mu coś do ucha.

Komitet nie miał pojęcia, co usłyszał Gurb Ygh Layton, toteż nie mógł złorzeczyć bandzie głupków, którzy akurat w tej chwili musieli uprowadzić „Mściciela” – okręt flagowy x’vorgańskiej floty dyplomatycznej. Podjął za to nerwowe drzenie ze zdwojoną dawką przerażenia, gdy przez paskudne oblicze Laytona przebiegł poblask furii w najczystszej postaci. Wyraźnie było widać, że ze wszystkich sił powstrzymuje się od sięgnięcia po jeden z podręcznych miotaczy plazmy. Trzeba wiedzieć, że X’Vorganie za silnie zalecane uważali, by Wielki Dyplomata był uzbrojony po zęby. Oczywiście reszta wszechświata miała na ten temat zgoła odmienne zdanie, ale ich nikt nie pytał o opinię.

Layton wciąż jeszcze rozważał wszystkie możliwe wyjścia z sytuacji i ewentualne konsekwencje, gdy drzwi znowu się otworzyły. Tym razem pojawił się w nich jeden z niższych x’vorgańskich delegatów. Podobnie jak poprzednik podbiegł do przełożonego i wyszeptał mu coś do ucha.

Na twarz Wielkiego Dyplomaty wypęzło coś, co w zamierzeniu prawdopodobnie miało być uśmiechem. Tyle, że przez całe wieki swojego istnienia, X’Vorganie nie zdołali wykształcić mechanizmów odpowiednich do takich spraw, więc z zewnątrz przypominało to bardziej grymas człowieka z piłą łańcuchową w dłoniach, obłędem w oczach i bólem w zębach na dokładkę.

Pióro uderzyło o podłogę. W atmosferze gęstej niczym rzeka lawy – i o zbliżonej temperaturze – dźwięk ten zabrzmiał niczym wybuch termojądrowy na wyjątkowo opuszczonym cmentarzu w środku nocy. Zanim echo zwielokrotnione przez sferyczne ściany umilkło, nieszczęśni członkowie komitetu dyplomatycznego legli na podłodze bez życia, za to z pięknymi, dymiącymi dziurami w klatkach piersiowych. Wielki Dyplomata schował do kabury swój ulubiony pistolet plazmowy. Właśnie dowiedział się, że wszechświat już niedługo ma się skończyć i bardzo mu się to spodobało. Nie dość, że nareszcie przestanie być X’Vorganinem,

to jeszcze wszyscy pozostali w końcu dostaną należytą nauzkę. A co najważniejsze, w takiej sytuacji X'Vorganie nie potrzebowali już żadnego plugawego pokoju.

Poczuł, że po jego wnętrzu rozlewa się coś ciepłego i miękkiego. Jako pierwszy z X'Vorgan odkrył szczęście. Było ciepłe, miłe, przyjemne i... bardzo wkurzające. Odwrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom. Koniec wszechświata końcem wszechświata, ale tym zuchwalcom, którzy uprowadzili „Mściciela” zamierzał osobiście dać do wiwatu. I to tak, żeby pożałowali, że koniec wszechświata nie przyszedł wcześniej.

Tymczasem w holu na poziomie 50A-X sytuacja uległa sporym zmianom. Przede wszystkim znaczna część koordynatorów z wyrazem zawodu na twarzach opuściła pomieszczenie, więc dało się już w miarę swobodnie oddychać. Ci zaś, którzy pozostali, zaczęli przeczuwać, że coś tu nie gra. Komputerowy wybraniec nie pojawił się, by odebrać przydział. Można by uznać, że obawiał się linczu i w normalnych warunkach byłoby to uzasadnione. Nie istnieje jednak żadna siła, która zdołałaby odciągnąć koordynatora od takiego zlecenia. W każdym razie, gość był sam sobie winien, a końca wszechświata nie można przecież zostawić bez nadzoru.

Oburzeni urzędnicy zawiązali porozumienie i arbitralnie osądzili, że komputer musiał się pomylić. Ułożyli też chytry i nie do końca zgodny z prawem plan...

Kilka minut później dyrektor Wydziału Nadzoru Końców Światów był mocno skołowany, a do tego ciasno związany, zakneblowany i zamknięty we własnej szafie na dokumenty – tak na wszelki wypadek, gdyby zamierzał się stawiać.

Koordynatorzy wzięli gabinet szturmem i nie pytali go o zdanie. Najwidoczniej wyszli z założenia, że będzie miał coś przeciwko zrestartowaniu głównego komputera, odpowiedzialnego za całe to poruszenie. Właściwie mieli rację.

Dyrektor miałby całkiem sporo do powiedzenia, na przykład: „co to za zbiegowisko?”, „wynocha z mojego gabinetu” i „uważajcie na paprotkę”. Nie zdążył jednak podzielić się swoimi opiniami z przepelnionym poczuciem krzywdy urzędniczym motłochem, wspaniała i bardzo rzadka paprotka leuweungańska została bestialsko stratowana, a komputer stanął twarzą w twarz z poważnym zagrożeniem odcięcia od źródła zasilania.

Koordynatorzy skupiali się – w miarę możliwości – wokół komputera, niczym grupa wygłodniałych wegetarian nad pieczenią wołową. Wszyscy wiedzieli, co należy zrobić, ale jakoś nikt się specjalnie do tego nie garnął. To było jak... jak zakwestionowanie polecenia przełożonego, a kiedy jest się oddanym urzędnikiem, takie rzeczy nie przychodzą łatwo, jeśli w ogóle.

– No już. Na co czekacie? – zawołał ktoś z tyłu.

– A bo to wszystko jakieś takie nieformalne... – wybąkał koordynator, który stał najbliżej komputera i spoglądał na niego z zakłopotaniem.

– Nieregulaminowe nawet – zgodził się drugi w obawie, że przez tchórzostwo kolegi to jemu przypadnie zaszczyt pełnienia honorów.

– A może byśmy sporządzili protokół?

– I wybrali komisję egzekucyjną?

– Nie ma czasu. Biercie się do roboty, wszyscy czekają – odezwał się ktoś, kto stał bezpiecznie z tyłu i blisko drzwi, więc mógł w razie czego utrzymywać, że nie miał z tym wszystkim nic wspólnego, nie było go tu, a tak w ogóle to miał zwolnienie lekarskie.

– To może byś przyszedł i sam to zrobił – zaproponował ten, który znajdował się najbliżej komputera.

– Ja za daleko stoję.

– Chętnie cię przepuścimy – odezwał się głos gdzieś ze środka tłumu. Przez pokój przetoczyła się fala potakujących pomruków.

– No dobra – odpowiedział po chwili wahania wojowniczy gość z tyłu. – Piszmy ten protokół.

Po kilku minutach wytężonej pracy i kilkunastu zgniecionych w kulkę kartkach protokół został wreszcie napisany.

Pełen był mniej lub bardziej niezrozumiałych sformułowań, typu „my, niżej podpisani, działając w dobrze pojętym interesie całego wszechświata, w obliczu sytuacji ze wszech miar wyjątkowej”..., a po opatrzeniu urzędową pieczęcią i niezbędnymi adnotacjami stanowił wspaniały okaz sztuki biurokratycznej.

Na przewodniczącego, wiceprzewodniczącego, skarbnika i ciało wykonawcze komisji egzekucyjnej jednocześnie wybrany został Yoorel Colb, któremu koledzy zapobiegawczo zakryli usta i przytrzymali ręce na czas zgłaszania wniosków i sprzeciwów. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że jednoosobowa komisja wystarczy, gdyż teraz już każdy podejrzliwie zerkał na sąsiadów i drugi raz taki numer mógłby się nie udać.

Yoorel Colb, który jeszcze usiłował dochodzić swoich praw, został demokratycznie przepchnięty do komputera.

– Czy na pewno chcesz zrestartować Wielki Komputer Zarządzający? – zapytał nieprzyjemny elektroniczny głos, gdy Colb drżącym palcem wcisnął czerwony guzik.

– Tak.

– Zdajesz sobie sprawę, że jest to naruszenie regulaminu?

– T-tak? – jęknął Yoorel, jednak karcący kuksaniec w głowę wystarczył, by przewodniczący komisji opanował się i przyjął tak zdecydowany i biurokratyczny ton, jak tylko się dało. – To znaczy: TAK.

Przyczajony na granicy słyszalności szmer układu chłodzącego komputera ucichł po raz pierwszy w historii.

Po chwili nerwowego bębnienia dziesiątków palców w politykę biurka ekran w końcu rozbłysnął mdławo-zielonym blaskiem. Kilkadziesiąt organizmów, bez względu na różnice w budowie układu oddechowego, zgodnie wstrzymało powietrze, gdy pojawił się napis „Przetwarzanie danych”.

Kiedy tylko wszystkie konieczne dane zostały przetworzone, komputer po raz drugi wyświetlił nazwisko koordynatora odpowiedzialnego za koniec wszechświata. Wstrzymywane przez kilkadziesiąt par płuc (lub innych organów pełniących w przybliżeniu podobne funkcje) powietrze wyrwało się na

wolność z pełnym rozczarowania jękiem, gdy wszyscy upewnili się, że na ekranie znowu widnieje „WOJNA”.

– Dobra – zawołał ktoś. – Jeszcze raz.

Po kilku minutach i kilkunastu aneksach do protokołu, komputer wciąż niewzruszenie upierał się przy swoim.

– Trudno. Ja się poddam – powiedział Colb. – Jak chcecie, to sami sobie próbujcie – dodał szybko, widząc, że niektórzy już otwierają usta, żeby sprzeciwić się jego rezygnacji z zaszczytnej funkcji przewodniczącego, wiceprzewodniczącego, skarbnika i ciała wykonawczego komisji egzekucyjnej.

– No, dobra – powiedział koordynator, który stał dość blisko, by zostać następcą Yoorela Colba. – Mnie w sumie aż tak na tym nie zależało.

Przez gabinet przetoczyła się fala kiwających głów.

– Przerklamowana sprawa.

– Może byśmy coś zjedli? Zdaje się, że przegapiliśmy przerwę na lunch.

– Racja. Mam straszną ochotę na hot-doga.

Pomysł zarzucenia dalszych prób na rzecz kupna paru hot-dogów został jednogłośnie przyjęty. Problem w tym, że najbliższy sprzedawca hot-dogów znajdował się właśnie na pokładzie x'vorgańskiej fregaty dyplomatycznej, zbliżał się powoli do granicy strefy ochronnej Urzędu i już kładł dłoń na dźwigni napędu hiperświatłowego. A szkoda, jego hot-dogi były naprawdę niezłe...

– Widzicie? – Sinus dumnie wyszczerzył zęby. – Mówiłem, że znam się na tym.

Wilkins i Xijn zgodnie powstrzymali się od poruszenia wątku jedenastu statków, o które Sinus „otarł się”, usiłując opuścić lądowisko. Wiele osób odetchnęło z ulgą, gdy w końcu udało mu się tego dokonać.

– A do czego nam w zasadzie ten statek? – zapytał Xijn, którego urzędniczy umysł lubił zawsze wiedzieć, na czym stoi.

– Ratujemy wszechświat.
– Co?
– No... Ratujemy wszechświat.
– Zwariowałeś! – Xijn roześmiał się serdecznie. – To przecież nielegalne.

– Jak to nielegalne?

Xijn spojrział na niego. Ale nie tak normalnie. Wilkins nagle poczuł się, jakby stał przed okienkiem i przed momentem przesunął pod szybą źle wypełniony formularz.

– To ci dopiero. – Sinus klepnął się w kolano. – Daj spokój, Xijn. Może być niezły ubaw. Poza tym, pomyśl, mógłbyś uprzykrzyć życie temu całemu Wojnie.

Oblicze koordynatora rozjaśniło się.

– A niech mnie szlag – powiedział. – Dobra, ratujmy ten cały wszechświat.

– Ładna z nas ekspedycja ratunkowa. – Sinus roześmiał się. – Sprzedawca hot-dogów, koordynator końca świata, który właściwie chciałby nadzorować to, czemu mamy zapobiec, i dwóch facetów, którym ratowanie póki co nie bardzo wychodziło, a jeden z nich na dodatek twierdzi, że nie istnieje. Jakby tego było mało, mamy jakieś trzydzieści dziewięć godzin. To dopiero draka.

– Myślisz, że zdążymy? – zapytał Wilkins.

– Pewnie oczekujesz, że powiem, że czas jest względny. Ale nie powiem. Raczej powinniśmy się pospieszyć. No, dobra – rzucił, zerknąwszy na podejrzanie wyglądające ekrany. – Wchodzimy w nadprzestrzeń, chłopaki. Zapnijcie pasy.

– Sinus – powiedział Xijn.

– Hm?

– Tu nie ma pasów.

– No to mocno się trzymajcie.

Sinus przesunął dźwignię. Wilkins poczuł, jakby w jego mózg ktoś wbił wyciskarkę do cytryn, a po chwili nie czuł już niczego.

ROZDZIAŁ 8

Wszechświat jest nieskończony. To prawda powszechnie znana i nieco wyświechtana. Niewiele osób jednak wie, że wszechświat osiąga taki stan dzięki temu, że na krawędziach zakręca, biegnie z powrotem i tak w kółko. W rezultacie powstaje coś w rodzaju stojącej fali rzeczywistości. Ci, którzy mieli szczęście poznać tę prawdę, uważają, że jest to klucz do podróży nadprzestrzennych. To tylko pokazuje, że można znać najgłębsze sekrety konstrukcji wszechświata i jednocześnie być naiwnym jak dziecko.

W każdym razie na jednym z zakrętów powłoki wszechświata znajdują się drzwi. Wbrew oczekiwaniom sfiksowanych fanów fantastyki naukowej, to całkowicie normalne drzwi, takie dębowe, z małym okienkiem i mosiężną klamką. Są tylko trochę większe od pozostałych, ale trudno się temu dziwić, to w końcu drzwi do innych wymiarów.

Normalnie nikt nie zwróciłby na nie uwagi, jednak w tej właśnie chwili mosiężna klamka przekreśliła się i drzwi otworzyły się ze złowieszczym piskiem, który postanowił nie przykładać większej wagi do faktu, iż raczej nie powinien rozlegać się w kosmicznej próżni.

Do wszechświata wpadł, ciągnąc za sobą snop iskier, płomienny wierzchowiec. I nie była to żadna barwna metafora, lecz Inferno, Ognisty Rumak Apokalipsy. Ktoś sobie wymyślił, by w wiele miejsc Inferna, takich jak oczy, nozdrza, grzywa czy ogon, powtykać tyle ognia, ile się da. Efekt niewątpliwie piorunujący, choć z perspektywy samego konia musiało być to niezbyt wygodne. Jego nikt jednak nie pytał o zdanie.

Na grzbiecie ognistego ogiera siedział nie kto inny jak Wojna, całkiem niedawno znienawidzony przez sporą rzeszę koordynatorów końca świata. Ubrany był w elegancki, grafitowy garnitur – co nieco psuło efekt – w dłoni zaś dzierżył solidny kawał mieczyska. Główny Zwierzchnik zapewne nie pochwaliłby takich sentymentalnych wynurzeń, jednak chwilowo Wojna miał to w dość głębokim poważaniu.

Gdy znalazł się w nie do końca jasnych granicach właściwego wszechświata, wyciągnął z kieszeni marynarki urządzone, które składało się niemal w całości z jaskrawo świecącego ekranu i zdecydowanie zbyt dużej liczby guzików.

Wojna wcisnął kilka przycisków, nie odrywając wzroku od ekranu. Szukał kogoś – nikogo szczególnie, po prostu istoty rozumnej na tyle, by potrafiła się podpisać. Regulamin przedsiębiorstwa „CZTEREJ JEŹDŹCY” wymagał, by każdy koniec wszechświata był pokwitowany przez jednego z miejscowych. To była zdecydowanie najbardziej uciążliwa część pracy. W końcu urządzenie złapało sygnał i wskazało najbliższą istotę. Litery, które nieprzyjemnie kontrastowały z jaskrawym tłem, głośno: „WSZECHSTRONNY PIKE”.

Właściwie cały ten Pike nie tyle był najbliżej, co jakimś cudem był wszędzie. I to wszędzie w znaczeniu najszerszym z możliwych, wręcz kosmicznym. Wojna jednak nie miał najmniejszego zamiaru łamać sobie nad tym głowy. Potrzebował tylko jednego durnego podpisu, a wszystko wskazywało, że mógł znaleźć gościa na asteroidzie położonej całkiem niedaleko.

Zmełł przekleństwo pod nosem. Spośród wszystkich idiotycznych pomysłów Głównego Zwierzchnika, pokwitowanie odbioru usługi zakończenia wszechświata było zdecydowanie najgłupszym.

Spiął ostro konia, choć w zasadzie nie musiał się zbytnio spieszyć. Czasu miał pod dostatkiem...

...czas zaś, wbrew obiegowym opiniom, wcale nie jest względny. Kiedyś był, ale już nie jest. Teraz ma w sobie tyle względności, co pomarszczony staruszek okutany w pomarańczowe prześcieradło. Zapewne dlatego, że jest właśnie pomarszczonym staruszkciem okutanym w pomarańczowe prześcieradło i całkowitym zbiegiem okoliczności nazywa się Wszechstronny Pike. Ktoś zdrowo myślący powinien w tej chwili zawołać „co?” albo „to jakieś kompletne bzdury”. Odpowiedź w takim przypadku może być tylko jedna: „to długa historia”.

Wszystko, jak to często bywa, zaczęło się od ludzkiej niewdzięczności. Czas ucieka – o tym wszyscy wiedzą doskonale. Nikomu jednak jakoś nigdy nie przyszło do głowy, żeby zapytać, czy Czas nie jest przypadkiem zmęczony, czy nie napiłby się lemoniady i w ogóle przed kim on tak ucieka. Każdy tylko narzeka, że biegnie tak szybko i nieubłaganie. Zero wdzięczności.

W końcu po niezliczonych eonach beczynnego i wyjątkowo nudnego upływu bez cienia wdzięczności, Czas stracił cierpliwość i uznał, że należy mu się emerytura. Jego nieustępliwość i upór nie bez powodu stały się przedmiotem porównań poetów, toteż powstał nie lada problem natury kosmologicznej.

Na jego następcę wybrano jednego z mnichów nadprzestrzennych, Wszechstronnego Pike'a. Staruszkowie z klasztoru nadprzestrzennego są może lekko szurnięci i wywołują dziwny niepokój, gdy się na nich patrzy, ale są też niezwykle cierpliwi i na ogół można na nich polegać.

Dotychczasowy Czas postanowił resztę wieczności spędzić, zwiedzając wszystkie plaże we wszechświecie. W ramach uznania za zasługi pozwolono mu zachować część dawnych umiejętności, które beztrudnie marnotrawił na niekończące się drinki z miniaturowymi parasolkami. Chociaż, może to był akurat najlepszy pomysł, na jaki można było wpaść.

Gdyby ktoś w tym momencie chciał zapytać, czemu niby jakiś tam mnich nadprzestrzenny miałby zostać nowym Czasem, w pierwszej kolejności należałoby zaznaczyć, że Wszechstronny

Pike nie był „jakimś tam” mnichem, lecz mistrzem czterysta dwudziestego kręgu wtajemniczenia czasoprzestrzennego, co sprowadzało się do tego, że mógł przebywać w kilku różnych galaktykach jednocześnie, nie opuszczając nawet maty do medytacji. A poza tym, jest to jedna z tych rzeczy we wszechświecie, których nie da się wytłumaczyć – ani racjonalnie, ani w ogóle jakkolwiek. Chyba że z pomocą odpowiedniej ilości niezbyt legalnych, ale zdecydowanie psychoaktywnych substancji.

Kiedy wszechświat otrząsnął się po nagłym kolapsie czasoprzestrzennym i zorientował się w nowo zaistniałej sytuacji, wybuchło niemałe poruszenie. Pike szybko stał się popularnym celebrytą. To właściwie dość zwariowana sprawa – Czas towarzyszy każdej istocie w każdej chwili jej życia, ale dopiero, gdy owa istota może go zobaczyć na własne oczy albo dotknąć, zaczyna się nim na poważnie interesować.

Okazało się jednak, że cały ten Pike jest takim samym bufonem, jak poprzedni Czas i nie tylko nie zamierza dzielić się z wszechświatem pikantnymi szczegółami ze swego życia prywatnego, ale wręcz ignoruje bezczelnie wiernych przedstawicieli środków masowego przekazu. Wszyscy reporterzy szybko stracili zainteresowanie – zwłaszcza, że akurat wyszło na jaw niezliczone mrowie przekrętów, których narobił niedawno wybrany prezydent wszechświata.

Ze spragnionego sensacji tłumu pozostał tylko młody człowiek o za długich, stale opadających na oczy włosach, okularach w grubych oprawkach i niewyobrażalnie powyciąganym swetrze. Był to niejaki Kansas City, który nigdy w życiu nie słyszał o planecie Ziemia i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, nie wspominając nawet o mieście nazwanym jego imieniem, ale był za to bardzo obiecującym filozofem galaktycznym. Nie zajmował się takimi głupotami jak rysowanie kółek na piasku czy naprzemienne włożenie i wyłożenie z rzeki, a skupiał się na rzeczy fundamentalnej – pytaniu o sens istnienia.

Wszechstronny Pike znał oczywiście odpowiedzi na wszystkie pytania. Problem w tym, że obecny sens jego istnienia

sprowadzał się do pilnowania, czy aby piasek przyszłości przepływa równomiernie przez zwiększenie terażniejszości do komory przeszłości w wielkiej klepsydrze dziejów. Taki sens mógłby nie zadowolić młodego, ambitnego filozofa galaktycznego, także Pike postanowił oszczędzić Kansasowi City'emu wielu nieprzespanych nocy i nie odzywać się ani słowem.

Gdy w końcu wszyscy zostawili go w spokoju, nowy Czas nareszcie mógł całkowicie poświęcić się uciekaniu, upływowi i tym podobnym aktywnościom. Swoją drogą okazało się, że to wszystko jest diabelnie nudne. Na całe szczęście było też wyłącznie metaforyczne. Strasznie głupio by przecież wyglądało, gdyby jedna z najpotężniejszych sił w kosmosie, ubrana w krótkie gacie i gumowy czeppek, taplała się w wodzie, machając śmiesznie kończynami. Zwłaszcza, kiedy owa siła wygląda jak kruchy staruszek z długą siwą brodą. To nie byłoby zbyt poważne. Poza tym można zapłatać się w brodę.

Podczas gdy Inferno, Ognisty Rumak Apokalipsy, galopował przez gwiazdzisty firmament, niosąc na grzbiecie samego strasznego Wojnę, Wszechstronny Pike, który aż do tej pory siedział nieruchomo i uśmiechał się tajemniczo do nieograniczonej pustki, nagle otworzył oczy. Poczuł dziwny niepokój. Tak jakby... się kończył.

– A więc to już – mruknął pod nosem i z powrotem zamknął oczy. Jako ciekawostkę można wskazać fakt, że były to jego pierwsze słowa, odkąd został Czasem.

Ogniste kopyta Inferna w pełnym pędzie uderzyły o skalistą powierzchnię asteroidy i natychmiast zatrzymały się w miejscu. Zanim jednak rzesza oburzonych naukowców zerwie się z miejsc i zacznie krzyżeć o zasadach dynamiki Newtona i ich bezczelnym lekceważeniu, należy wyjaśnić, że Wojna, jako jeden z Jeźdźców Apokalipsy, miał w nosie nie tylko reguły mechaniki relatywistycznej, ale również stare, utarte prawidła

zwyczajnej, zrozumiałej dla ogółu fizyki konwencjonalnej. Stosował się tylko do tych zasad, do których mu się podobało.

Zsiadł z konia. Nie musiał nawet specjalnie rozglądać się za Wszechstronnym Pikiem. Asteroida była tak mała, że pojawienie się Jeźdźca Apokalipsy i jego wierzchowca spowodowało niemały tłok. Staruszek siedział ze skrzyżowanymi nogami, wpatrywał się w nieskończoną dal z uśmiechem na twarzy i nie miał najmniejszego zamiaru zauważać nowo przybyłych. Grymas irytacji wykrzywił i tak nieprzyjemnie wyglądające oblicze Jeźdźca. Wojna przyzwyczaił się, że jego przybyciu towarzyszyły wybuchy paniki, ogólnospołeczny popłoch i histeryczne bieganie w kółko. Takie lekceważenie godziło w jego dumę.

– Hej ty! – Trącił staruszka nogą. – Do ciebie mówię.

Wszechstronny Pike zwrócił wzrok na natręta i zmierzył go spojrzeniem, które niosło w sobie delikatną niczym młot kowalski sugestią ciężaru przemijania. Wojna nagle poczuł się bardzo stary. Wzruszył ramionami. W końcu był bardzo stary. Towarzyszył niejednej cywilizacji od zarania jej dziejów.

– Nazywasz się Wszechstronny Pike?

– Właściwie to zależy. Ale możemy przyjąć, że tak. Czekałem na ciebie.

– Co?

– Tak myślałem, że to ty przybędziesz. I trochę się spóźniłeś.

– Co to znaczy, że się spóźniłem? Kim ty w ogóle jesteś? – Wojna powoli zaczynał tracić i tak marne resztki cierpliwości, którymi dysponował. Nie dość, że ten bezczelny typ nie zamierzał zaszczyścić go należyłą dawką przerażenia, to jeszcze miał czelność robić mu wymówki!

– Jestem Wszechstronny Pike. – Staruszek uśmiechnął się złośliwie. Najwyraźniej bawiła go cała ta sytuacja. – Myślałem, że to już ustaliliśmy. A ty jesteś Wojna. Przybyłeś z wymiaru transcendentnego.

Wojna nie był może specjalistą od etykiety, ale coś mu podpowiadało, że przedstawianie się powinno wyglądać jednak nieco inaczej. No i w tym przypadku powinno zawierać trochę

więcej zdziwienia na twarzy rozmówcy, który właśnie usłyszał jego miano. Tyle że coś wydarzyło się nie w tej kolejności, w jakiej powinno.

– A więc słucham pana, panie Wojna. Czego pan oczekuje od starego, zmęczonego mnicha nadprzestrzennego?

Wojna spojrział na Pike'a wzrokiem, który zdawał się pytać: „naprawdę nie wiesz?”. Pike w odpowiedzi posłał mu spojrzenie w rodzaju „doskonale wiem, ale świetnie się bawię”.

– Bo domyślałam się, że nie przywoziłeś mojej pizzy...

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. W końcu Wojna skapitulował.

– Jakiej znowu pizzy? – zapytał zrezygnowanym tonem.

– Pepperoni z podwójnym serem na grubym cieście. Zamówiłem ją jakies... jakies dziesięć tysięcy lat temu. A obiecywali, że jeśli nie dostarczą w ciągu pół godziny, to nie będę musiał płacić.

– Żartujesz sobie? – Wojna zaczynał odczuwać dezorientację, co dla najbliższych kilku galaktyk wiązało się z podwyższonym ryzykiem wojny totalnej.

– Ja nigdy nie żartuję z pepperoni z podwójnym serem na grubym cieście. Tak sobie myślę, że oni cichcem zwinęli interes i nigdy nie dostanę mojej pizzy. Miałem nosa, żeby nie płacić z góry.

– Jestem tu po to, żebyś pokwitował koniec wszechświata. – Irytujący staruch zdawał się świetnie bawić, więc Wojna postanowił przejść do rzeczy.

– Koniec wszechświata? Nie zamawiałem.

– Końców wszechświatów się nie zamawia. One zdarzają się same z siebie.

– Więc po co to całe pokwitowanie?

– Wymóg formalny.

– A jak nie podpiszę, to ocalę cały wszechświat?

– Każdy może podpisać...

– A jak nikt nie podpisze?

Wojna nigdy nie słynał z cierpliwości – jeśli już to z jej braku. Ogień szalejący w jego oczach podpowiadał, że nawet bez podpisu zrobi swoje, a jeśli pewien mnich nadprzestrzenny

będzie dalej grał w kotka i myszkę, to wszechświat zdąży jeszcze gorzko pożałować, że w ogóle powstał.

– Posłuchaj. Nie wiem, kim jesteś i co tu jest grane, ale wygląda na to, że jakimś cudem dobrze wiesz, o co chodzi. Moglibyśmy w takim razie darować sobie te głupoty?

– Ależ oczywiście.

Wciąż lustrując Pike'a wzrokiem, Wojna sięgnął do kieszeni, ale nie znalazł formularza pokwitowania.

– W lewej wewnętrznej kieszeni marynarki – podpowiedział Pike. Wojna prychnął pogardliwie i sprawdził wszystkie kieszenie poza lewą wewnętrzną marynarki. Oczywiście nie znalazł tego, czego szukał. W końcu sięgnął do tej wskazanej przez zuchwałego starucha i wyciągnął poszukiwany formularz. Pike uśmiechnął się przyjaźnie. Wojna znowu prychnął i podał mnichowi kartkę.

– A mógłbym prosić o coś do pisania? – Uśmiech mnicha niejednego mógłby przyprawić o ostrą hiperglikemię.

Wojna z nieufnością w oczach sięgnął za klapę marynarki. Pike tym razem powstrzymał się od uwag i pozwolił Wojnie w spokoju przeszukać wszystkie kieszenie i znaleźć długopis w ostatniej.

Po chwili zapamiętałego gryzmolenia, formularz został uzupełniony o piękny, pełen zawijasów, pętelek i zygzaków okaz sztuki kaligraficznej. Jeździec Apokalipsy wepchnął dokument do kieszeni i wskoczył na konia.

Z wysokości siodła obrzucił jeszcze czujnym spojrzeniem starca, którego mina wciąż budziła w nim dziwny niepokój. Wzruszył ramionami i wbił obcasy w boki Inferna. Rumak majestatycznie stanął dęba i ruszył galopem w przestrzeń, zostawiając za sobą roziskrzony ślad.

Pike popatrzył za znikającym w galaktycznej oddali ognistym wierzchowcem i uśmiechnął się pod nosem. Nie było jeszcze takiej wojny, która wygrałaby z Czasem i nawet bezlitosne uosobienie wszystkich naraz nie miało z nim najmniejszych szans.

Wojna jeszcze nie wiedział, że podpis na formularzu w jego kieszeni blaknie właśnie ze starości w zawrotnym tempie

i całkiem niedługo zniknie zupełnie. Nie był jednak typem, który przykładałby większą wagę do wymogów formalnych, więc za kilka godzin, gdy wyciągnie papier z kieszeni, skrzywi się tylko i machnie na to ręką. Już teraz psuło to trochę Pike'owi nastrój. Takie żarty wymagały manipulowania przy kontinuum czasoprzestrzennym i powinny wywoływać przynajmniej pełne irytacji zgrzytanie zębami. Machanie na nie ręką wyrażało tylko brak szacunku dla wysiłków samego Czasu.

Wstał. Zakręciło mu się w głowie. I nie miało to nic wspólnego z tym, że przez ostatnich kilkaset tysięcy lat siedział w bezruchu. Problem w tym, że się kończył i zaczynał właśnie odczuwać tego objawy.

– Przydałoby się kilka piw – mruknął do siebie. Był Czasem i miał swoje obowiązki, ale kto powiedział, że nie może upływać na przykład w pubie przy kuflu złocistego płynu? Wiele osób nawet by wolało, żeby właśnie tam upływał. Obejrzał prawą dłoń, która na przemian stawała się na wpół przezroczysta i powracała do normalnego stanu. – I to jak najszybciej.

Oczywiście jako Czas wcale nie musiał się spieszyć, a i tak zdążyłby jeszcze wypić całe piwo wszechświata, ale piwo z przeszłości zawsze było jakieś zwietrzałe, a to z przyszłości smakowało jak woda. Jakimś sposobem na tę jedną rzecz Pike, mimo swych niezgłębionych zdolności, nie miał żadnego wpływu.

Zamknął oczy i po chwili już go nie było. A właściwie był, ale w dużo przyjemniejszym miejscu...

ROZDZIAŁ 9

Galaktyka Blaszanego Kubła nigdy nie była specjalnie interesującą galaktyką. Zdarzały się układy planetarne większe i ciekawsze od niej, a jedyną rzeczą do roboty na większości jej światów było żałowanie, że akurat tam się trafiło. Z Ziemi można ją było zaobserwować jako malutką, czarną plamkę na nocnym niebie.

Gdybyście jednak znaleźli się przypadkiem w Galaktyce Blaszanego Kubła, powinniście z całą pewnością odwiedzić Czterdzieści Wściekłych Diabłów. Znaczący z całego wszechświata jednomyślnie zgadzają się, że jest to jedyne warte uwagi miejsce w tej zapyziałej galaktyce, a co więcej, trudno znaleźć coś podobnego w całym kosmosie. Każdy, kto raz odwiedzi Czterdzieści Wściekłych Diabłów, na długo zapamięta tę wizytę.

To by wyjaśniało, dlaczego na trzydzieści siedem godzin z minutami przed końcem wszechświata, właśnie to miejsce postanowił odwiedzić Sinus Pi Czwartych. Ale w tym akurat przypadku, sprzedawcy hot-dogów chodziło o coś więcej niż niezapomniane doznania...

Przestrzeń jęknęła cicho, gdy „Mściciel”, x’vorgański okręt dyplomatyczny, pojawił się zniemacka i wcisnął brutalnie w powłokę rzeczywistości. Przebywający na pokładzie Nab Wilkins niestety nie był uosobieniem sił rządzących wszechświatem i właśnie bardzo boleśnie uświadomił sobie, że nie sposób wymknąć się bezdusznym prawom dynamiki. Gwałtowna utrata nadświetlnej szybkości w połączeniu z brakiem pasów bezpieczeństwa i wyjątkowo twardym pulpitem sterowniczym

zapewniły mu pięknego guza. Jednak w porównaniu z tym, co przeżył przed chwilą, była to całkiem miła odmiana.

Ścisnął skronie dłońmi. Nigdy nie miał przyjemności doświadczyć lobotomii, ale coś podpowiadało mu, że mógłby wówczas czuć się mniej więcej tak jak teraz. Otworzył oczy, gdy przypomniał sobie, gdzie się znajdują. Pochyliła się nad nim wyszczerzona głupkowato twarz Sinusa.

– Jak tam samopoczucie? – spytała.

– Co to było?

– W sensie?

– To, co przed chwilą się stało... Miałem wrażenie, że banda wkurzonych Wizygotów wbiegła mi jednym uchem i wybiegła drugim.

Sinus nie wiedział wprawdzie, kim byli ci cali Wizygoci, ale stwierdził, że to był całkiem normalny skok nadprzestrzenny. To znaczy normalny dla statków x'vorgańskich.

– Właściwie mogłeś go uprzedzić, Sinus... – mruknął Xijn.

– To by nic nie dało. Takiego czegoś nie da się wyrazić słowami. Skutków działania napędu nieskończonej nienawiści każdy musi doświadczyć na własnej skórze.

– Napędu nieskończonej nienawiści? To na nienawiści da się latać?

– Pewnie. To jedno z wydajniejszych źródeł energii. I w zasadzie jest niewyczerpywalne. Przynajmniej dopóki istnieją X'Vorganie...

Ktoś, kto byłby na tyle ograniczony, by uważać, iż najszybszą rzeczą jest światło, nigdy chyba nie miał do czynienia z prawdziwą nienawiścią. Możecie nienawidzić kogoś w innej galaktyce i jeśli tylko bardzo się postaracie, zostanie on znienawidzony w ułamku sekundy. I nie trzeba nawet nikomu płatać żadnych stanów kwantowych. Zwykle fotony przy elementarnych cząstkach nienawiści wyglądają jak ślimak na proszkach uspokajających przy bolidzie formuły jeden.

– To wszystko dlatego, że X'Vorganie uważają, że komfortowe środki transportu osobiście ich obrażają. Ale przeżyłeś,

więc wszystko gra. – Sinus uśmiechnął się w ten typowy sposób, który na ogół mówi coś w stylu „tak, to prawda, że tamten tygrys odgryzł ci nogę, ale spójrz, masz jeszcze drugą”.

– A co z Bertleighem? – W Wilkinsie nagle odżyło idiotyczne i bardzo irytujące poczucie odpowiedzialności.

Trzy pary oczu zwróciły się na komandora, który, jak gdyby nigdy nic, leżał sobie cichutko w kącie i nie istniał w najlepszym.

– Chyba wszystko w porządku – powiedział Xijn. – To znaczy jak na niego.

– A dlaczego w zasadzie się zatrzymaliśmy? – zapytał Wilkins, który po urokach podróży właśnie uświadamiał sobie obrażenia, jakich doznał wskutek nagłego hamowania.

– Jesteśmy na miejscu.

– To miło. A co to za miejsce?

– Czterdzieści Wściekłych Diabłów.

Wilkins zastanowił się chwilę i doszedł do wniosku, że miejsce o takiej nazwie nie jest chyba miejscem, w którym chciałby się znaleźć.

– Czy będę bardzo żałował, jeśli zapytam, czemu nazywa się akurat Czterdzieści Wściekłych Diabłów i czym tak w zasadzie jest?

Sinus uśmiechnął się tajemniczo i trochę niepokojąco. Kilka minut później stali przed czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak całkiem zwyczajny pub. Wilkins spojrzał drugi raz i wciąż twierdził, że to pub. Miał nawet coś w rodzaju szyldu, na którym umieszczono czterdzieści wesołych, rogatych postaci, dzierzących kufle, szklanki, kieliszki i bliżej niezidentyfikowane naczynia o wymyślnych kształtach.

– Pub? – zapytał ostrożnie Wilkins, nie chcąc wyjść na kompletnego ignoranta.

– Pub.

– Przylecieliśmy do pubu? Mieliśmy ratować wszechświat!

Sinus wskazał niewielki, migoczący neon, zawieszony przy drzwiach. Składał się z mnóstwa jaskrawych kresek poskładanych bez większego sensu.

– Powinno mi to coś wyjaśnić?

Sinus przewrócił oczami.

– Tam jest napisane „Pangalaktyczna Filozoficzna Szafa Grająca Kansas City” – wyjaśnił Xijn.

– Jak to Kansas City? W zeszłym roku byłem tam na wakacjach.

– Jak to? W środku? Nie było ci tam dość... ciasno?

– W Kansas City? Bez przesady, to całkiem spore miasto.

– Kansas City... Miasto... To pewnie przypadkowa zbieżność nazwisk.

Kansas City, jak już wspomniano, był młodym, bardzo obiecującym filozofem galaktycznym. Tyle że było to całkiem dawno temu i od tego czasu Kansasowi zdarzyło się również być bardzo szanowanym autorytetem moralnym i nieodżałowanej pamięci wybitnym myślicielem. Minęło już kilkaset lat, odkąd umarł ze starości, dożywszy bardzo sędziwego wieku. Nim jednak wszechświat zdążył pożałować straty wybitnej jednostki, pojawił się ktoś z niecodziennym, acz niezwykle pragmatycznym podejściem do sprawy i zaproponował, by zachować umysł Kansasa City'ego. Wielką niewiadomą w dziejowym układzie równań jest to, w jaki sposób wybitny umysł trafił do szafy grającej, niemniej sam zainteresowany nie narzekał specjalnie. Brakowało mu może nieco starego swetra, grubych okularów i ulubionej fajki, ale miał za to całkiem niezłą kolekcję esyońskiego bluzzu.

Po kilkudziesięciu latach pewien jegomość odnalazł Kansasa City'ego na targu staroci i uznał, że byłby on całkiem niezłą atrakcją. Od tego czasu pub Czterdzieści Wściekłych Diabłów słynął z dwóch rzeczy. Pierwszą był wspomniany myśliciel zamknięty w szafie grającej, drugą zaś drink o zaskakującej nazwie Czterdzieści Wściekłych Diabłów. Mimo iż Kansas City potrafił znaleźć odpowiedź na każdy problem, większą popularnością cieszył się jednak drink. Ludzie, których dręczą pytania egzystencjalne, bardziej niż poznać odpowiedzi, wołają zapomnieć, że w ogóle mieli jakieś pytania. Drink Czterdzieści Wściekłych Diabłów był w tym bardzo pomocny. Ci, którzy

przeżyli bliższe z nim spotkanie, wyjątkowo skutecznie zapominali o wielu sprawach. I to na długo.

Problem z sensem istnienia polega na tym, że niby każdy go poszukuje, ale kiedy pojawi się ktoś, kto powie, że znalazł i chętnie się tą wiedzą podzieli, wszyscy nagle mówią „Nie, dzięki. Może kiedy indziej”. Każdy w mniejszym lub większym stopniu obawia się, że jego życie po prostu nie ma sensu i woli na wszelki wypadek nie rozwiewać wątpliwości.

Sinus pchnął drzwi. Czterdzieści Wściekłych Diabłów było może miejscem fascynującym i jedynym w swoim rodzaju, ale w tej chwili, wedle wyśrubowanych norm branży pubowej, spełniało wszelkie kryteria kategorii „świecący pustkami”.

Na sali siedziało tylko dwóch gości, z czego jeden wciąż zachowywał pozycję siedzącą tylko dzięki temu, że górna połowa jego ciała była ułożona na ladzie w taki sposób, iż uniemożliwiała osunięcie się całości na podłogę. Nawet nie bełkotał pod nosem, co podpowiadało, że przegrał ostre starcie ze specjalnością zakładu.

Po drugiej stronie kontuaru stał oczywiście barman. Głównym zadaniem wszystkich barmanów, karczmarzy i reszty towarzystwa serwującego napoje alkoholowe jest niewątpliwie wysłuchiwanie życiowych tragedii gości oraz mieszanie substancji potencjalnie niebezpiecznych w całkiem smaczne mikstury, które owym gościom pozwolą na oderwanie się od tak przyziemnych problemów, jak wysokość rachunku. Jednakże prawdziwym powołaniem barmańskiej braci jest nieustanne wycieranie lady, szklanek i kieliszków. Nie żeby wymagały one takich zabiegów, to swoisty rodzaj rytuału.

Barman z Czterdziestu Wściekłych Diabłów pod tym względem nie odbiegał od normy. Wilkins nawet nie miał nic przeciwko. Skoro sprawia mu to przyjemność, to niech sobie wyciera. Tylko, jeśli się dało, miło byłoby, gdyby nie wycierał dwudziestu naczyń jednocześnie i nie za pomocą tych nieprzyjemnie wyglądających macek, jeśli łaska.

Sinus nie pozwolił Wilkinsowi długo wpatrywać się ze zgrozą w barmana wyglądającego, jakby istniał w większej liczbie

wymiarów niż zwyczajowe cztery, i pociągnął go w stronę przeciwnego rogu sali, w którym stała szafa grająca. To musiał być ten cały Kansas City i chyba nie zauważył, że lata sześćdziesiąte dawno przeminęły. Jeśli w ogóle w kosmosie istniało coś takiego.

– Siemasz, Kansas! – zawołał Sinus.

– Oho! Kogo widzą moje detektory optyczne! Toż to Sinus Pi Czwartych. – Szafa zamrugała żywo diodami. Wilkins stwierdził, że jej głos wcale nie brzmiał jak elektroniczny syntezyzator mowy Chestera. Był zupełnie naturalny i niósł sugestię krzaczastej brody, wysokiego czoła oraz wiecznie nieobecnego wzroku. – Wpadłeś posłuchać trochę esyońskiego bluzzu? Mam parę nowych kawałków. Nieźle lasują czerep.

Bluzz był niezwykle gatunkiem muzycznym, który wbrew wszelkim staraniom nie miał nic wspólnego ani z bluesem, ani z jazzem. Brzmiał jak tłuczenie głową w hydrant uliczny. Zwłaszcza w wykonaniu esyończyków, którzy mieli wyjątkowo twarde głowy i godną podziwu wyobraźnię w kwestii hydrantów ulicznych. Taki rodzaj muzyki znajdował uznanie wyłącznie wśród osobników, którzy traktowali groźby długiej i bolesnej śmierci z podobnym lekceważeniem co Sinus Pi Czwartych.

– Nie tym razem, Kansas. Mam ważniejszą sprawę.

– Nie mów mi tylko, że chciałbyś poznać sens istnienia.

– A dlaczego nie? – Sinus podparł dolną parę rąk na biodrach. – Sugerujesz, że moje istnienie nie ma sensu?

– Daj spokój, Sinus. Dobrze wiem, że w całym wszechświecie jesteś ostatnią osobą, którą dręczyłyby pytania o to, skąd przybywamy, dokąd zmierzamy i czy aby na pewno światło gaśnie w lodówce po zamknięciu drzwi.

Sinus roześmiał się serdecznie, Kansas zamrugał przyjaźnie diodami, a Xijin i Wilkins spojrzeli na nich jak na parę kretynów.

– Przychodzimy w sprawie końca wszechświata.

– A tak, słyszałem. Wszyscy mamy zginąć za... Ile to czasu zostało?

– Trzydzieści siedem godzin z hakiem. Ale nie wyglądasz na specjalnie zmartwionego.

– Daj spokój. Już raz umierałem. Więcej z tym zachodu, niż to warte.

– No, w każdym razie nasz kolega, Nab, postanowił to powstrzymać.

– Co? Umieranie? No to życzę powodzenia. Kilku gości już próbowało, ale z marnym skutkiem. Tego chyba nie da się powstrzymać. Znaczący tak do końca, bo tylko na jakiś czas to żaden wyczyn.

– Nie. Nie, umieranie. Chodzi o koniec wszechświata.

– A, chyba że tak. Nie powiem, szczytny cel.

– Możesz nam jakoś pomóc? Bo, tak jakby, nie wiemy, jak się do tego zabrać...

– Myślę, że powinniście spróbować w centrum zarządzania wszechświatem.

– Centrum zarządzania wszechświatem? – Sinus uniósł brwi. – To mamy coś takiego?

– Pewnie – zachnął się Kansas. – Każdy wszechświat ma.

– A gdzie jest to całe centrum? – Wilkins uznał za stosowne się wtrącić, by pierwsza cenna informacja nie zginęła w beztrojskim potoku słów sprzedawcy hot-dogów.

– A to już inna sprawa. Nie wiem. Ale myślę, że Wszechstronny Pike mógłby wam pomóc.

– Wszechstronny Pike... – Sinus przez chwilę smakował te słowa, marszcząc czoło i poszukując właściwych skojarzeń.

– TEN Wszechstronny Pike? – wykrzyknął Xijn nad uchem Sinusa, płosząc mu wszystkie z trudem zebrane pomysły.

– Pewnie, że ten. Jest tylko jeden Wszechstronny Pike.

Wilkins powstrzymał się od pytania, kim jest ten cały Wszechstronny Pike i czemu Xijn tak wrzeszczy. Uznał, że czy chce czy nie, i tak w końcu zostanie wtajemniczony, toteż nie ma sensu wrywać się przed szereg i po raz kolejny wychodzić na niedouczzonego kretyna.

– Ach, on... – Sinus w końcu odkrył, o kogo chodziło, ale nie zamierzał najwyraźniej gorączkować się tym tak jak Xijn. – Dalej siedzi na tym swoim kamieniu na końcu wszechświata?

– E, nie. Od kilku godzin siedzi tam, za wami, przy barze i próbuje sprawdzić, ile piwa zdąży wypić przed końcem wszechświata. Jak do tej pory całkiem nieźle mu idzie.

Wilkins spojrział w stronę baru, przy którym siedzieli wszyscy dwaj goście lokalu. O osobniku rozłożonym na kontuarze można było powiedzieć różne rzeczy, ale na pewno nie to, że picie szło mu całkiem nieźle. Zwłaszcza że jego osobowość najwyraźniej przebywała obecnie w zupełnie innej rzeczywistości niż ciało. Tym całym Wszechstronnym Pikiem musiał być zatem człowieczek wyglądający, jakby miał z tysiąc lat. Z nie do końca jasnych powodów ubrany był w pomarańczowe prześcieradło, siedział na stołku – a właściwie dwa cale nad nim – w pozycji kwiatu lotosu, a w jego najbliższym otoczeniu znajdowała się niepoliczalna liczba pustych kufli.

– Tak – oznajmił, nie odrywając wzroku od spienionej powierzchni złocistego napoju, gdy zbliżyli się do niego.

– Słucham? – zdziwił się Sinus.

– Chciałeś zapytać, czy jestem Wszechstronnym Pikiem.

– No... Zgadza się.

– Tak – potwierdził znowu staruszek.

– A teraz co? Teraz o nic nie chciałem pytać.

– Twój kolega – Pike wskazał na Xijna – chciał zapytać, czy TYM Wszechstronnym Pikiem?

Xijn odczekał kilka chwil i zamknął usta. Wilkins trwał w postanowieniu, żeby niczemu się nie dziwić. I tak ani trochę nie rozumiał, co się wokół niego dzieje, więc stwierdził, że równie dobrze może oszczędzić sobie tego całego zachodu z rozdziawianiem ust i wybałuszaniem oczu.

– Wiesz może, o Wszechstronny Pike'u, gdzie znajduje się centrum zarządzania wszechświatem? – zapytał Sinus.

– Wystarczy „Pike”. Pewnie, że wiem.

– A mógłbyś nam powiedzieć?

– Zachciało się ratowania wszechświata, co?

– To był jego pomysł. – Xijn oskarżycielsko wskazał na Wilkinsa. – Ja uprzedzałem, że to niezgodne z prawem.

– Ale wiecie, że to właściwie jest niemożliwe?

– Czyli, że nam się nie uda? – zapytał Sinus z delikatnym cieniem zawodu w głosie. Pomysł misji ratunkowej zaczął mu przypadać do gustu.

– Nie powiedziałem, że wam się nie uda. – Pike uśmiechnął się tajemniczo. – Powiedziałem tylko, że to niemożliwa sprawa.

– A możesz nam pomóc?

– To nie takie proste. Nie wystarczy wiedzieć, gdzie jest centrum zarządzania wszechświatem. Trzeba jeszcze wiedzieć, jak tam wejść. – Pike wychylił resztę piwa i otarł brodę skrajem prześcieradła. – Zgoda. Pokażę wam, jak tam trafić.

Odstawił opróżniony kufel do reszty jego krewnych, z sobie tylko znanych powodów przyjrzał się krytycznie swojej dłoni i wyraźnie zadowolony z rezultatu zeskoczył ze stołka. Był zadziwiająco gibki jak na kogoś, kto mógłby z powodzeniem udawać mumię egipską.

– To idziemy? – zapytał Sinus.

– Chwileczkę – mruknął Pike.

– Chwileczkę! – zawołał Wilkins. Właśnie uświadomił sobie, że Kansas City, jako Pangalaktyczna Szafa Grająca był prawdopodobnie ostatnią szansą na posłuchanie Floydów. – Hej, ty! Kansas! Masz może *Shine On You Crazy Diamond*?

– Pink Floyd? – zapytał Kansas.

– Tak.

– Chwileczkę. Sprawdźę... – Diody zamrugały w skomplikowanej sekwencji. – Z Pink Floyd mam tylko *High Hopes*.

Wilkins jęknął cichutko z zawodem. Był oddanym i bardzo konserwatywnym fanem Floydów – w dniu śmierci Syda Barretta nie poszedł do pracy, dokonania solowe poszczególne członków darzył pogardą zimną niczym próżnia kosmiczna, a ostatnich albumów nie uważał za pełnoprawne wydawnictwa Pink Floyd. Ale tym razem nie miał wielkiego wyboru. *High Hopes* stało się ostatnią szansą na usłyszenie przynajmniej resztek ukochanego zespołu.

– Chcesz? – zapytał Kansas.

– Dawaj.

Z głośników popłynęły pierwsze dźwięki. Wilkins poczuł, że coś tu nie gra. A właściwie gra, ale nie tak, jak powinno.

– Wersja koncertowa zespołu Nightwish. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Kilka chwil później Wilkins leżał w kącie kokpitu „Mściciela” tuż obok Bertleigha. Czterem parom rąk Sinusa, Xijna i Wszechstronnego Pike’a z trudem udało się odciągnąć go od Kansasa City’ego, obezwładnić i ocalić umysł największego myśliciela dziejów przed tragiczną śmiercią z rąk obłąkanego melomana. Wilkins drżał spazmatycznie i mamrotał pod nosem:

– Nie mieli prawa zrobić czegoś takiego... nie mieli prawa... nie mieli prawa...

– Nie rozumiem, o co mu chodzi. – Sinus wzruszył ramionami. – To była całkiem ładna piosenka.

– To... to COŚ to była niby ładna piosenka? – Wilkins przerwał psychopatyczny monolog i podniósł się do pozycji siedzącej. Gdyby można było kogoś zranić samym tonem głosu, słowa Wilkinsa zapewniłyby Sinusowi bardzo długą i bolesną kازń pełną zardzewiałych haków, tłuczonego szkła i rozgrzanych do białości metalowych prętów.

– A nie? – Sinus już kiedyś widział podobny wyraz twarzy. U x’vorgańskiego generała. Postanowił więc postąpić bardziej dyplomatycznie.

– To było... to było złe. – Wilkins wybuchł płaczem.

Wszyscy zebrani w kokpicie – oczywiście oprócz Bertleigha, który był zbyt zajęty sobą i swoim natarczywym brakiem egzystencji – spojrzeli na niego z zainteresowaniem. Oto facet, który względnie po męsku zniósł zagładę rodzimej planety, płakał jak czterolatek, któremu lizak spadł na chodnik. Tamta piosenka istotnie musiała mieć w sobie coś diabolicznego.

Nagle wilkinsową rozpacz nad losem, jaki zgotowali jego ulubieńcom członkowie zespołu Nightwish, przerwał potężny

wstrząs. Coś z wielką siłą uderzyło w statek. Xijn jako pierwszy dopadł do okna.

– Jasna cholera! – wykrzyknął. – To ten pomyłony Mendekanin! Sinus, wynosimy się stąd.

Sinus posłusznie zasiadł za sterami, Pike z bliżej nieokreślonych powodów postanowił uśmiechnąć się tajemniczo, a Wilkins odłożył histerię na później, pozbierał się z podłogi i wyrzwał na zewnątrz. Przed drzwiami Czterdziestu Wściekłych Diabłów stał ten sam gość, który jeszcze niedawno wyglądał, jakby przegrał zażartą batalię z przeważającą liczebnie armią drinków. Tyle że teraz był w pełni przytomny i celował do nich z czegoś, co wyglądało jak działo laserowe, wyrzutnia plazmy albo cokolwiek innego, za pomocą czego jedne istoty zabijają w kosmosie drugie.

– Znasz go? – zapytał Wilkins.

Xijn kiwnął głową. Był przynajmniej tak samo zdenerwowany, jak wtedy, kiedy myślał, że spóźni się do pracy.

– Była kiedyś taka planeta, Mendek... – zaczął. Wszystko wskazywało, że zapowiada się kolejna długa historia. Wilkins nagle odniósł wrażenie, że we wszechświecie nic nie dzieje się ot tak, samo z siebie, ale wszystko ma długą i pokręconą historię.

– Była, to znaczy, że...?

– Tak, nadzorowałem jej zagładę. Tylko popełniłem błąd.

– Znacząc niesłusznie ją zlikwidowałeś?

– Słusznie, słusznie. Ale pozwoliłem jednemu Mendekani-nowi ująć z życiem.

– I to był ten błąd? – zapytał Wilkins, który nagle poczuł dziwną sympatię do owego Mendekanina. Nawet jeśli próbował ich właśnie pozabijać.

– Tak, bo jedyne, z czego słynął Mendek, to oddani i fanatyczni płatni mordercy. Ten jeden poprzysiągł pomścić swoją ojczystą planetę na całej koordynatorskiej nacji. Paru z nas już dopadł. Ale czasami mam takie niejasne wrażenie, że najbardziej zależy mu na mnie.

– Doprawdy?

Xijnowi jednak nie było dane zaprezentować swoich wybitnych umiejętności w niedostrzeganiu sarkazmu, gdyż właśnie w tej chwili w statek uderzyła kolejna salwa energetyczna.

– Sinus! – krzyknął koordynator. – Mógłbyś się pospieszyć z łaski swojej?

– Moment. Nie gorączkuj się. Nie przelecę przecież przez Czterdzieści Wściekłych Diabłów. Poza tym x'vorgańskie fregaty dyplomatyczne nie takie rzeczy wytrzymują.

Zanim trzeci strzał dosięgnął powłoki „Mściciela”, Sinus ustawił okręt we właściwej pozycji i przesunął dźwignię napędu hiperświatlnego. Fala napędowej nienawiści znów szturmem wdarła się do umysłu Wilkinsa, ale ze zdziwieniem napotkała tam dość silną awersję do pewnego fińskiego zespołu muzycznego i całej Skandynawii, która ze swojego mroźnego łona wypuściła tę bandę bluźnierców. Fakt iż zarówno zespół, jak i Skandynawia należeli do przeszłości oddzielonej od chwili obecnej globalną katastrofą, wcale nie studził wilkinsowej zawziętości, co w pewien sposób wzmacniało jeszcze jego odporność.

ROZDZIAŁ 10

Przestrzeni bardzo przypadł do gustu fakt zniknięcia „Mściciela”. X’vorgańskie okręty zawsze siały mnóstwo zamętu i nie przejmowały się specjalnie fundamentalnymi zasadami fizyki oraz dobrego wychowania. Błogosławiony stan mścicielskiej nieobecności nie trwał niestety długo. Okręt po krótkiej przejażdżce w nadprzestrzeni, nie zważając na protesty przestrzeni podstawowej, pojawił się w miejscu, w którym nie było żadnych mendekańskich psychopatów i w ogóle żadnych istot żywych. Tak na wypadek, jeśli miałby się zjawić jeszcze ktoś z pretensjami do Wydziału Nadzoru Końców Światów.

Nab ku własnemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że tym razem zniósł skok nadprzestrzenny o wiele lepiej. Uznał jednak, że po prostu zaczął się przyzwyczajać. Nawet do głowy mu nie przyszło, żeby wiązać to z eksplozją nienawiści do Nightwisha.

– Ej, Pike. – Xijn zagadnął staruszka, który cały czas się uśmiechał i zaczynał doprowadzać tym wszystkich do wściekłości. Tak zawsze działają na otoczenie ludzie, którzy uśmiechają się za dużo i bez wyraźnego powodu. – Nie mogłeś nas ostrzec? Jesteś przecież Czasem. Musiałeś wiedzieć.

Pike nawet nie myślał odpowiadać, ponieważ...

– Że kim on niby jest? – wykrzyknął Wilkins. Za każdym razem, gdy wydawało mu się, że już zaczyna przyzwyczajać się do bredni, na których oparty jest wszechświat, na jaw wychodziły kolejne, jeszcze bardziej niedorzeczne.

– Czasem. A myślałeś, że kim?

– No, nie wiem. Zwyczajnym staruszkciem, który trochę zbyt często się uśmiecha? Ale nie może przecież być Czasem. Czas jest... jest... – Wilkins nagle uświadomił sobie, że tak naprawdę nie ma pojęcia, czym jest czas i że nie dysponuje żadnym sensownym uzasadnieniem, dlaczego nie miałby być właśnie staruszkciem w pomarańczowym prześcieradle. – Czas jest wielkością fizyczną. – Strzelił jedynym argumentem, jaki przyszedł mu do głowy.

– Kiedyś był. Ale teraz jest Wszechstronnym Pikeem. – Pike wycelował uśmiech w Wilkinsa, który nagle poczuł się jak młody albatros, spoglądający w pradawną nieskończoność oceanu.

– Skoro tak – Wilkins zmrużył oczy – to znaczy, że śmierć...

– Nie, nie – zapewnił Pike. – Śmierć to po prostu śmierć. Umierasz i tyle. Nie ma żadnego kościotrupa z kosą. Przynajmniej nie w naszym wszechświecie – dodał, a jego uśmiech nabrał takiego wyrazu, jakby wiedział coś, czego nie wiedzą pozostali. Właściwie, technicznie rzecz ujmując, wiedział o bardzo wielu sprawach, o których nikt inny nie miał bladego pojęcia, co na dłuższą metę było bardzo irytujące.

– Dobra, dobra, Pike. Ale nie mogłeś nas ostrzec?

– Pewnie, że mogłem. Ale sprawy zwykłych śmiertelników są dużo bardziej interesujące, kiedy istoty wszechwiedzące się nie wtrącają.

– A to, co teraz robisz, to nie jest wtrącanie się? – Xijn nie dawał za wygraną.

– A co ja takiego robię? – zapytał Pike z miną tak niewinną, że każdy sąd oczyściłby go z wszelkich zarzutów, nawet gdyby Pike kopnął sędziego w tyłek.

– Pomagasz nam ratować wszechświat.

– O, przepraszam. Koniec wszechświata to nie jest wyłącznie wasza sprawa. Mnie dotyczy nawet bardziej niż was.

– Sam się mogłeś zorientować, że to ścigający cię morderca, Xijn – wtrącił się Sinus.

– No, wybacz, nie przyglądałam się wszystkim pijakom, których napotkam.

– Ale takiego, który chce cię zgładzić, to chyba mogłeś poznać – Wilkins dołączył do dyskusji. – Nie ściga cię chyba zbyt wielu zabójców, co?

– Zdziwiłbyś się. Koordynator końca świata to bardzo ryzykowny zawód. Można łatwo podpaść niewłaściwym ludziom.

Xijn zaś był jednym z najlepszych koordynatorów, toteż gdyby miał martwić się o wszystkich osobników, którzy mogą mieć do niego żal i akurat przypadkiem ukrywają pod płaszczem działa laserowe, nie starczyłoby mu czasu na wypełnianie obowiązków.

– Dobra, w każdym razie nie dość, że ściga nas banda wściekłych X'Vorgan, to jeszcze teraz mamy na głowie jakiegoś mendekańskiego świra. – Sinus zakończył dyskusję bilansem nowo nabytych wrogów.

– X'Vorganie to nie moja wina – mruknął naburmuszony Xijn.

– A skąd wiesz, że nas ścigają? – spytał Wilkins, czując na sobie oskarżycielski wzrok koordynatora.

– To przecież X'Vorganie. Za nic nie przepuściliby takiej okazji. Na pewno już wypowiedzieli kolejną wojnę całemu wszechświatowi, chociaż jeszcze poprzednia się na dobre nie skończyła. Ale skoro o X'Vorganach mowa, to na pewno na nas nie czekają, więc może byśmy przeszli do rzeczy. Gdzie mamy lecieć, Pike? Gdzie jest to centrum?

– Ale j-jak to Ziemia? – Xijn stwierdził, że musi natychmiast poluznić krawat. Wilkins właśnie wpatrywał się w niego wzrokiem godnym najbardziej socjopatycznego mordercy.

– Normalnie. Centrum zarządzania wszechświatem jest na Ziemi. To taka planeta w Drodze Mlecznej.

– Ale przecież Ziemia została zniszczona – powiedział Sinus.

– Jak to zniszczona? – Teraz na twarzy Pike'a pojawiło się zaskoczenie, choć mięśnie mimiczne musiały chwilę się zastanowić nad właściwym układem. – Przecież ona była objęta zakazem kończenia.

Sinus wzruszył górną parą ramion.

– Ja tam nie wiem, ale Xijn osobiście to nadzorował. A jak już on nadzoruje koniec świata, to nie ma zmiłuj. Ale przecież jesteś Czasem. Powinieneś wiedzieć o takich sprawach... – Zastanowił się przez moment. – Właściwie to chyba powinieneś wiedzieć o wszystkich sprawach.

– Ale wciąż jestem też człowiekiem. Nie mogę pamiętać o wszystkim na raz. Spróbowałbyś tak pamiętać wszystko, co się wydarzyło, co się wydarza i co się dopiero wydarzy! Zazwyczaj ograniczam się do terażniejszości i przyszłości. Z przeszłością na ogół nie ma problemów. A poza tym... – Pike zająknął się, jakby miał się przyznać do ekscesów, które skończyły się wstydliwą wysypką na pewnych częściach ciała. Jego mięśnie mimiczne, przyzwyczajone przez niezliczone milenia do wszelkiego rodzaju uśmieszków, zostały w końcu zmuszone do nie lada gimnastyki, gdy zaskoczenie na obliczu Czasu przeszło w zakłopotanie. Wzorem Xijna sięgnął do szyi, ale okazało się, że jego prześcieradło nie ma kołnierzyka, który mógłby poluznić. – Poza tym kończę się.

Cała trójka spojrzała na Pike'a z jednakowym wyrazem niezrozumienia na twarzach.

– Jestem Czasem, tak? A nadchodzi koniec wszechświata. To znaczy, że się kończę.

Tępe miny nie zmieniły się ani trochę.

– Sami spójrzcie – westchnął Pike i wyciągnął przed siebie prawą dłoń. Jego palce co chwilę stawały się półprzezroczyste.

– To co teraz zrobimy? – spytał Wilkins, którego od głosu stwierzeń typu „wiedziałem, że tak będzie” powstrzymywała tylko świadomość, że nigdy nawet nie przypuszczał, by tak mogło być i byłyby to tylko czcze docinki.

– Moment. Coś mi tu nie gra – mruknął Pike, zdenerwowany nieco tym, że był zmuszony wyjawić kilka szczegółów z arkanów swojego istnienia tym marnym śmiertelnikom, dla których czas był zaledwie funkcją liniową. Zamknął oczy. Z jego oblicza zniknęły wszelkie emocje.

Wilkins przez dobry kwadrans przyglądał się idealnie nieruchomemu ciału staruszka. Pomachał mu dłonią przed twarzą, jednak bez żadnych rezultatów.

– Umarł? – zapytał w końcu lękliwie.

– E, na pewno nie. Zauważylibyśmy. – Sinus machnął ręką. – To przecież Czas. Jakby umarł, to nastąpiłby ten, no... czasoprzestrzenny... Jak to było, Xijn?

– Kolaps czasoprzestrzenny? – Koordynator pospieszył z pomocą.

– No właśnie. Bo nastąpiłby, prawda? – Sinus, popatrzwszy przez chwilę na Pike'a, stracił pewność. Mnisi nadprzestrzenni, gdy pogrążali się w medytacji, zazwyczaj wydawali z siebie coś w rodzaju zduszonego „ommmm”, co pozwalało jednoznacznie stwierdzić, że są jeszcze żywi. Z drugiej strony, kto wie, jak zachowuje się taki, który został Czasem. Może woda sodowa uderzyła mu do głowy i uznał, że żadne „ommmm” już go nie dotyczą.

Xijn wygiął usta w łuk mówiący „nie mam pojęcia, nigdy nie miałem do czynienia z umierającym czasem”.

W końcu Wszechstronny Pike rozwiązał wszystkie wątpliwości i otworzył oczy. Uśmiechnął się z ulgą, czym uspokoił wszystkich – a przede wszystkim siebie.

– Wiedziałem, że mnie bujacie z tym całym zniszczeniem Ziemi.

– Jak to? Zaręczam, że... – zaczął Xijn, przeczuwając, że ktoś tu podważa jego kompetencje zawodowe. Wilkins ze złośliwym zadowoleniem stwierdził, że towarzysze nareszcie poznają na własnej skórze to, co prześladowało go od kilku dni i nie mają zielonego pojęcia, co się wokół nich dzieje. Wilkins też oczywiście takowego nie miał, ale zawsze lepiej jest mieć jakieś towarzystwo.

– Fakt, że wszystkie organiczne formy życia uległy zagładzie, a powierzchnia stała się niezdatna do jakiegokolwiek formy egzystencji, nie oznacza jeszcze, że planeta została zniszczona.

– Nie? – Xijn do tej pory uważał siebie za eksperta w tych sprawach.

– Pewnie, że nie. Sami zresztą zobaczycie.

– Czyli możemy lecieć? – upewnił się Sinus.

– Możemy spróbować.

– No i dobra.

– Zaraz. Co to znaczy, że możemy spróbować? – Usiłował dowiedzieć się Wilkins, jednak jako, że Sinus zasiadł w swoim fotelu i położył dłoń na włączniku napędu nienawiści, szybko porzucił dociekliwość. Dopadł do fotela, chwycił się kurczowo oparcia i zacisnął zęby. Sinus przesunął dźwignię. Nab nie poczuł absolutnie niczego. Po chwili zdecydował się zaryzykować i otworzył jedno oko. Wszystko wskazywało na to, że nic się nie stało. Sinus drapał się po głowie i przesunął dźwignię w tę i nazad, Xijn też rozglądał się niepewnie, a Pike... no, cóż, chyba nie trzeba wspominać, że siedział i niewzruszenie uśmiechał się do niczego konkretnego.

Koordynator wbił w niego wyczekujące spojrzenie, ale staruszek był odporny na takie rzeczy. Potrafił przeczekać każdego.

– Pike? Ty na pewno...

– Tak, wiem, co się stało.

– Więc...?

– Poczulibyście się lepiej, gdybym powiedział, że nawet potęga nienawiści musi ustąpić wobec niezmiernego ogromu wszechświata?

Sinus i Xijn spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

– Nie – oznajmił stanowczo Wilkins, który oswoił się już ze swoją rozległą niewiedzą i podchodził do niej bez większego zażenowania.

– Tak myślałem. Zapytam więc wprost. Sprawdzaliście nienawistnika?

Stanowczo zbyt wiele osób w całym wszechświecie łamie sobie głowy nad siłami przyciągania. X'Vorganie zajęli się więc siłami odpychania. Nacja, która z nienawiści uczyniła siłę napędową rozwoju cywilizacji, nie potrzebowała wiele, by uczynić z niej również siłę napędową swoich okrętów.

Okazało się, że wystarczy zebrać kilku wybitnie uzdolnionych chłopców i wyszkolić ich w nienawiści do jednej tylko rzeczy – czasoprzestrzeni. Tak wyuczeni nienawistnicy szybko stali się ważnym elementem x'vorgańskiego społeczeństwa. Co prawda na co dzień trudno ich było złapać w przestrzeni podstawowej, a jeśli już to strasznie bolały ich głowy, ale kiedy podłączyło się któregoś do okrętu kosmicznego, ten zyskiwał nagle bardzo wydajne źródło napędu nadprzestrzennego.

Pewien problem stanowił wprawdzie powrót z tak osiągniętej nadprzestrzeni, ale w końcu co to za program kosmiczny, w którym człowiek – albo X'Vorganin – co chwila nie natyka się na kolejne przeszkody.

W każdym razie wszystko wskazywało na to, że z nienawistnikiem „Mściciela” stało się coś niedobrego. Z tego też powodu cztery pary stóp właśnie wybijały nerwowe i nieco chaotyczne staccato, przemierzając korytarze „Mściciela”, chociaż należałoby zaznaczyć, że krok Pike'a miał nerwowy charakter ze względu na czysto towarzyskich.

W końcu dotarli do drzwi obramowanych żółto-czarną taśmą. Mieszanka tych dwóch kolorów, mimo różnorodności form życia, w całym wszechświecie oznacza to samo – jeśli człowiek nie będzie dostatecznie ostrożny, może mu się przydarzyć seria bardzo przykrych wypadków przewidujących miażdżenie, łamanie i przymusowe amputacje różnych części ciała.

Na drzwiach umieszczono tabliczkę pełną czerwonych symboli, które wyglądały, jakby robiły sobie nawzajem nieprzyjemne rzeczy. Od samego patrzenia można było dostać bólu głowy.

– Co tam jest napisane? – zapytał Wilkins. Nabrał już trochę doświadczenia i wiedział, że jeśli widzi się graficzny chaos umieszczony na drzwiach, można spodziewać się, że jest to napis w jakimś kosmicznym języku. Jeśli zaś obcowanie z nim sprawia człowiekowi przykrość, zapewne chodzi o język x'vorgański.

– „Uwaga! Duże stężenie nienawiści. Nie wchodzić. Nie zbliżać się. Nie oddychać. A najlepiej to wszyscy pozdychajcie” – odczytał Sinus i niewiele myśląc, położył dłoń na klamce.

– Hej! – krzyknął Wilkins. – Przecież napisali, żeby nie wchodzić i że duże stężenie nienawiści.

– No i?

– Ten, kto to pisał, chyba wiedział, co robi.

– Ale w tej chwili nasz problem polega na tym, że stężenie nienawiści jest akurat za małe.

– No tak – mruknął Wilkins. Z tym argumentem nie dało się dyskutować. Sinus pchnął drzwi. Pomieszczenie za nimi było skąpane w czerwonym półmroku. Urządzenia, którymi je wypchano, złożone były z całej masy cylindrów, przekładni, wałów, rur i kabli. Wyglądały dokładnie tak, jak powinny wyglądać urządzenia napędzające statek kosmiczny. Na samym środku, owinięty kłębowiskiem przewodów, siedział odrażający potwór.

Nab szybko przypomniał sobie wszystkie okropności, jakie widział w życiu. Z nostalgią pomyślał o potwornej obsłudze Centralnego Urzędu Galaktycznego. Wszyscy krwiożerczy windziarze i parkingowi zebrani razem nie mogli się mierzyć z tym tutaj. Potwór wyglądał tak, jakby ktoś chciał stworzyć naprawdę koszmarną bestię i wcielił w życie wszystkie pomysły, jakie mu tylko przyszły do głowy.

– C-co to jest? – spytał Wilkins zza pleców Wszechstronnego Pike'a.

– To X'Vorganin – wyjaśnił Xijn. – Tylko coś z nim jest nie tak.

– On... – jęknął Sinus. Nie mógł się zdecydować, czy powinien być bardziej zszokowany, czy przestraszony, więc stał jak wryty i jękał się bezradnie. – On s-się... u-u-uśmiecha.

Wilkins przełamał się i zaryzykował spojrzenie na potwora. Coś, co tamten miał na twarzy, mogło być wszystkim, tylko nie uśmiechem. Wyras oczu nienawistnika sprawiał, że Nab zaczynał poważnie martwić się o swoje organy wewnętrzne.

– Trzeba sprawdzić, co mu się stało – oznajmił Xijn. Razem z Sinusem ruszyli ostrożnie w stronę X'Vorganina. Pike powłókł za sobą uczeplone ramienia Wilkinsa.

– „Jednostka 42. Nienawistnik pierwszej klasy energetycznej. Nie drażnić.” – Sinus odczytał napis na tabliczce przewieszanej przez szyję potwora.

Nagle obiekt zainteresowania poderwał się z podłogi i odepchnąwszy Pike'a, rzucił się w objęcia Wilkinsa. Nab, absolutnie nieprzygotowany na takie przygody, zwałił się ciężko na podłogę, pociągając za sobą napastnika. Minęła dobra chwila, nim uświadomił sobie, że posiada płuca i powinien właśnie wydzierać się, na ile tylko mu pozwalały.

Sinus i Xijn czym prędzej rzucili się do rozdzielania wrzeszczącego dziko kłębowiska ludzi, X'Vorgan i kabli. Gdy tylko Wilkins wyswobodził się z uścisku, umknął pod ścianę, odpychając się rękami i nogami, ale nie miał najmniejszego zamiaru przestawać wrzeszczeć. Przynajmniej na razie.

Potwór usadzony z powrotem na miejscu zabulgotał entuzjastycznie.

– O, cholera – powiedział Sinus.

– Co „o, cholera”? – Wilkins akurat zrobił przerwę na nabranie powietrza i zainteresował się znaczeniem dźwięków, które brzmiały jak odgłosy opisywane przez samego Lovecrafta.

– Powiedział „pokój i miłość, bracia”.

– I co to ma niby znaczyć? – Nab najwyraźniej chwilowo zapomniał o przeżywanej właśnie traumie i opętańczych wrzaskach.

– Że dalej nie polecimy.

Można by pomyśleć, że szczerze nienawidzący wszystkiego X'Vorganie dla ruchu hipisowskiego będą mieli odrębną kategorię nienawiści. Nic bardziej mylnego. Jest to jedna z bardzo niewielu rzeczy, do których X'Vorganie żywią inne uczucie. W tym przypadku mowa o strachu. Ruch hipisowski jest dla nich tym samym, czym dla siedemnastowiecznych Ziemian epidemia dżumy.

Poważny przypadek choroby budzącej popłoch w x'vorgan'skich sercach właśnie siedział na podłodze w kokpicie „Mściciela”. Miał na sobie workowatą koszulę w bezkształtne, różnokolorowe plamy, okulary o okrągłych, różowych szklach na nosie i wieniec z kwiatów przewieszony przez szyję.

Nie do końca wiadomo, skąd wytrzasnął wszystkie te akcesoria, gdyż z całą pewnością nie mogły wchodzić w skład podstawowego wyposażenia „Mściciela”. Możliwe, że był to jeden z objawów pacyfistycznej zarazy. Z całą pewnością też nie powinny znajdować się na kimś takim jak Jednostka 42. To samo zresztą dotyczyło radosnego kiwania się na boki i śpiewania wesołych piosenek... A właściwie jakichkolwiek piosenek.

Wilkins przezornie ulokował się w najdalszym od x'vorgańskiego pacyfisty kącie pomieszczenia i ukrył się za barykadą zmontowaną pospiesznie z Bertleigha, któremu w tej chwili i tak było wszystko jedno. Usiłował zająć czymś umysł, który histerycznie upierał się, że należy uciekać jak najdalej, a śmierć z braku tlenu w kosmicznej próżni wcale nie jest najgorszym rozwiązaniem. Zapatrzył się na Sinusa Pi Czwartych, który zabijał nudę wystukując wszystkimi czterema rękami skomplikowany rytm na oparciach fotela.

– Cztery ręce...

Wilkins doskonale pamiętał, że fundamenty jego światopoglądu i zdrowia psychicznego wymagały ignorowania takich rzeczy. Niestety wszechświat niezbyt przejmował się jego psychiką. Szybkie, nieostrożne spojrzenie po towarzyszach niedoli uświadomiło mu, że może nie być już czego ratować. Rozmyślanie o x'vorgańskim nienawistniku było zdecydowanie szybszą drogą do hipotetycznego kosmicznego psychiatryka.

– Hej, Sinus! – zawołał w końcu. – Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– O co chodzi z tymi twoimi czterema rękami?

– Co? – Na twarzy sprzedawcy hot-dogów odmalowało się szczere zdziwienie.

– No, nie wiem, czy pamiętasz, ale my wszyscy mamy po dwie ręce. Ja, Bertleigh, Xijn, Pike... nawet ten x'vorgański potwór.

– Nie nazywaj go tak. Będzie mu przykro.

– Przykro to mi było, kiedy próbował mnie wycisnąć jak cytrynę.

– On wcale nie...

– Dobra, dobra – przerwał Wilkins, czując, że rozmowa wraca na te tematy, od których ze wszystkich sił próbował uciec. – Miałeś mówić o rękach. Dlaczego masz cztery?

– Bo tak jest znacznie wygodniej.

– Hm... No, tak – Wilkins w zamyśleniu pokiwał głową. – Nie rozumiem.

Nie obyło się oczywiście bez opowieści, która tym razem jednak okazała się zaskakująco krótka jak na historię obejmującą kilkadziesiąt milionów lat.

Okazało się, że Sinus pochodził z planety Faradax Prime, na co dzień orbitującej beztrąsko wokół Aldebarana. Trudno powiedzieć, czy to Aldebaran był wyjątkowo korzystną gwiazdą, czy sam Faradax przejawiał jakieś dobroczynne właściwości, ale faktem jest, że Faradaksjanie od początku swojego istnienia byli niezwykle entuzjastycznie nastawioną do świata nacją.

Niesprawiedliwość ewolucyjna, która odebrała radość z istnienia X'Vorganom i w mniejszym lub większym stopniu wielu innym nacom, gdzieś musiała składować łupy. Wybór padł na Faradax Prime.

Kiedy pewnego poranka odległy, rybokształny przodek Sinusa i jego ziomeków wypełził z jeziora, pomyślał sobie: „cóż za piękny dzień, by zacząć oddychać powietrzem”.

Od tego momentu rozpoczął się radosny i nieco głupkowaty rozwój cywilizacyjny. Motorem napędowym większości ścieżek ewolucji jest strach i walka o przetrwanie z naturalnymi wrogami. Faradaksjanie nigdy nie dysponowali ani jednym, ani drugim. Te poważne braki motywacyjne zastąpili dziecięcą dociekliwością i naiwnością. Teoretycznie postęp ewolucyjny oparty na zasadzie „a co się stanie, jak włożę tu rękę?” powinien skończyć się dość szybko i widowiskową autoeksterminacją całego gatunku. Okazało się jednak, że Faradaksjanie mieli więcej szczęścia niż rozumu i zupełnie nie zdając sobie sprawy z możliwości istnienia jakichkolwiek zagrożeń, przeszli podobną drogę jak większość cywilizacji. Może nieco wolniej, ale zdecydowanie weselej.

Zdarzały się też oczywiście morderstwa, wojny i tym podobne, jednak nawet wówczas nikt nie chował urazy.

W końcu nieuchronnie nadszedł dzień, w którym Faradaksianie odkryli inżynierię genetyczną. Nacje, które rozumieją znaczenie wyrażen „niebezpieczeństwo”, „konsekwencje” i „może lepiej tego nie róbmy”, na ogół podchodzą do takich spraw z dużą ostrożnością, zaczynając od groszku, ewentualnie myszy. Na Faradax słowo „genetyka” jeszcze na dobre nie okrzepło w społecznej świadomości, a już na każdym kroku można było natknąć się na różnej maści gabinety, w których ubabrani po łokcie w chromosomach i aminokwasach specjaliści z szaleńczym błyskiem w oku majstrowali przy kolejnych generacjach nadfaradaksjan.

Sinus miał szczęście, że urodził się w czasach, gdy panowała moda na dodatkowe ręce. Inni nie zawsze mieli tyle szczęścia – eksperymentowanie metodą prób i błędów na faktycznych pacjentach na ogół nie jest uważane za dobry pomysł.

Wilkins po wysłuchaniu skróconej historii matczynej planety Sinusa, stwierdził, że Faradax musi być najbardziej pomyloną planetą we wszechświecie i że chyba jednak nie był aż tak ciekaw jej losów. Faradax był po prostu irytującą, czynną przez całą dobę fabryką wariatów. W kokpicie znów zapadła irytująca cisza, którą po chwili przerwał burczący dźwięk. Wilkins poczuł ścisk w żołądku. Policzył w myślach i stwierdził, że nic nie jadł od... od dosyć dawna.

– Głodny jestem – oznajmił obojętnym tonem.

– Moment! – Ożywił się Xijn. – Nie masz przypadkiem ochoty na hot-doga?

Wilkins zrozumiał, co chodziło po głowie Xijnowi i przejął podekscytowanie koordynatora. Po chwili jednak uświadomił sobie, że od końca Ziemi żywił się właściwie wyłącznie hot-dogami i w związku z tym jego żołądek wolałby raczej dalej głodować.

– Nie za bardzo – oznajmił kwaśnym tonem.

Nagle nienawistnik zabalgotał. Wilkins, który niemal wyparł go ze swojej wizji wszechświata, został boleśnie sprowadzony

do rzeczywistości. Przyłgął panicznie do ściany i dokładniej osłonił się Bertleighem.

Sinus odbulgotał coś do potwora, ale jeśli chodzi o możliwości artykulacji odrażających dźwięków, wypadł przy Jednostce 42 dość blado. Odgłos wydany przez Sinusa musiał być pytaniem, ponieważ potwór powtórzył jeszcze raz to samo, co wcześniej.

– Niesamowite.

– Co jest takie niesamowite? – Wilkins nie był pewien, czy chce słyszeć, o czym Sinus bulgotał z X'Vorganinem, ale uznał, że może to być bezpośrednio związane z jego życiem i dalszymi losami całego wszechświata, więc dobrze byłoby jednak się dowiedzieć. Zwłaszcza, że ten cały Wielki Jam Tembok zapewne tykał i czasu mieli coraz mniej. Chociaż, jakby spojrzeć na Pike'a, to właściwie wciąż było go tyle samo.

– Jednostka 42 mówi, że wprost przepada za hot-dogami.

Jakby na potwierdzenie słów Sinusa, z głośników nagle wydobył się znajomy syntetyczny głos:

– Jak się macie, chłopaki? Już myślałem, że was nie znajduję!

Kilka chwil później Sinus był z powrotem w swoim hot-dogowym żywiole. Siedział w kokpicie, otoczony hałdami bułek i kielbasek, tu i ówdzie urozmaiconymi zagajnikami butelek z sosami. X'vorgański hipis również czuł się w tym miejscu doskonale. Chwilowo jego uwagę całkowicie pochłaniały produkty spożywcze, które oburącz ładował do paszczy, stworzonej raczej do odgryzania głów nędzniejszym formom życia. Takim jak na przykład ludzie.

Sinus stwierdził, że nie mogą zostawić ciężko chorego X'Vorganina na pastwę losu. Wilkins miał na ten temat zgoła odmienne zdanie. Uważał, że Jednostka 42 i los z całą jego złośliwością są siebie warci.

Ponieważ jednak Sinus upierał się przy swoim kretyńskim humanitaryzmie, Wilkins jako godny syn nieistniejącego już

praktycznie narodu powiedział, że w takim razie należy przeprowadzić głosowanie.

A demokracja... Cóż, wiadomo, że demokracja czasem dziwnie się zachowuje i nie ma żadnych powodów, żeby w kosmosie było inaczej. Pike jako istota wyższa uśmiechnął się tylko i powiedział, że nie będzie się wtrącał, Chester utrzymywał, że w ogóle nie wie, o co się rozchodzi, a Bertleigh nie uznał za stosowne opuszczać swojego wewnętrznego, nihilistycznego świata tylko po to, by brać udział w takich głupotach. Po wykluczeniu nienawistnika, jako niebędącego w pełni władz umysłowych, frekwencja wyborcza zamknęła się na poziomie czterdziestu procent, a Wilkins i jego postulat wysłania X'Vorganina do wszystkich diabłów przegrali z kretesem.

Wilkins zostawił Bertleigha w spokoju i ukrył się za jonowym podgrzewaczem hot-dogów. Właściwie, jeśli się dobrze zastanowić, to podgrzewacz całkiem niedawno usiłował zrobić Wilkinsowi to samo, co nienawistnik, ale maszynie nie sprawiało to przynajmniej przyjemności. Prawdopodobnie.

– Sinus – powiedział Xijn, który najwyraźniej był jedyną istotą, która pamiętała jeszcze o powadze ich misji i dostrzegła, że Pike, chociaż wciąż uśmiechnięty, zaczyna rozmazywać się na krawędziach.

– Hm?

– Zostało nam niecałe trzydzieści godzin. Moglibyśmy już lecieć na tę Ziemię?

– Nie za bardzo.

– Dlaczego?

– No, jakby ci powiedzieć, Xijn... To trochę twoja wina. Na całej Ziemi nie ma nikogo, kto miałby chęć na hot-doga. Domyślasz się chyba, dlaczego...

– Ja tylko wypełniałem swoje obowiązki. – Xijn nachmurzył się.

– To co zrobimy? – Wilkins wychylił się z kryjówki.

– Polecimy. Tylko trochę naokoło. Musimy znaleźć środek transportu niezależny od ludzkiego apetytu. Ale najpierw trzeba namierzyć miejsce, gdzie jednak znajdzie się jakiś głodny klient.

– Aż taki z tym problem? – zapytał Wilkins. – Myślałem, że wszechświat to... jak to było... dość duża czasoprzestrzeń.

– Duża, duża... Na Ziemi było to samo. W obliczu rychłego końca wszyscy jakoś tracą apetyt. Większym powodzeniem cieszą się wtedy sklepy z elektroniką. Zwłaszcza te zamknięte. Znalazłeś coś, Chester?

– Jeszcze szukam. Coś strasznie pusto. Nawet jak na koniec wszechświata.

Niestety grupka koordynatorów końca świata, która jeszcze całkiem niedawno chciała kupić parę hot-dogów, z rozczarowaniem odkryła, że tak Sinus Pi Czwartych, jak i jego budka zniknęły nie wiadomo gdzie. Wyglodniali urzędnicy zaopatrzyli się więc w paszteciki sprzedawane przez jegomościa, który podejrzanie wcale nie wyglądał jak mendekański zabójca owładnięty żądzą zemsty. Możliwe też, że wcale nie miał nic wspólnego z bolesną kازnią urzędników kilka minut później. Możliwe... We wszechświecie wszystko jest możliwe.

W każdym razie, w całym Centralnym Urzędzie Międzygalaktycznym wszyscy jakoś stracili ochotę na jedzenie od obwoźnych gastronomów, a sprzedawca pasztecików ulotnił się błyskawicznie. Właśnie dostał wiadomość, że niejaki Xijn Jumgroth, który niedawno zwiął w nadprzestrzeń, znowu się pojawił i najwyraźniej chwilowo nie zamierza ruszać się z miejsca. Oczywiście sprawę można było rozwiązać dużo szybciej, ale umysł Mendekanina był zbyt zaślepiiony żądzą mordu, by wytworzyć powiązanie logiczne między Xijnem Jumgrothem i kielbaskami z musztardą zapakowanymi do podłużnych bułek.

– Mam! – oznajmił w końcu radośnie Chester. – I to niezwykle silny sygnał.

– Super! Gdzie?

– No, z tym jest mały problem. Sygnał jest silny, ale trochę rozmyty. Musimy lecieć w ciemno.

– Moment. To znaczy, że mamy lecieć nie wiadomo gdzie, z nadzieją, że trafimy w miejsce, gdzie nikt nie będzie chciał nas pozabijać? – wtrącił Wilkins.

– Tak. – Sinus wzruszył górną parą ramion. – Poza tym, czemu ktoś miałby chcieć nas pozabijać?

– Nie wiem. Może to znowu ktoś, kto ma pretensje do Xijna.

– Wypraszam sobie – burknął koordynator. Musiał jednak przyznać, że takie obawy nie były do końca bezzasadne.

– Daj spokój. Ktoś chce po prostu zjeść hot-doga. A my mamy hot-dogi. Znaczący mamy wspólne interesy. Co nam może grozić? Ktoś, kto lubi dobre hot-dogi, nie może być dla nas zagrożeniem. – Sinus uciął dyskusję i zabrał się do wydobywania potrzebnych przyrządów sterowniczych spod grubej warstwy hot-dogowych półproduktów.

Wilkinsowi skończyły się argumenty. Spojrzał ponad krawędź jonowego podgrzewacza na nienawistnika. X'Vorganin miał pysk w bardzo sugestywny sposób umazany keczupem i chwilowo był bez reszty oddany pochłanianiu wszystkiego, co wpadło mu w łapy i było względnie jadalne.

W umyśle Wilkinsa kilka kawałków układanki wskoczyło nagle na właściwe miejsca. Powstały obrazek wcale nie był przyjemny. Nab aż zbyt dobrze rozumiał, co przedstawia.

– Nie! – krzyknął, ale było już za późno. Fragment próżni o wymiarach standardowej budki z hot-dogami właśnie z cichym pyknięciem wypełnił dziurę w powłoce rzeczywistości nieopodal porzuconej, bezużytecznej x'vorgańskiej fregaty dyplomatycznej.

ROZDZIAŁ 11

Inferno, Ognisty Rumak Apokalipsy, przemierzał mroźne otchłanie kosmicznej pustki, ciągnąc za sobą imponujący, roziskrzony warkocz. Właściwie nie było racjonalnych powodów, dla których miałby robić takie rzeczy. Jak już wspomniano, Jeźdźców Apokalipsy – i ich koni – nie dotyczyły zwykłe zasady fizyki, toteż Wojna mógł bez większego problemu przenieść się z asteroidy Wszechstronnego Pike'a od razu na Ziemię. Czuł jednak, że nie byłoby to właściwe. Czym byłby koniec wszechświata bez odpowiednich efektów specjalnych? Cóż, zapewne nadal końcem wszechświata, ale zdecydowanie uboższym w sferze wizualnej.

Poza tym Wojna zawsze lubił dobre wejścia. Tym razem jednak nie bardzo mu wyszło. Zostało jeszcze sporo czasu, więc chciał się trochę rozerwać na Ziemi. Zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach – miał przelecieć niczym złowieszczą kometa przez ołowianoszare niebo, podczas gdy ludzie w dole rzucaliby się sobie nawzajem do gardeł. Dalej to już standardowo: zamieszki, policja, wojsko, globalny konflikt nuklearny i te sprawy... Ołowianoszare niebo się zgadzało, ale na tym koniec.

Wojna dobrze znał Ziemię z dawnych czasów i wiedział... a raczej myślał, że nie będzie się tu nudził. Jakże gorzkie ogarnęło go rozczarowanie, gdy okazało się, że jakiś drań postanowił zgładzić wszystko, co dało się zgładzić, a całą resztę potraktował ogniem. I to bez udziału Wojny.

Jęknął z rozczarowaniem, unosząc się ponad żałośnie porzuconym, nowiutkim silosem rakiet termojądrowych, który

nawet nie zdążył wystrzelić jednego malutkiego pocisku. Takie rzeczy chwyciły go za serce.

W końcu Jeździec otrząsnął się. Miał jeszcze prawie trzydzieści godzin i nie miał najmniejszego zamiaru spędzać ich na pogorzelniku. We wszechświecie na pewno znalazłoby się kilka nacji, które z radością wpadłyby w szal wojny totalnej. Na przykład X'Vorganie. Taak... X'Vorganie byli jednymi z głównych ulubieńców Wojny. Mieli wybitne uzdolnienia. Chociaż te uzdolnienia mogły ich doprowadzić do wymarcia... Wojna zastanowił się... już jakieś dziesięć tysięcy lat temu.

Cóż, na Ziemi i tak nie miał nic do roboty. Równie dobrze mógł sprawdzić, jak wygląda sytuacja na Vorg X. Szarpnął za wodze. Inferno stanął w powietrzu dęba i wystrzelił z powrotem w przestrzeń kosmiczną. Wielu poetów, malarzy i specjalistów od efektów specjalnych oddałoby życie za scenę ukazującą majestatycznego, ognistego rumaka znikającego w ciężkich, ołowianych obłokach. Niestety, musieli zadowolić się oddaniem życia za scenę zderzenia z asteroidą. Na wiele im się nie przydała.

ROZDZIAŁ 12

Stolica Vorg X o niewypowiadalnej dla normalnych istot nazwie, złożonej z dźwięków na granicy artykułowalności, była istną perełką wśród miast całego wszechświata. Głównie ze względu na odrazę, jaką darzyła wszelkie zasady urbanistyki i planowania przestrzennego. Sam układ ulic mógłby niewprawnego obserwatora przyprawić o obłąd.

Podobnie jak w przypadku większości miast, także tutaj centrum było pojęciem czysto umownym i nie miało specjalnie wiele wspólnego z takimi określeniami jak „środek ciężkości” czy „geometria”. Centrum na ogół stanowi miejsce, które zawiera coś niezwykle istotnego dla miasta. Zwykle chodzi o największe skupisko punktów handlowych. Tutaj w centrum znajdował się Pałac Najwyższej Pogardy.

Pałac zaliczał się do chwalebnej kategorii budynków, które nie wiadomo jakim cudem jeszcze się nie zawaliły. Cóż, wystarczy tylko wspomnieć o elementarnych zasadach budownictwa i już można być pewnym, że bardzo poważnie uraziło się całą x'vorganą nację.

W każdym jednak razie Pałac Najwyższej Pogardy trzymał się w całości i dzięki temu jego korytarzami mógł przechadzać się sam Wielki Dyplomata Gurb Ygh Layton w towarzystwie Głównego Odrazologa Skrubu Ygh Gnarga.

Niewiele jest rzeczy, które są w stanie ucieszyć X'Vorganina, a Skrubowi Ygh Gnargowi przydarzyły się aż dwie jednocześnie. Po pierwsze nadciągał koniec wszechświata, a po drugie X'Vorganina o podobnym statusie społecznym – w tym przypadku

Gurba Ygh Laytona – właśnie spotkało głębokie upokorzenie. Taka dawka uciechy mogłaby zabić przeciętnego X'Vorganina, lecz Skrub Ygh Gnarg był wybitnym odrazologiem i umiał doskonale panować nad niebezpiecznymi emocjami. Prowadził Gurba Ygh Laytona w sobie tylko znanym kierunku, ale jedno było pewne – nie zamierzał pocieszać Wielkiego Dyplomaty.

X'Vorganie szczerze nie znosili całego wszechświata i nie dostrzegali żadnego powodu, by z tego grona wykluczać samych siebie. Jednak Gurba Ygh Laytona i Skruba Ygh Gnarga od lat łączyła silna osobista więź. Żeby oddać jej charakter wystarczy chyba przypomnieć, że z całej palety uczuć X'Vorganom bliżej znane było tylko jedno...

– Słyszałem, Wielki Dyplomato, że pertraktacje pokojowe nie przebiegły dokładnie tak, jak było to zamierzone.

– Nie. – Gurb Ygh Layton, ku delikatnemu rozczarowaniu odrazologa, nie wydawał się zmartwiony tym faktem. – W nowo zaistniałych okolicznościach uznałem, że takie rozwiązanie będzie zbyt cenną ekstrawagancją.

– Rozumiem – mruknął Gnarg. – A jak tam z tym pana stateczkiem, jak mu było... „Mścicielem”? Odnalazł się?

Layton zabalgotał pod nosem. Odrazolog z zadowoleniem stwierdził, że trafił w czuły punkt. Nagle, niby to przypadkiem zatrzymał się przed Wielką Listą Nienawiści. Lista zajmowała ładnych kilkadziesiąt metrów kwadratowych ściany i zawierała rzeczy, które z różnych powodów X'Vorganie darzyli szczególnie płomiennymi uczuciami i w związku z tym to one najczęściej jako pierwsze stawały w płomieniach w x'vorgańskich snach. Na samym szczycie, tak dla formalności, znajdował się cały wszechświat, a nieco niżej, gdzieś pomiędzy traktatami pokojowymi i procjońską sztuką układania kwiatów, widniało nazwisko niejakiego Sinusa Pi Czwartych, międzygwiazdowego sprzedawcy hot-dogów. I nie była to przypadkowa zbieżność nazwisk.

By wyjaśnić okoliczności pojawienia się Sinusa na Wielkiej Liście Nienawiści, wystarczy powiedzieć, że nie przypadkiem potrafił on sterować x'vorgańskimi okrętami, a x'vorgańska flota

nie przypadkiem utraciła przed laty kilka unikatowych jednostek. W całą tę aferę zamieszany był również Chudy Ben i jego galaktyczne złomowisko na skraju Andromedy, ale ponieważ X'Vorganie nigdy nie odkryli tego rozdziału historii, nie ma co o tym zbyt dużo i zbyt głośno opowiadać.

– Czyżby zapomniał pan, jak wygląda Wielka Lista? – Gurb Ygh Layton pozwolił sobie na uszczypliwość, choć przeczuwał, że odrazolog knuje coś, co zdecydowanie mu się nie spodoba. Może nawet odnalazł „Mściciela”...

Odraszolog uśmiechnął się tylko i ruszył dalej. Wielki Dyplomata poczuł nieprzyjemny dreszcz. Stał przez chwilę w miejscu i zastanawiał się, co w Wielkiej Liście sprawiło taką uciechę odraszologowi. Uśmiech X'Vorganina nawet w innych X'Vorganach budził niepokój, a jeśli uśmiechającym się był Skrub Ygh Gnarg, Wielki Dyplomata stawał się osobą, która zdecydowanie powinna mieć się na baczności.

W końcu Gurb Ygh Layton skapitulował i pełen złych przeczuć podążył za Skrubem Ygh Gnargiem. Po chwili dotarli do drzwi, które samymi rozmiarami sugerowały, że z drugiej strony znajduje się coś niezwykle ważnego.

– Muszę panu coś pokazać – oznajmił pyszałkowatym tonem naukowiec i pchnął wierzaje.

W pomieszczeniu znajdowała się cała masa odzianych w białe fartuchy odraszologów oraz zastęp gwardzistów w gotowości bojowej. Layton przez chwilę zaniepokoił się, czy Gnarg przypadkiem nie zamierza przejąć stanowiska Wielkiego Dyplomaty, jednak szybko usunął tę myśl z listy podejrzeń. Ten skończony kretynek uważał, że odraszologia jest dużo ważniejszą dziedziną od dyplomacji. Layton nie widział powodów, by wyprowadzać go z błędu.

Wolną przestrzeń pozostawioną przez armię naukowców i żołnierzy szczelnie wypełniały dziwaczne urządzenia, będące naturalnym elementem otoczenia każdego odraszologa. Wszystkie maszyny upchnięto tak, by na środku sali pozostał kawałek miejsca. Wyglądało na to, że właśnie ten fragment pustki stanowi centrum zainteresowania wszystkich zgromadzonych.

Uwagę Wielkiego Dyplomaty przykuł X'Vorganin usadowiony na podwyższeniu w drugim końcu pomieszczenia. Większość urządzeń była podłączona do jego głowy.

– Nienawistnik? – spytał podejrzliwie Gurb Ygh Layton. – Prowadzicie badania nad napędem nieskończonej nienawiści?

– Niezupełnie. Słyszeliście kiedyś, Wielki Dyplomato, o tak zwanej miłości?

– Coś tam mi się obilo o uszy – mruknął Layton. Obudził się w nim głęboko zakodowany, pierwotny lęk. Spora część X'Vorgan słyszała opowieści o miłości. Była ona tym, czym x'vorgańscy rodzice straszili niegrzeczne dzieci. Jeśli taka kreatura, jak Skrub Ygh Gnarg, zajmowała się tą całą miłością, nie mogło to oznaczać niczego dobrego. Zwłaszcza dla Gurba Ygh Laytona.

– Otóż odkryliśmy, że miłość od nienawiści dzieli jedynie cienka linia. Wystarczy więc odpowiednio długo i intensywnie podsycać nienawiść, by przeszła na drugą stronę. – Naukowiec pozwolił dyplomacie zrozumieć powagę sytuacji i swoją własną marność wobec tak epokowego odkrycia. – Jednostka 2000, którą pan widzi o tam, po drugiej stronie pokoju, jest... – Podjął po chwili. – ...a właściwie była wybitnie uzdolnionym nienawistnikiem. Od lat pracowaliśmy nad nim i w końcu udało nam się wyszkolić go na... – Skrub Ygh Gnarg znów zrobił przerwę, by Gurb Ygh Layton mógł odpowiednio docenić skalę dokonania i zapłonąć z zazdrości – ...miłośnika.

Wielki Dyplomata nic nie powiedział. Dyszał ciężko przez rozchyloną paszczę. Główny Odrazoloz z satysfakcją podziwiał konsternację na jego twarzy.

– Te urządzenia pod ścianami to wzmacniacze emocjonalne – wyjaśnił naukowiec. – Właśnie nabierają mocy. Proszę uważnie obserwować.

Layton obserwował. Po chwili światło zamrugało i przygasło, wzmacniacze zabuczały z wysiłku, a atmosfera zgęstniała tak, że możnaby ciąć ją nożem, ale pod warunkiem, że byłby on niewyobrażalnie ostry.

Nagle nerwowy nastrój rozładowało coś w rodzaju odwróconego „pyk!“. Wzmacniacze uspokoiły się, oświetlenie wróciło do normy, a lufy wszystkich karabinów zostały wycelowane w prostopadłościenny obiekt, który pojawił się w przeznaczonym dla niego miejscu i z miejsca został unieruchomiony ciężkimi klamrami magnetycznymi.

Gurb Ygh Layton wytrzeszczył oczy. Doskonale wiedział, czym był ów obiekt i do kogo należał. Drzwi w ścianie bocznej obiektu otworzyły się z charakterystycznym dla wszystkich statków kosmicznych sykiem. Z wnętrza wyłoniło się pięć postaci...

Kiedy tylko Wilkins, Sinus i Xijn opuścili budkę w towarzystwie Wszechstronnego Pike'a i Jednostki 42, od razu zorientowali się, że pomysł Sinusa z leczeniem na oślepiec nie był zbyt mądry. W zasadzie był niewyobrażalnie głupi. Sinus z wyraźnym poczuciem zawodu obserwował otaczającą ich bandę X'Vorgan. Gorszy od samej obecności X'Vorgan był tylko fakt, że najwyraźniej ściągnęli ich tu specjalnie i byli bardzo zadowoleni z tego powodu. Na moment zapadła cisza. Aż się prosi, żeby nazwać ją grobową, jednak większość nieboszczyków, gdyby usłyszała coś takiego, wstałaby z martwych, zażenowana poziomem akustycznym swego dotychczasowego miejsca spoczynku. W końcu przerwał ją nie kto inny, jak sam Sinus Pi Czwartych:

– Hej, Nab! – zawołał. – Patrz. To Wielki Dyplomata Gurb Ygh Layton! To jemu podwędziłeś okręt.

Wilkins nie bardzo znał się na X'Vorganach, ale z pobieżnych obserwacji Jednostki 42 i kilku osobników, którzy właśnie celowali do niego z karabinów laserowych, wywnioskował, że naturalnym kolorem X'Vorgan jest zgniłozielony. Wskazywany przez Sinusa Gurb Ygh Layton musiał być bardzo chory albo bardzo wściekły, jako że stawał się właśnie ciemnofioletowy. Sprzedawca hot-dogów też najwyraźniej to dostrzegł, ponieważ powiedział:

– Chyba nie powinienem był mówić tego na głos.

– Miło, że się zorientowałeś – burknął Wilkins, gdy połowa x'vorgańskiej gwardii przyciskała ich czwórkę do podłogi. Pozostali żołnierze, jak również wszyscy odrazolodzy – nie wyłączając samego Skrubu Ygh Gnarga – usiłowali zatrzymać ogarniętego furią Gurba Ygh Laytona. Z marnym skutkiem zresztą. Wielki Dyplomata dobrze wiedział, że najszybsza droga do celu wiedzie po trupach, więc postanowił wcielić tę zasadę w życie... No, może nie tak do końca. Ciała pobratymców, którzy okazali się na tyle głupi, że próbowali stanąć mu na drodze, nie były martwe, ale dość solidnie ogłuszone.

Na szczęście żołnierze w czas zorientowali się w sytuacji i czmychnęli z więźniami bocznym wyjściem. Gdy szturchany i popychany Wilkins przemierzał w pośpiechu korytarze Pałacu Najwyższej Pogardy, powietrze rozerwał ryk najwściekleszy ze wszystkich możliwych, jednak urwał się tuż przed punktem kulminacyjnym. Niedaleko w tyle Gurb Ygh Layton zwałił się ciężko na podłogę. Nad nim stał zdyszany, lecz zadowolony z siebie Główny Odrazolog. W dłoni ścisnął porządną kawał metalowej rury.

Kilka minut później i parę pięter niżej Wilkins, Sinus, Xijn, Pike i znaleziony przez X'Vorgan w budce Bertleigh zostali zamknięci w celi tak zimnej i zawilgoconej, jak tylko się dało. Jako ciekawostkę można przytoczyć zabawny fakt, że lochy w podziemiach Pałacu Najwyższej Pogardy nigdy same z siebie nie chciały być wystarczająco zimne i wilgotne, toteż o odpowiednie warunki musiała dbać specjalnie zaprojektowana do tego maszyna.

Wilkinsowi dodatkowo psuł nastrój fakt, że został ciasno spętany i zawieszony za stopy pod sufitem. Coś mu podpowiadało, że z pewnych względów został potraktowany w sposób zarezerwowany dla specjalnych gości. Poza nim pod sufitem wisiał tylko Sinus. Pozostali siedzieli sobie wygodnie na zimnej, kamiennej posadzce i beztrwosko nabawiali się hemoroidów.

– Dlaczego ja i Sinus wisimy związani jak balerony i to do góry nogami, a wy siedzicie sobie spokojnie pod ścianą? – zapytał, po raz kolejny okręcając się wokół własnej osi.

– Cóż, ty to pewnie za kradzież okrętu Wielkiego Dyplomaty. Jesteś więźniem specjalnej kategorii – powiedział obojętnie Xijn. – Możesz sobie pogratulować. Za takie coś na pewno wpiszą cię na Wielką Listę Nienawiści.

– Na co?

– X’Vorganie mają taką listę z rzeczami, których nie znoszą najbardziej w całym wszechświecie.

– A dlaczego Sinus wisi razem ze mną?

– A myślisz, że jak nauczyłem się kierować x’vogańskimi statkami? – Sinus obrócił się twarzą do Wilkinsa i wyszczerzył zęby. – Ja jestem na Liście już od dłuższego czasu.

– To ze względu na niego nas tu ściągnęli. – Xijn pokiwał głową. – Ty jesteś tylko przypadkową zdobyczą. Taką drugą pieczenią przy jednym ogniu.

Wilkins skrzywił się. W zaistniałych okolicznościach nie bardzo uśmiechało mu się bycie piecenią. Ani drugą, ani żadną inną.

– Jak myślicie, co nam zrobią? – Wilkins uświadomił sobie, że nawet gdyby X’Vorganie usłyszeli kiedyś o takich sprawach jak konwencja genewska i humanitarne traktowanie więźniów, to w najlepszym wypadku wybuchliby szaleńczym śmiechem.

– Nie wiem – oznajmił beztrósco Sinus. – Nigdy dotąd mnie nie złapali. Pewnie tylko dlatego jeszcze żyję. Ale na twoim miejscu nie łamałbym sobie nad tym głowy.

– Dlaczego?

– Nie warto sobie psuć samopoczucia. A poza tym choćbyś nie wiem jakie okropieństwa wymyślał, i tak nie zbliżysz się do tego, co może spłodzić x’vogański umysł. Zresztą i tak nam nic nie grozi.

– Jak to? – Wilkins był spiorunowany. Czyżby ten chytrus, nawet wisząc głową do dołu i będąc skrępowanym do granic możliwości, miał jakiś plan ucieczki?

– Przecież Pike jest z nami. Myślisz, że gość, który doskonale wie, co się wydarzy i może ot tak sobie zniknąć w dowolnej chwili, dałby sobie zrobić coś złego?

– Hmm... – Wilkins zastanowił się przez chwilę. – Czyli on może po prostu zniknąć w dowolnej chwili? – powtórzył powoli.

– Jasne. – Sinus wyszczerzył zęby. – Znaczący nie do końca zniknąć. On dalej będzie. Tylko gdzie indziej. To przecież Czas.

– To może czeka, aż będziemy umierać w męczarniach, podczas gdy tamci będą robić nam paskudne rzeczy, i dopiero wtedy się wyniesie?

Sinus przyjrzał się Pike'owi, kiedy tylko znalazł się w dogodnej do tego pozycji. Uśmiech na twarzy staruszka sugerował, że taka ewentualność nie jest specjalnie nieprawdopodobna.

– Musisz mi ich oddać – warczał Gurb Ygh Layton, jedną ręką przypierając Głównego Odrazologa do ściany, a drugą przyciskając działko plazmowe do jego skroni.

– Ależ nie mogę, mój drogi – oznajmił Skrub Ygh Gnarg z nieskrywaną satysfakcją. Określenia typu „mój drogi” wśród X'Vorgan były tym samym, co zapewnienia o przyjaźni w kręgach wielkiej polityki. Oznaczały, że adresat powinien rozejrzeć się za kimś do pilnowania swoich pleców przed przypadkowymi nożami. – To przecież Sinus Pi Czwartych. Jest na Liście, a zatem stanowi hmm... szczególne dobro całego społeczeństwa. Dobrze wiesz, że sprawy Wielkiej Listy rozwiązuje Najwyższa Rada.

– To chociaż tego... – Wielki Dyplomata usiłował znaleźć odpowiednie słowo, które w pełni oddałoby uczucia, jakimi darzył Nabuchodonozora Wilkinsa, ale nie bardzo mu się udawało. Dyplomacja jest być może sztuką zwinnego języka, ale na pewno nie w wydaniu x'vorgańskim. – ...tego Ziemiańcina.

Skrub Ygh Gnarg wykrzywił twarz czymś, co na Vorg X uchodziło za uśmiech. Lufa działka plazmowego coraz sugestywniej wbijała się w jego skroni.

– Nie – powiedział krótko. Dobrze wiedział, że dyplomacja to broń wymierzona tylko i wyłącznie w obce nacje. Nie można było jej używać przeciw własnym rodakom. Do tego służyła polityka wewnętrzna.

– Dlaczego? – Głos Laytona załamał się rozpaczliwie.

– Kiedy byłeś nieprzytomny – odrazolog skrzętnie pominął okoliczności zapadnięcia dyplomaty we wspomniany stan – Nabuchodonozor Wilkins, kapitan Floty Stanów Zjednoczonych, został umieszczony na jedenastym miejscu Wielkiej Listy Nienawiści.

– Jak to na jedenastym? Lista ma tylko dziesięć miejsc.

– Ale uznaliśmy, że na pewno chciałbyś, żeby się na niej znalazł za to, co ci zrobił.

– Kto tak uznał?!

– Najwyższa Rada – zapewnił gorliwie Gnarg. Równie gorliwie nie wspomniął o tym, kto na posiedzeniu Rady powiedział, że dobrze zna Gurba Ygh Laytona i że na pewno bardzo by mu zależało na takim rozwiązaniu sprawy.

Przez twarz Wielkiego Dyplomaty przemknęły wszystkie możliwe odcienie wściekłości. Przez chwilę Główny Odrazolog nawet zaniepokoił się, czy przypadkiem Layton nie zechce go jednak zaznajomić bliżej ze swoimi negocjatorskimi przyrządami. Szczęśliwie dyplomata jęknął tylko przeciągle, wypuścił naukowca, odwrócił się i począł w stronę gabinetu.

– Hej! – zawołał za nim odrazolog. – Zobaczysz się jeszcze ze swoimi przyjaciółmi. Dziś popołudniu staną przed Radą.

W tym miejscu należałoby uściślić, iż w języku X'Vorgan przyjaciel oznacza kogoś, kogo się nienawidzi i pragnie jego śmierci jeszcze bardziej niż wszystkich pozostałych. Dość pokrętne rozumowanie, ale tak się kończy, kiedy ktoś próbuje nauczyć X'Vorgan cywilizowanych pojęć.

– No – mruknął do siebie Skrub Yhg Gnarg, poprawiając fartuch. – Miałem go zawiadomić o zebraniu Rady i zawiadomiłem.

Do sali posiedzeń Najwyższej Rady Ygh więźniowie zostali przetransportowani tajnymi korytarzami i w asyście kilku oddziałów uzbrojonych po zęby gwardzistów. Szczęśliwie środki zapobiegawcze okazały się zbędne. Gurb Ygh Layton ani razu nie próbował odbić aresztantów.

Sala była naprawdę imponująca. Została zbudowana tak, by ktoś, kto znajdował się na samym dole, nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest nic nieznaczącym śmieciem. W tym właśnie miejscu stał Nab Wilkins i czuł się jak tramppek zjedzony przez chorego psa, który w środku trawienia uznał, że jednak szkoda zachodu i zwrócił go z powrotem. Podły nastrój nie wynikał jedynie ze specyficznej konstrukcji pomieszczenia. Żeby uzyskać stan emocjonalny na wpół przetrawionego trampka, trzeba do tego dorzucić jeszcze perspektywę śmierci w niewyobrażalnych męczarniach i poczucie, że drugi raz w ciągu kilku dni zawałiło się misję ratunkową ostatniej szansy.

– To Najwyższa Rada Ygh – szepnął Sinus. – Zasiadają w niej wszyscy z tytułem Ygh... Ygh! – Drugie „ygh” nie było elementem prezentacji, stanowiło raczej efekt uderzenia kolbą karabinu laserowego w sinusowy brzuch.

– Nie gadać! – burknął strażnik. Zachęcony bezwarunkowym posłuchem, postanowił pójść za ciosem. – I nie uśmiechać się! – warknął w kierunku Pike’a.

Gdy jednak kolba karabinu uniosła się groźnie, zuchwały wzrok strażnika napotkał stare jak wszechświat spojrzenie Wszechstronnego Pike’a. Karabin laserowy uderzył głucho o podłogę, gdy na głowę jego właściciela ni z tego ni z owego spadło kilkadziesiąt lat. Starzenie się jest wystarczająco nieprzyjemnym procesem, gdy przebiega przewlekle. Skondensowane do chwili nie dłuższej niż mrugnięcie okiem sprowadziłoby do parteru największego siłacza.

– Niewielu miało okazję, żeby ją zobaczyć. – Korzystając z zamieszania, Sinus postanowił dokończyć opowieść o Najwyższej Radzie Ygh.

– ... i przeżyć dość długo, by się tym pochwalić – uzupełnił Xijn.

Wilkins oderwał wzrok od żalostnej sceny ukazującej stu pięćdziesięcioletniego na oko X'Vorganina, który nie miał okazji, by oswoić się z ideą przemijania. Rozejrzał się po sali. Przez chwilę nawet próbował odszukać Gurba Ygh Laytona, ale zaraz doszedł do wniosku, że zbyt długie wpatrywanie się w takie skupisko X'Vorgan może być niebezpieczne dla zdrowia. Zwłaszcza, że większość akurat zaczęła wrzeszczeć.

– Spokój! – ryknął X'Vorganin z peruką na głowie. Wilkins pomyślał, że skoro już te przerażające potwory muszą istnieć i nie da się tego zmienić, to przynajmniej nie powinny nosić takich rzeczy. Peruka kompletnie nie pasowała do morderczej wystawy spod bujnych loków, ale zapewne nie stanowiła ozdoby, lecz coś w rodzaju insygnium władzy.

Kiedy nowy najstarszy X'Vorganin świata został wyniesiony, a poziom oburzenia opadł do normalnego poziomu, przewodniczący Rady odchrząknął i zaczął czytać:

– Oskarżeni: Sinus Pi Czwartych, międzygwiazdny sprzedawca hot-dogów, szósty zniechęcony...

Sinus pomachał przewodniczącemu ręką, co zaowocowało karzącym, lecz bardzo ostrożnym kuksańcem w głowę.

– Nabuchodonozor Wilkins – kontynuował przewodniczący – kapitan Floty Stanów Zjednoczonych, jedenasty zniechęcony...

– Oho, zrobili dla ciebie specjalne miejsce na Liście – szepnęła z uznaniem Sinus i błyskawicznie uchylił się przed kolejnym kuksańcem. Strażnik popatrzył na niego z wściekłością, ale zaraz przypomniał sobie los poprzednika i postanowił nie ryzykować.

– ...a także: Xijn Jumgroth, koordynator końca świata, Freeman Bertleigh, komandor Floty Stanów Zjednoczonych oraz Wszechstronny Pike, mnich nadprzestrzenny. Oskarżonym zarzuca się...

Ponieważ x'vorgańskie listy zarzutów są na ogół niemiłosiernie długie i straszliwie nudne, przeniesiemy się na chwilę

kilka tysięcy kilometrów dalej. Przez kosmiczną przestrzeń w kierunku Vorg X właśnie pędzi rozpalony punkcik. Ku gorzkiemu rozczarowaniu całego wszechświata nie jest to jednak żadna śmiertcionośna asteroida. A szkoda, bo na miejscu akurat jest koordynator końca świata, który z chęcią zająłby się tą sprawą. Na pocieszenie można powiedzieć, że tajemniczym obiektem jest nie kto inny, jak sam Wojna dosiadający ogni-stego wierzchowca. Chociaż, jeśli wziąć pod uwagę naturalne uosposobienie X'Vorgan, to raczej słaba pociecha.

Wojna z gracją meteoroidu wszedł w atmosferę i aż zachły-snął się tutejszym powietrzem.

Wspomniano już, że Vorg X kwalifikował się jako planeta skrajnie nieprzychylna jakimkolwiek formom życia. To samo tyczyło się atmosfery, która może i nie była trująca, ale miała akurat taki skład, że oddychanie stanowiło przykry obowiązek dla niewprawionych istot. Wojna był wprawdzie antropomor-fizacją, której nie imać się większość praw obowiązujących zwyczajną materię, ale trzeba pamiętać, że jednak wyjątkowo realistyczną antropomorfizacją. Tak realistyczną, że czasami się zapominał, co kończyło się niekoniecznie śmiertelnymi, ale z całą pewnością nieprzyjemnymi konsekwencjami.

Wojna momentalnie przypomniał sobie o układzie odde-chowym i o tym, że nie musi go używać. Wykaszłał jeszcze z płuc resztki gryzącego powietrza i obniżył nieco pułap, by lepiej przyjrzeć się nieprzyjaznemu obliczu Vorg X.

Gdyby nie to, że zrezygnował przed chwilą z oddychania, widok w dole zaparłby mu dech w piersi. Kiedy ostatnio widział X'Vorgan, byli żalosną garstką wyjątkowo szkaradnych dzikusów, okładających maczugami każdego, kto nawinął się pod rękę. Owszem, mieli spory potencjał, ale istniało wysokie prawdopodobieństwo, że wytluką się nawzajem, zanim uda im się odkryć bardziej interesujące formy prowadzenia konfliktów zbrojnych. O dziwo nic takiego się nie wydarzyło i teraz przed zachwyconymi oczami Wojny stała imponująca cywilizacja napędzana tylko jednym – pragnieniem szerzenia zagłady.

Wojna uśmiechnął się pod nosem, spiął wierzchowca piętami i pogalopował w dół. Zamierzał całkiem nieźle się zabawić przed końcem tego wszechświata.

Generał Kooc Ygh Htron już z samej racji piastowanego stanowiska był całkiem porządnie wkurzony, ale teraz, gdy został wyciągnięty z posiedzenia Rady w samym środku listy zarzutów, po prostu kipiał z wściekłości.

– Czego?! – ryknął na podwładnego, pod którym aż ugięły się kolana.

– M-mamy p-problem, panie g-generale...

– I co to za problem, przez który musicie mnie wyciągać z zebrania Najwyższej Rady?

– Sam p-pan musi t-to zobaczyć.

– Problem to będziecie dopiero mieli, jak okaże się, że to jakies bzdury – warknął generał, odwracając się gwałtownie i ruszył w kierunku centrum dowodzenia. Każdy jego krok epatował najwyższą pogardą dla wszystkich problemów, z jakimi borykają się podkomendni. Przypominał ogromną chmurę burzową ściśniętą do formatu przeciętnego X'Vorganina.

Drzwi centrum dowodzenia w porę zorientowały się, co się kroi i umknęły z drogi generała, nie próbując nawet zawracać mu głowy kodami dostępu i tym podobnymi bzdurami.

– Co się dzieje?! – Htron poraził pierwszego z brzegu sierżanta gwałtownym wyładowaniem oburzenia.

– P-proszę spojrzeć na e-ekran – wybąkał absolutnie nieprzygotowany na takie traktowanie żołnierz. Oczywiście każdy dorosły X'Vorganin był przyzwyczajony, że stosunki z przełożonym oparte są na zasadach przemocy i terroru, ale Kooc Ygh Htron w obecnym stanie wymykał się wszelkim możliwym normom obyczajowym. Do oceny jego nastroju najodpowiedniejsza byłaby skala Richtera. – To... to coś unosi się właśnie nad Pałacem.

Żołnierz odetchnął z ulgą, gdy Kooc Ygh Htorn przesunął przytłaczający niczym wieko trumny wzrok na monitor. Ekran ukazywał jakiegoś człowieka siedzącego na dziwnym zwierzęciu.

– I? – Generał uniósł brwi. Zdawało się, że zaczyna iskrzyć na krawędziach. Dźwięk, który z siebie wydał, nie był takim zwyczajnym, krótkim „i?”. Dobiegał z głębi generała i przypominał odgłos ładującego się działa energetycznego.

– Zasięgnęliśmy opinii specjalistów i okazuje się, że to stworzenie, na którym siedzi ten człowiek, nie powinno latać. I z całą pewnością nie powinno też płonąć.

– I co z tego? Nie wiecie, co z nim zrobić?

Żołnierze spojrzeli po sobie z zakłopotaniem. Wyraźnie mieli coś jeszcze do powiedzenia, ale nikt nie chciał ryzykować.

– Zestrzelić! – Generał sam nie wiedział, czy powinien być bardziej wściekły, czy zażenowany. Nawet małe X'Vorganiątka wiedziały, co się robi z gościem, który pakuje się do x'vorgańskiej strefy powietrznej bez pytania.

Żołnierze raz jeszcze stoczyli bogaty w sugestywne ruchy brwiami pojedynek na spojrzenia. Atmosfera przypominała tę, która otacza zazwyczaj dwóch gości w kapeluszach stojących pośrodku milczącego miasteczka i przebijających palcami w pobliżu poprzypinanych do pasów coltów. Po chwili napięcia jeden skapitulował i wyjąkał:

– Próbowaliśmy. Nie da się.

– Bzdury. Wszystko, co lata, da się zestrzelić. – Kooc Ygh Htorn wyznawał bardzo prostą i niezwykle praktyczną filozofię. To właśnie ona pozwoliła mu zawędrować na szczyty kariery wojskowej. Osobiście wcisnął wielki czerwony guzik opatrzonego napisem „Uwaga, superdziało laserowe! Używać tylko w ostateczności”.

Na nic się to nie zdało. To znaczy laser owszem, zadziałał, ale śmiercionośny w zamierzeniu promień przeleciał przez intruza jak przez powietrze... Właściwie promienie laserowe miały to do siebie, że zawsze przelatowały przez intruzów jak przez powietrze, ale zazwyczaj towarzyszyło temu wypalanie dziur

i rozczłonkowywanie nieproszonych gości. Ten tutaj nawet nie raczył zauważyć, że powinien zostać poważnie uszkodzony. Można by w tym momencie wspomnieć, że zbłąkany promień rozorał Bogu ducha winny statek handlowy kilkaset tysięcy kilometrów dalej, ale chyba nie ma sensu rozwodzić się nad tym dłużej.

– A to przebiegły drań – mruknął Kooc Ygh Htron. – Ale nie ze mną takie numery. Odpalić rakiety plazmowe!

– On jest naprawdę blisko, panie generale. To przecież... – Żołnierz urwał. Chciał powiedzieć „niebezpieczne”, ale jedno spojrzenie w twarz generała przypomniało mu, że od kilku minut balansuje na absurdalnie cienkiej granicy, w perspektywie mając śmierć w okrutnych męczarniach.

Całe pomieszczenie zadygotało, gdy rakiety opuszczały swoje przytulne silosy. Po chwili ekran rozbłysnął oślepiającym światłem. Tym razem pociski trafiły w cel. Siła wybuchu wstrząsnęła całym Pałacem Najwyższej Pogardy i zrzuciła część monitorów z biurek w centrum dowodzenia.

– No – mruknął z zadowoleniem Kooc Ygh Htron. – Tak witamy gości na Vorg X.

Jednak mina generała zrzedła, gdy przygasł blask eksplozji. Na ekranie wciąż widniał bezczelny intruz. Tyle że teraz wyglądał na lekko poirytowanego. Może to przez ten miecz wzniesiony wysoko ponad głową...

Lista zarzutów postawionych Sinusowi, Wilkinsowi i reszcie była naprawdę długa. Rozpoczęła się od nie bycia X'Vorganinem, a kończyła na bezczelnym uśmiechaniu się podczas odczytywania listy zarzutów. Gdzieś w środku umieszczono jeszcze obrażanie Najwyższej Rady poprzez utrzymywanie, że się nie istnieje, zhipisienie nienawistnika pierwszej klasy energetycznej, nieregulaminowe zesterzenie członka gwardii oraz całą masę przestępstw, z których popełnienia Wilkins nawet nie zdawał sobie sprawy. Wysłuchawszy tego wszystkiego,

doszedł do wniosku, że musi być naprawdę groźnym zbrodniarzem i, gdyby mógł, sam wymierzyłby sobie najsurowszą karę.

Jednak ani jemu, ani Najwyższej Radzie nie było dane wymierzyć jakiejkolwiek kary, gdyż akurat okropny rumor wstrząsnął całym pomieszczeniem. Wilkins zamknął oczy, przeczuwając, że być może to Rada postanowiła odpuścić sobie ogłaszanie wyroku i przejść od razu do egzekucji. Po chwili, gdy wciąż nie odczuwał nic, co mogłoby być oznaką wyjątkowo pomysłowego realizowania kary śmierci, zaryzykował i otworzył jedno oko. Wszystko dookoła wyglądało, jakby czas się zatrzymał.

Być może – pomyślał – tak to właśnie wygląda, kiedy jest się martwym. Dość szybko odrzucił ten pomysł. Za taką mnogość zbrodni X'Vorganie na pewno nie pozwoliliby mu ot tak sobie umrzeć. Zwłaszcza szybko i bezboleśnie. Ale skoro czas się zatrzymał...

Nab zerknął za siebie. Pike uśmiechał się po staremu i wcale nie wyglądał na specjalnie zatrzymanego. I właśnie wtedy wilkinsowy wzrok napotkał ogromną rozpadlinę w podłodze, oddzielającą jego i Sinusa od reszty. Był pewien, że kiedy wchodzili – choć to określenie zawiera stanowczo za mało wleczenia, szturchania i popychania, by oddawało w pełni stan faktyczny – jeszcze wtedy tu tego nie było. Intuicyjnie podniósł wzrok na sufit. Wszystko wskazywało na to, że jakieś ogromne, niewidzialne ostrze postanowiło rozrząbać salę na pół.

Nagle całe otoczenie stwierdziło, że wystarczy już tej ciszy. I wybuchł chaos. Każdy obecny X'Vorganin pragnął wyrazić skrajne oburzenie nową aranżacją wnętrza i starał się, by jego osobiste oburzenie było ciut bardziej skrajne niż sąsiadów.

Sinus, korzystając z okazji, kopnął między nogi najbliższego strażnika wpatzonego akurat w rozpołowiony sufit. Kwestia obyczajów reprodukcyjnych X'Vorgan oraz anatomiczne aspekty tego zagadnienia pozostawały dla wszechświata tajemnicą, niemniej jednak kopniak podziałał nad wyraz skutecznie.

– Wiejemy! – krzyknął sprzedawca hot-dogów, przeskakując nad strażnikiem zwijającym się kurczowo wokół swojego

osobistego cierpienia. Po chwili wciąż osłupiałego Wilkinsa spokojnym krokiem minął Wszechstronny Pike. Nie spieszył się specjalnie. Prawdopodobnie on jeden w całym wszechświecie nie musiał.

– Hej, Nab! – Wilkins oderwał wzrok od znikającego w drzwiach Pike’a i spojrzął za siebie. Xijn trzymał za ramiona Bertleigha, który najwyraźniej wszystkich X’Vorgan włączył wielkodusznie w swoją teorię powszechnego nieistnienia i w związku z tym nie widział racjonalnych przesłanek za podjęciem ucieczki.

– Zabieramy go? – spytał koordynator.

Wilkins westchnął ciężko. Nie miał serca zostawić Bertleigha na pastwę Gurba Ygh Laytona. Chociaż bardzo się starał. Przeskoczył rozpadlinę i chwycił holistycznego nihilistę za nogi.

– Szybciej! Czas ucieka – popędział Xijn.

– Widziałem. Poszedł za Sinusem. Ale nie wyglądał, jakby zamierzał specjalnie szybko uciekać.

– A to drań – warknął Kooc Ygh Htron, podnosząc się z podłogi. Niewyobrażalnym zrzędzeniem losu udało mu się uniknąć wątpliwej przyjemności bycia przeciętym na pół. Takiego szczęścia nie miało dwóch żołnierzy – choć teraz raczej czterech półżołnierzy. Zniszczeniu uległa również spora część niezwykle ważnego i bardzo drogiego sprzętu. Generał nie był wprawdzie pewien, czy urządzenia były naprawdę aż tak ważne i drogie, ale jego silne wzburzenie wymagało tego, żeby takimi właśnie były. W obliczu naprawdę poirytowanego X’Vorganina nawet konserwatywna i drobiazgowa na ogół rzeczywistość gotowa jest pójść na pewne ustępstwa. Zwłaszcza w takich mało istotnych sprawach.

– Przygotować działo nienawiści – burknął do jedyne go całego podkomendnego. Żołnierz nie miał najmniejszego zamiaru nawet zbliżyć się do pojęcia sprzeciwu. Zerknął tylko na przełożonych kolegów, przełknął ślinę i wybiegł z pomieszczenia.

Komuś, kto zdążył przynajmniej powierzchownie poznać X'Vorgan, nie trzeba chyba tłumaczyć, na czym polega zasada funkcjonowania działa nienawiści. Warto tylko powiedzieć, że podłącza się do niego więcej nienawistników, niż pozwalałyby na to względy bezpieczeństwa czy zwyczajny zdrowy rozsądek...

Xijnowi, Wilkinsowi i Bertleighowi udało się dogonić Sinusa – choć ostatni ze wspomnianych gonił raczej biernie – dopiero, gdy ten wybiegał na coś, co przypominało lądowisko. I jeśli przyjąć, że lądowiskiem nazywa się miejsce, w którym znajdują się statki, faktycznie nim było. Wprawdzie jeśli rozpatrzyć aspekty ład i porządku, przypominało raczej złomowisko, ale Wilkins nie miał najmniejszego zamiaru wnikać w zwyczaje parkingowe X'Vorgan. Zwłaszcza, że taszczył, na spółkę z Xijnem, jakieś sto dwadzieścia kilogramów bezwładnego i bezużytecznego, skoro już o tym mowa, cielska, a powietrze sprawiało wrażenie, jakby zostało wymyślone specjalnie tak, żeby nie ułatwiać zbyt łatwo zadania płucom.

– Sinus... – wydyszał. – Masz jakiś plan?

– Plan? – Sinus odwrócił zdziwioną twarz. – Nie za bardzo. Ale myślę, że po prostu gwizdniemy któryś z tych statków i damy nogę.

Wilkins uznał, że brzmi to jak całkiem sensowny plan. W tej chwili był gotów uznać za dobry plan wszystko, co przewidywało ucieczkę z tej przeklętej planety.

– I tym razem zrzucimy winę na Xijna – kontynuował Sinus.

– A dlaczego na niego?

– Właśnie? – Xijn zgodził się z Wilkinsem.

– Bertleigh chwilowo nie istnieje, Pike jest Czasem, a z naszej trójki tylko ciebie nie ma na Wielkiej Liście Nienawiści. Wreszcie będziesz miał coś z życia.

– A co z twoją budką? – zapytał Wilkins. – Zostawimy ją tutaj?

– Chester się nią zajmie. A niechby spróbował nie, to nie chciałbym się znaleźć w jego obwodach.

Gdy w końcu udało im się dotrzeć do pierwszego lepszego statku, okazało się, że Pike jest już na miejscu, chociaż Sinus zarzekał się, że staruszek go nie wyprzedzał.

– No, nareszcie – przywitał ich. – Nie spieszyło wam się zbyt.

Wilkins, który opierał właśnie dłonie na kolanach i, ciężko dysząc, usiłował doprowadzić twarz do normalnych kolorów, spojrzał na niego spode łba.

Pół godziny później opuszczali niegościnnie progi kosmiczne Vorg X. Najdziwniejsze było to, że nikt nawet nie próbował ich gonić. Być może miało to jakiś związek z facetem siedzącym na latającym, płonącym koniu, którego minęli z daleka. Możliwe, że był kimś postawionym wyżej na Wielkiej Liście Nienawiści.

– Pamiętacie, jak odlatywaliśmy z Centralnego Urzędu Międzygalaktycznego i kazałem wam mocno się trzymać? – zagadnął Sinus.

– No... – Wilkins zawahał się. Wewnątrz głos podpowiadał, że Sinus zmierza do czegoś, co absolutnie mu się nie spodoba. – I co z tego?

– To teraz trzymajcie się jeszcze mocniej. To chyba jakiś nowy model.

Głos miał rację. Wilkinsowi ani trochę się to nie spodobało. Wszechświat zdecydowanie przestawał być miłym miejscem, gdy przemierzało się go x'vorgańskimi środkami transportu, a wprowadzanie nowszych modeli z pewnością nie miało na celu poprawienia tego stanu.

Wilkins nie byłby dobrym X'Vorganinem. Już zdążył zapomnieć o swoich uczuciach do pewnego fińskiego zespołu muzycznego i o zbrodni, której wspomniany dopuścił się na całym ziemskim dorobku muzycznym. Ale nawet gdyby nie zapomniał, zwykła niechęć do jednego zespołu, a nawet całego narodu, który ów zespół wydał, tym razem nie wystarczyłaby jako bariera ochronna.

W pomieszczeniu ukrytym głęboko w trzewiach statku – podobnym nieco do tego, w którym jakiś czas temu znaleźli

Jednostkę 42, ale zdecydowanie bardziej zagrożonym – siedziało aż czterech nienawistników połączonych równolegle. Każdy miał oznaczenie pierwszej klasy energetycznej. Statek był naprawdę nowym modelem... Tak nowym, że nikt jeszcze nie zdążył sprawdzić, czy przypadkiem nie wybuchnie przy pierwszej okazji.

Gdy tylko Sinus przesunął dźwignię napędu nadświatlnego, eksplozja wysokoenergetycznej nienawiści uderzyła całą psychę Wilkinsa o zimną, ołowianą ścianę zbudowaną ze starannie wyselekcjonowanej pogardy do wszystkiego, co istnieje. I do wszystkiego, co nie istnieje zresztą również.

ROZDZIAŁ 13

– A to niewdzięczne szczury – mamrotał pod nosem Wojna. Siedział właśnie na jakiejś przypadkowej asteroidzie i usiłował opatrzeć sobie rany. Nie szło mu zbyt dobrze. Prawdopodobnie dlatego, że nie miał w tym żadnego doświadczenia. Patrząc z teoretycznego punktu widzenia, nie mógł odnosić fizycznych obrażeń, był w końcu personifikacją wojny, a kto słyszał o rannej personifikacji. Tyle że to wszystko najwyraźniej nie obchodziło X'Vorgan, którzy właśnie gratulowali sobie spektakularnego sukcesu. Chociaż nie wszyscy. Gurb Ygh Layton na przykład rozglądał się gorączkowo za pewną grupką więźniów.

Dopiero za jakiś czas miał dowiedzieć się, że zwiali, porywając przy tym najnowszy statek z prototypowym napędem czterokrotnie nieskończonej nienawiści. Wielki Dyplomata zapewne wściekłby się nie na żarty, ale nastrój poprawi mu to, że wspomniany prototyp zbudowany został przez nikogo innego, jak Głównego Odrazologa, Skruba Ygh Gnarga.

Z kolei Główny Odrazolog, gdy dowie się o sprawie, sam nie będzie wiedział, co powinien myśleć. Z jednej strony efekt jego ciężkiej pracy został wykorzystany jako środek ucieczki więźniów, co stanowiło nie lada upokorzenie, z drugiej zaś przypomni sobie, że statek zadziałał – a przynajmniej nie eksplodował przy uruchomieniu napędu nadświatelnego – a to już było całkiem niezłym sukcesem, z kolei z trzeciej strony, gdyby jednak eksplodował, zabijając tym samym bezczelnych uciekinierów, na pewno nie spodobałoby się to Gurbowi Ygh Laytonowi...

Po długiej i zajadłej bitwie na argumenty z samym sobą, Skrub Ygh Gnarg dojdzie do jedyne go sensownego wniosku – skoro Wielki Dyplomata cieszy się z takiego obrotu sprawy, to on powinien być wściekły.

Tymczasem Wojna zdołał jakoś doprowadzić się do ładu. Wciąż jednak nie potrafił zrozumieć, jakim cudem ta banda prostaków zdołała zbudować coś, co jego, Wojnę, zmusiło do kapitulacji.

W każdym razie jednego był pewien. Ten parszywy wszechświat nie zasługiwał na godziny, które jeszcze mu pozostały i na to, by Wojna tracił tu tylko swój drogocenny czas. Wskoczył na siodło. Skrzywił się, gdy żebra przypomniały o niedawno przegranej starciu. Wbił obcasy w boki Inferna, nogi zauważyły, że również nie wyszły ze starcia bez szwanku. Rumak stanął dęba. Kręgosłup Wojny, z którego istnienia Jeździec do tej pory nawet nie zdawał sobie sprawy, stwierdził, że też miałby parę zastrzeżeń.

Ognisty wierzchowiec wystrzelił w odmęty przestrzeni kosmicznej. Uczepiony jego szyi Jeździec rozpaczliwie usiłował przekonać siebie samego, że jest tylko personifikacją i w związku z tym zjawisko bólu w ogóle nie powinno go dotyczyć. Nie bardzo mu to wychodziło. Zapewne przez te bolące plecy.

ROZDZIAŁ 14

Rzeczywistość powitała Naba Wilkinsa z delikatnością rozpędzonej cegły. Bez większego zaskoczenia stwierdził, że leży na podłodze i wydiera się wniebogłosy. Czuł się tak, jakby ktoś przeprowadzał mu operację na otwartej czaszce za pomocą szwankującej piły łańcuchowej.

Spróbował wstać. Nic z tego nie wyszło. Ból głowy, jaki go dręczył, można by przyrównać do kaca po wypiciu zawartości trzech sklepów monopolowych – albo kilku porcji Czterdziestu Wściekłych Diabłów. Podróż statkiem Gurba Ygh Laytona w porównaniu z tym diabelstwem była niczym przejażdżka rowerem po lesie w piękny, letni dzień.

– O, Nab. – Odwróciła się ku niemu twarz Xijna. Nie wyrażała absolutnie żadnych uczuć. Miała taki sam nijaki wyraz, jaki miewają twarze w okienkach urzędu skarbowego. – Fajnie, że wstałeś.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – wtrącił Sinus mimochodem, nie odrywając się od swoich zajęć.

– Ale zdążyłeś akurat na katastrofę.

– Jaką katastrofę?!

– Sinus zamierza rozwalić nas na tej planecie.

Wilkins podniósł się z trudem, zerknął w okno i zobaczył przysłonięty wstęgami chmur krajobraz. Był całkiem malowniczy, ale zbliżał się zdecydowanie za szybko. Dopiero teraz Nab zdał sobie sprawę, że całe jego otoczenie wypełnione jest lekko zduszonym, buczącym rykiem.

Więc tak to wygląda – pomyślał – kiedy leci się w kierunku jakiejś planety z absurdalnie dużą prędkością.

Nagle uświadomił sobie, że wie, jak musiała czuć się asteroida, która nie tak dawno przywalała w Ziemię. Nawet trochę jej współczuł. Znaczą asteroidzie. Planeta zawsze sobie jakoś poradzi. A asteroida – albo taki, weźmy na przykład, x'vorgański okręt – może najwyżej rozkwasić się o litosferę, jak mucha o szybę samochodu. To z pewnością nie jest przyjemne doświadczenie.

– To nie moja wina – mruknął Sinus, pozwalając sobie na krótkie wzruszenie górnymi ramionami. – Wpadliśmy w sidła nadprzestrzenne. Mendekańskie. Jak wylecieliśmy z nadświatłej, już na nas czekał myśliwiec. Mendekański. I tym razem był całkiem nieźle uzbrojony. A, cholera! – Sinus machnął wszystkimi czterema rękami w skomplikowanym geście. – Równie dobrze mogę nic nie robić. I tak się rozwalimy.

Kilkaset kilometrów dalej unosił się stateczek, który całkiem niedawno wyglądał, jakby wpadł do fabryki superkleju, a zaraz potem do magazynu z bronią. Teraz, po wystrzeleniu całego arsenału, nie robił już większego wrażenia. Właściwie biorąc pod uwagę, iż do jego opisu należałoby użyć pojęć „mendekański” oraz „skrytobójca”, nierobienie wrażenia było akurat cechą pożądaną.

Siedzący za sterami zabójca z uśmiechem na ustach odprowadził wzrokiem płonący x'vorgański okręt do momentu, gdy ten zniknął w warstwie chmur. Mendekanin z chęcią wylądowałby i zabrał sobie jakiś kawałek statku na pamiątkę, ale obowiązki wzywały. Pozbył się wprawdzie Xijna Jumgrotha – wroga numer jeden, ale to jeszcze nie oznaczało, że jego zemsta na Wydziale Nadzoru Końców Światów została dopełniona. Miał jeszcze ładnych kilka tysięcy punktów na liście i coraz mniej czasu.

Otworzył schowek i po krótkim zastanowieniu zdecydował się na przebranie pucybuta. Miał w zapasie jeszcze parę słoiczków pewnej specjalnej pasty do butów z opóźnionym

zapłonem i właśnie stwierdził arbitralnie, że kilku koordynatorom bardzo przydałoby się czyszczenie obuwia w promocji „do każdego polerowania jedna śmierć w męczarniach gratis”.

Gdy Wilkins otworzył oczy, z niemalym zdziwieniem odkrył, że wcale nie jest krwawą miazgą rozrzuconą po kilku najbliższych hektarach. Leżał na przedniej szybie kokpitu, która w skutek niezbyt skoordynowanego lądowania stanowiła obecnie coś w rodzaju podłogi.

Uniósł się na łokciach i z radością stwierdził, że nawet nie potrzaskał sobie kręgosłupa. Coś najwidoczniej musiało pójść nie tak w programie katastrofy, ale nie miał najmniejszego zamiaru zgłaszać zażaleń. Rozejrzał się wokół. Generalnie wszystko, co nie było przytwierdzone do podłogi – nie wyłączając Sinusa i Xijna – leżało razem z Wilkinsem na wyjątkowo zagraconej szybie.

Jedyny wyjątek stanowił Pike, który nie był przyśrubowany do podłogi, a i tak siedział w tym samym co wcześniej miejscu, które w nowym układzie współrzędnych należałoby określić jako „pod sufitem”.

Bertleigh właściwie również nie wylądował na szybie. Wylądował na Sinusie, który właśnie odzyskiwał przytomność i zaczynał zdawać sobie z tego sprawę.

– Co do diabła? – pytał podenerwowany. – Kto przygniótł mnie workiem cementu?

Nadludzkiem wysiłkiem zrzucił z siebie ciężar.

– Och, wybacz Freeman – mruknął, gdy uświadomił sobie, że zna ów worek cementu. Bertleigh nie sprawiał wrażenia urażonego. Wyglądał raczej jakby było mu wszystko jedno. Widocznie skoro już nie istniał, to równie dobrze mógł nie istnieć jako materiał budowlany.

Po drugiej stronie Wilkinsa Xijn podniósł się do pozycji siedzącej, strząsając z siebie stertę x’vorgańskich szpargałów niewiadomego pochodzenia i takiegoż przeznaczenia.

– Co się właściwie stało? – zapytał Nab. Odpowiedziało mu jedynie wzruszenie trzema parami ramion.

– Pike wygląda, jakby wiedział – zauważył Xijn.

Wilkins spojrział na staruszkę.

– Rzeczywiście – stwierdził. – Ale wygląda też, jakby nie miał zamiaru dzielić się tą wiedzą.

– A czy to ważne, co się stało? – wtrącił Sinus. – Najważniejsze, że się stało i dzięki temu żyjemy. Poza tym – dodał konspiracyjnym tonem – pamiętacie chyba, że są pytania, których lepiej nie zadawać?

Wilkins i Xijn jak na komendę przełknęli ślinę. Obydwaj przypomnieli sobie przygodę z jonowym opiekaczem do hot-dogów i gwałtownie kurczącym się wnętrzem budki. Nie potrzebowali potwierdzenia, by uznać, że Sinus ma absolutną słuszność.

Gdyby jednak w tym momencie ktoś postanowił uprzeć się, że takie cudowne ocalenia z sytuacji beznadziejnej i to bez dania racji są przykładem na jawne lenistwo pisarzy, wówczas ktoś taki powinien dowiedzieć się, że była to zasługa rewolucyjnego systemu bezpieczeństwa, będącego dodatkowym przejawem prototypowości statku. Działał on na podobnej zasadzie co zewnętrzna poduszka powietrzna. Tyle że w tym przypadku poduszka była metaforyczna, wypełniona skondensowaną nienawiścią i dość twarda z zewnątrz, co tylko uprzykrzało kolizję obiektowi, w który akurat się przywaliło. Właściwie, jakby się lepiej nad tym zastanowić, w ogóle nie przypominało to poduszki powietrznej – zgodnie ze swoim zwyczajem X'Vorganie dość pokrętnie rozumieli pojęcie bezpiecznego podróżowania.

– A może byśmy tak wyszli na zewnątrz, skoro już hm... wylądowaliśmy na tej planecie – zaproponował Xijn. Wprawdzie forma nawiązania kontaktu z powierzchnią planety pozostawiała sporo do życzenia i nie do końca można było ją nazwać lądowaniem, ale z całą pewnością nie dawała się też zaliczyć do kategorii katastrof kosmicznych.

W każdym razie pomysł opuszczenia statku spotkał się z powszechną aprobatą. Zwłaszcza, że statek nie przejawiał

chęci do kontynuowania podróży. Okazało się jednak, że to nie będzie takie proste. Drzwi wejściowe znajdowały się obecnie na suficie, a nikt poza Pikiem nie miał większego doświadczenia w bezczelnym lekceważeniu praw grawitacji. Stali wprawdzie na szybie, ale ona sprawiała wrażenie wyjątkowo grubej i pancernej. Po kilkunastu minutach wyężonych prób dewastacji x'vorgańskiego mienia, okazało się, że taka w rzeczywistości była.

– Dosyc – oznajmił Wilkins, wypuszczając z dłoni kolejny połamany kawał żelastwa. – Nawet nie udało się nam zarysować tego cholerstwa.

Xijn i Sinus również odrzucili marne resztki narzędzi. Wyglądało na to, że nie pozostało im nic innego, jak podejść do problemu dotarcia do drzwi w sposób tradycyjny, można by rzec, alpinistyczny.

Minęło kolejne pół godziny wypełnione całym mnóstwem atrakcji, takich jak osuwanie się z powrotem po złośliwie gładkiej powierzchni na sam dół. W końcu Wilkins dopiął swego i zawisł u drzwi, uczepiony kurczowo progu. Z nostalgią pomyślał, że gdy ostatnio wspinał się po podłodze, był jeszcze na studiach, a do piwa ktoś dolał spirytusu.

Patrzący na to wszystko z niejakim politowaniem Pike okazał się na tyle pomocny, że zgodził się pilnować drzwi, by nagle się nie zamknęły i nie ucięły Wilkinsowi dłoni. Naruszył wprawdzie własną regułę niewtajemniczania postronnych w wyroki przyszłości i zapewnił, że nic takiego nie będzie miało miejsca, jednak Wilkins, mając na uwadze, że są to x'vorgańskie drzwi otwierane przez uderzenie głową, gorąco nalegał.

Najwięcej problemu było oczywiście z Bertleighem. Stanowił on namacalne – i diablo ciężkie – wyjaśnienie powodów, dla których himalaiści pozostawiają jednostki takie jak on na pastwę losu. Gdy wreszcie wszyscy dotarli na górę, zdecydowali, że skoro docięgnęli go aż tutaj, to głupio byłoby go zostawić.

Wspinaczka przez korytarz okazała się dużo łatwiejsza. Płyty podłogi gęsto przecinały szczeliny, które zapewne miały być w domyśle bardzo zdradliwe i co rusz zahaczać o stopy

spieszących się ludzi. Jednak w zaistniałej sytuacji okazały się bardzo pomocnym udogodnieniem. X'Vorganie prawdopodobnie nie byłoby z tego zadowolony, gdyby się dowiedzieli.

X'Vorganie przebywali jednak bardzo daleko stąd i mieli własne problemy na głowach, a tymczasem grupa ratująca wszechświat, która chwilowo sama potrzebowała ratunku, stanęła w drzwiach wyjściowych, osłaniając oczy przed jasnym słońcem.

W dole i wszędzie dookoła rozciągał się malowniczy widok na ogromną dziurę w ziemi. Znajdowali się we wnętrzu krateru, co jeśli wziąć pod uwagę okoliczności ich przybycia, wydawało się dość logiczne.

– No, to teraz musimy jeszcze tylko zejść na dół – powiedział Xijn, spoglądając na nieco zbyt odległe dno leja.

Procedura odwrotna do wspinaczki okazała się dużo bardziej kłopotliwą sprawą. Głównie ze względu na fakt, iż w poszukiwaniu dogodnych szczelin należało spoglądać w dół. Spoglądanie w dół, kiedy w perspektywie ma się topografię oddaloną o potencjalnie śmiertelność odległość, na ogół nie podnosi człowieka na duchu.

Wilkins mimo wszystko przebył drogę w dół w zaskakująco krótkim czasie. Oczywiście jego metodę pokonywania wysokości trudno zaliczyć do wygodnych, bezpiecznych czy choćby rozsądnych, ale nie można przecież mieć wszystkiego.

Tak czy inaczej, gdy reszta dotarła na dno krateru, udało się go jakoś docucić.

– O, jednak żyjesz – stwierdziła entuzjastycznie twarz Sinusa, która przesłaniała większość wilkinsowego pola widzenia.

– Co się stało?

– Wolisz krótszą czy dłuższą wersję?

– Dłuższą – jęknął Nab, chwilowo bardziej zajęty studiowaniem czarnych i fioletowych plam przed oczami.

– No, więc zaczęło się od tego, że Ziemia została zniszczona. Xijn osobiście...

– Krótszą! – Wilkins szybko oprzytomniał i naprawił swój błąd.

– Chyba miałeś dość wspinaczki, bo postanowiłeś nie schodzić po ścianie, tylko od razu zleciałeś na dół. Nie wyglądało to zbyt przyjemnie. A jeszcze gorzej brzmiało... Ten wrzask urwany miękkim plaśnięciem... Takie rzeczy nie nastroją optymistycznie. Ale nic ci nie jest. Ty chyba bardzo nie lubisz umierać, co?

– No, jak dotąd nie miałem zbyt wielu okazji żeby się przekonać – mruknął Wilkins, podnosząc się na łokciach do pozycji umownie półsiedzącej – ale specjalnie nie narzekam na ten stan. Przypuszczam, że mogłoby mi się nie spodobać. A dlaczego pytasz?

– Bo to już kolejna sytuacja w ciągu ostatnich kilku dni, w której na dobrą sprawę powinienes wykitować. – Sinus uśmiechnął się rozbrajająco. – Miałeś szczęście, że wbiliśmy się w jakieś błoto.

– Błoto? – Wilkins uniósł brwi. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to, na czym leży, przypomina miękki, ale nieco zbyt lepki materac.

Nab z żalem spojrział na swoją koszulkę z grafiką okładkową *Dark Side of the Moon*. Błoto szczerze podzieliło się z Wilkinsem całym swym dobrodziejstwem. Coś mu podpowiadało, że w tych okolicznościach nie będzie łatwo znaleźć pralkę.

– Ej, Chłopaki! Zdaje się, że wylądowaliśmy... na kimś! – krzyknął Xijn. Wskazywał na kształt wystający spod statku. Kształt miał pochodzenie ewidentnie anatomiczne. – Patrzcie! Tu wystają czyjeś hm... chyba nogi.

Sinus podniósł głowę.

– Chyba wiem nawet, czyje. Możliwe, że to byli znajomi tych tam – oznajmił.

Wilkins spojrział w kierunku, w którym patrzył sprzedawca hot-dogów. Znad krawędzi krateru wychylały się ze dwa tuziny zaskoczonych twarzy. Istoty były małpoksztaltne, białowłose i wyglądały jak mniejsza, mniej ludożercza odmiana Yeti. Chociaż z osądami na temat ludożerczości należałoby być raczej ostrożnym. Miejscowy klimat zdecydowanie zaliczał się do tropikalnych, a w takich warunkach człowiek zawsze powinien dokładnie przeanalizować swoją pozycję w łańcuchu pokarmowym.

– Myślicie, że mogą mieć do nas, hm... pretensje? – zapytał Wilkins.

– Na razie wyglądają raczej na zaskoczonych – stwierdził Xijn.

– I bardzo dobrze – powiedział Sinus. – Powinni to potraktować jako demonstrację naszej siły. Tak właśnie należy przybywać na obce planety. Niech dzicy znają swoje miejsce.

Wilkins spojrział na niego z zadziwieniem. Zastanawiał się, skąd u Sinusa wzięły się skłonności do tak bezwzględного planowania taktycznego. Zawód międzygwiazdowego sprzedawcy hot-dogów musiał być naprawdę fascynujący.

– A jak będą się stawiać, to im pogrozimy, że zrobimy to jeszcze raz. – Sinus uśmiechnął się głupekowato.

Wilkins odetchnął. Takiego Sinusa znał i wiedział, czego można się po nim spodziewać. To znaczy, może nie do końca wiedział, czego konkretnie, ale z dużą dozą pewności można było wykluczyć z grona podejrzeń ludobójstwo.

Gdy zgodzili się już, że wygramolenie się z krateru będzie najlepszym wyjściem z sytuacji, powróciła problematyczna kwestia ciągnięcia ze sobą odmawiającego istnienia Bertleigha.

Wilkins od razu zapobiegawczo oznajmił, że niedawno prawie się zabił i nie ma zamiaru taszczyć tego kretyna na samą górę, a poza tym ma go serdecznie dosyć i jak dla niego, Bertleigh może sobie utonąć w błocie. To nic, że błoto było dość gęste i nie należało do tych, które mają w zwyczaju pochłaniać nieopatrznych wędrowców. Gdyby trzeba było, Wilkins chwyciłby za łopatę i pomógł w dokonaniu dzieła.

Xijn i Sinus zgodnie uznali, że tak rozpaczliwe pomysły są z pewnością wynikiem chwili słabości i Nab później by tego żałował, więc wzięli problem w swoje ręce. Każdy z nich chwycił Bertleigha za jedną nogę i ruszyli w górę zbocza, które nie do końca było pewne, czy już powinno się osunąć, czy może lepiej jeszcze trochę poczekać.

Bertleigh nie wyglądał, jakby go obchodziło, w jakiej pozycji będzie wleczony, więc nikt inny też zbytnio się tym nie

przejmował. W rezultacie, gdy został w końcu wyciągnięty na powierzchnię i rzucony na trawę, wyglądał jak dziecko, które dostało się w końcu na plac zabaw po tygodniu ulewnych deszczy.

Cała czwórka – no, może trójka, bo Pike'a z pewnością to nie dotyczyło – jego towarzyszy miała jednak większe problemy na głowach. Okazało się, że tych kilkanaście twarzy wystających znad krawędzi krateru należało prawdopodobnie do zwiadowców. Teraz stała przed nimi cała armia tubylców.

Wilkins przypomniał sobie sinusowe opowieści o krwiożerczych obyczajach Leuweungan i ze zgrozą uświadomił sobie, że kosmiczny sprzedawca kukieł ofiarnych mógł jeszcze nie dotrzeć na tę planetę, a zatem ci tutaj musieliby sobie radzić z zagadnieniem w sposób bardziej tradycyjny.

Zapadła cisza napięta jak struna, krępująca jak nóż na gardle i niosąca ze sobą tyle ewentualności, co przypadkowe spotkanie z niewyspanym niedźwiedziem. Po chwili ze zgromadzenia wysunął się przygarbiony, podpierający się sękatym kijem osobnik z bielmem na oczach. Jakimś cudem zdawał się jeszcze bardziej siwy niż cała reszta. Zapewne był kimś w rodzaju lokalnego mędrca. Za wolną rękę prowadził go jakiś młodzik. Starzec zatrzymał się przed Wilkinsem, a pomocnik ustawił go twarzą do przybysza. Powiedział coś, co zapewne zapisać dałoby się wyłącznie za pomocą prymitywnych obrazków na glinianej tabliczce.

– Sinus – szepnął Wilkins, nie odrywając czujnego spojrzenia od tubylca. – Co on mówi?

– A skąd ja mogę wiedzieć?

– Nie znasz ich języka? Myślałem, że znasz wszystkie.

– Tylko te, w których można sprzedawać hot-dogi. A ci tutaj nie wyglądają nawet, jakby odkryli już słowo „musztarda”.

Wilkins zastanowił się głęboko. Xijna nawet nie pytał. Ten świat nie wyglądał, jakby miał zamiar się kończyć w najbliższym czasie, czyli z pewnością pozostawał poza domeną zainteresowań koordynatorów końca świata.

Kiedys na Ziemi widział paru turystów. Oni zawsze jakoś sobie radzili z barierami językowymi. Spróbował ich metody,

mówiąc bardzo wolno i głośno, dodatkowo uatrakcyjniając przekaz bogatą gestykulacją. I osiągnął efekt – może nie taki, jak się spodziewał, ale zawsze jakiś. Przedstawiciel tubylców najwyraźniej uświadomił sobie, że przybysze ni w ząb nie rozumieją, co się do nich mówi i zaprzestał dalszych prób osiągnięcia porozumienia.

Zamiast tego odwrócił się do swoich ziomków i wydał z siebie dźwięk, który z pewnością zafascynowałby każdego antropologa-entuzjastę. Okrzyk musiał mieć jakieś podłoże religijne, ponieważ całe zgromadzenie bez zastanowienia padło na twarze.

Nie trwali długo w tej pozycji. Trudno się zresztą dziwić – to nic ciekawego, leżeć tak przed kimś plackiem, nie wspominając nawet o zagadnieniach z zakresu komfortu i wygody. W każdym razie, gdy tubylcy doszli do wniosku, że wystarczy tej całej czołobitności, zerwali się z ziemi, pochwycili przybyszów na ramiona i pognali w głąb czegoś, co wyglądało jak regularna dżungla. I prawdopodobnie właśnie nią było – miało moskity wielkie jak wróble, liany zwieszające się gęsto z drzew, równie gęsto przeplatane jadowitymi węzami i absurdalnie niezdolne warunki klimatyczne.

– Co się dzieje? – zapytał Wilkins, który ze wszystkich sił trzymał się nadziei, że oślizgłe coś, które wsunęło mu się za koszulkę, było tylko przedstawicielem lokalnej roślinności. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że tutejsza flora może być równie żarłoczna co fauna.

– Chyba uważają nas za jakichś bogów – stwierdził Xijn.

– Ale nie z rodzaju tych, których trzeba upiec i zjeść celem oswobodzenia z więzienia cielesności?

– Nie wiem. Myślę, że to całkiem możliwe.

Wilkins przełknął ślinę, ale jakoś nie potrafił wzbudzić w sobie porządniejszego przerażenia. Od pewnego czasu wszystko, co napotkał, usiłowało go zabić na przeróżne i nierzadko bardzo wymyślne sposoby. Zdążył już przywyknąć.

Istniały na szczęście pewne pocieszające okoliczności. Koniec końców nie zostali zamknięci w klatce, która byłaby zbudowana

z pozostałości poprzednich bóstw. Ba, nawet nie przywiązano ich za ręce i nogi do długich żerdzi. Było więc spore prawdopodobieństwo, że intencje tubylców nie mają jednak podłoża gastronomicznego.

Mimo wszystko Nab odetchnął z ulgą, gdy zostali doniesieni na miejsce. Nie zawierało ono wielkich kotłów, palenisk przewidzianych na pieczone w rozmiarach przeciętnego mężczyzny ani niczego, co mogłoby być elementem wyposażenia miejscowego odpowiednika kuchni.

Powitała ich za to jeszcze większa horda białowłosych autochtonów. Ci nawet nie próbowali nawiązywać rozmowy, od razu przeszli do bicia pokłonów.

– No, super – syknął Wilkins. – To bardzo miło, że postanowili nas czcić, zamiast zjeść, ale to nie poprawia naszej sytuacji. Mielіśmy ratować wszechświat. Macie jakiś pomysł, jak im to wyjaśnić?

– Myślę – odsyknął Sinus – że na razie powinniśmy ładnie się uśmiechać i wyglądać na takich, do których warto zanosić modły. Nie chcemy przecież urazić ich uczuć religijnych. Wierz mi, nie chcemy...

Wilkins przygryzł wargę. Obraza uczuć religijnych w takich okolicznościach mogła wiązać się z kamiennymi nożami i wycinaniem bluzniercom różnych kawałków ciała. Od razu poczuł potrzebę bycia bardzo łaskawym bóstwem.

Gdy przyjęli cierpliwie wszystkie obowiązkowe pokłony i wyrazy uwielbienia, znowu zapadła pełna obustronnego wyczekiwania cisza.

– I co teraz? – szepnął Wilkins. – Wyglądają, jakby na coś czekali. Powinniśmy coś zrobić?

– Nie wiem – odpowiedział Sinus. – Nigdy nie byłem obiektem kultu religijnego. Chyba musimy poczekać na rozwój wypadków.

Problem w tym, że tamci najwyraźniej doszli do takiego samego wniosku. Cisza stała się nieprzyjemna jak gruby wełniany sweter – może na biegunie północnym byłaby do zniesienia, ale zdecydowanie nie przy warunkach klimatycznych przeciętnej sauny. W końcu tubylcy uznali, że z boską cierpliwością nie ma co pogrywać i przyjęli inicjatywę.

Tłum neandertalskich albinosów zafalował i po chwili przed szeregiem znowu wyszedł pojedynczy przedstawiciel. Tym razem nie był ślepy, przygarbionym staruszką, lecz wyprostowanym, dumnym jegomościem. Poruszał się tak, że aż cisnęło się na usta słowo „kroczyć”. Wilkins z zainteresowaniem zarejestrował, że osobnik ma dwie czaszki. No, może jedną i trzy czwarte – ta druga, pozbawiona żuchwy, została umieszczona na czubku jego głowy. To musiał być ktoś w rodzaju wodza, a gustowne nakrycie głowy kiedyś zapewne stanowiło integralną część poprzednika.

Zatrzymał się kilka kroków przed przybyszami i obrzucił każdego z nich badawczym, ale odpowiednio dla władcy obojętnym spojrzeniem. Gdy już ocenił obcych pod kątem wszystkich kryteriów boskości, przemówił. Ciąg egzotycznych dźwięków zabrzmiał tak, jakby na końcu miał coś w rodzaju znaku zapytania. I to była jedyna w miarę rozpoznawalna część zdania.

Wilkins wzorem towarzyszy milczał zawzięcie i miał gorącą nadzieję, że wódz nie mówił niczego w stylu: „czy mamy was rytualnie wypatroszyć? Jeśli potwierdzacie, to nic nie mówcie.”

Cisza znowu stała się wełniana, gryząca i zdecydowanie zbyt dusząca na tutejsze warunki klimatyczne.

– Nie macie tu przypadkiem jakiegoś statku kosmicznego? – odezwał się w końcu Sinus. Nab westchnął w duchu i pomyślał, że może to i lepiej, że sprzedawca hot-dogów nie zna języka. Tubylcy wyglądali na takich, których idea kosmicznych podróży mogłaby zabić. Na pewnych stadiach rozwoju cywilizacji nie powinny dowiadywać się o niektórych sprawach. Mogłyby zrobić sobie poważną krzywdę, usiłując wcielić je w życie. Nikt rozsądny nie dałby przecież neandertalczykom karabinów maszynowych. Chyba że byłby naprawdę zwyrodniałym socjopatą. Albo zdesperowanym sprzedawcą hot-dogów.

– Staa' kuh? – zapytał wódz unosząc brwi.

– Stat-ku – powtórzył Sinus, z pietyzmem pochylając się nad każdą głoską. – Statek. Kosmiczny.

– Staa' kuh, staa' kuh. – Wódz gorliwie pokiwał głową. – Koos-mih nyi. Koos-mih nyi! – wykrzyknął, odwracając się do poddanych. Tłum eksplodował grzmiotem euforii.

Władca wielkodusznie pozwolił poddanym powydziierać się do woli, nim uciszył hałas jednym, ale za to bardzo zdecydowanym ruchem dłoni. Wszyscy ucichli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i rozstąpili się, dając wodzowi przejście.

Wilkins, Sinus i Xijn domyślili się, że powinni podążyć za nim. W tłumaczeniu nieco pomogli im dzicy, którzy niewiele myśląc, znów porwali ich na ramiona i ponieśli za swym przywódcą.

Po kilku kwadransach wyteżonego marszu – przynajmniej dla niektórych – Nab uznał, że taki sposób podróżywania jest nawet całkiem przyjemny. No, może jakby miał jeszcze klimatyzację i jakąś ochronę przed insektami...

Do celu dotarli dopiero po zmierzchu, ale w niczym nie poprawiało to sytuacji. Umęczona upałem ziemia hojnie oddawała nagromadzone ciepło, więc było równie parno jak za dnia. Moskity wprawdzie zniknęły, ale ich miejsce ochoczo zajęły nie mniej krwio pijące latające paskudztwa o świecących odwłokach. Mogłyby być świetlikami, ale były zdecydowanie zbyt wstrętne, by złapać je do słoika i postawić na stoliku nocnym.

Dodatkową atrakcją pory nocnej były odległe wycia głodnych – i niewątpliwie zamierzających szybko ten stan zmienić – istot. Szczęśliwie dziki lud, chwilowo dźwigający na barkach Wilkinsa i resztę, był na tyle cywilizowany, że udało mu się już okiełznać ogień i odkryć, że jeśli podpali się kawał kija z jednej strony, to da się zabrać ów ogień ze sobą w drogę. Taki przenośny ogień niósł wiele dobrodziejstw. Można było oświetlić sobie drogę, odstrążyć wygłodniałe bestie albo puścić z dymem sąsiednią wioskę.

Rozdygotane, czerwone płomienie pochodni miały jeszcze jedną, bardzo istotną w zaistniałej sytuacji cechę. Jeśli stanęło się z nimi u podnóża budowli przypominającej piramidę Azteków,

to wyglądała ona naprawdę mrocznie i złowrogo. Nab nie miał jednak na nazwisko Poe ani Lovecraft, więc wcale nie poczuł się zafascynowany błuźniczymi bryłami bazaltu wyzierającymi spomiędzy lepkich macek przedwiecznego oparu.

Jeszcze mniej przypadł mu do gustu fakt, że mroczna budowla najwyraźniej stanowiła cel ich podróży.

Wódz tubylców zniknął właśnie w mroku pochłaniającym górną część piramidy. Normalnie Wilkins zawahałby się, czy powinien tak ślepo podążać za całkiem nieznanym dzikusiem, ale akurat nie pozostawiono mu przestrzeni na takie wątpliwości. Razem z Sinusem i Xijnem zostali postawieni u podnóża schodów i delikatnie, acz sugestywnie pchnięci naprzód. Pike'a i Bertleigha odłożono nieco na bok. Widocznie oni byli jakimiś pomniejszymi i nie tak istotnymi bóstwami w lokalnym panteonie. Wilkins poczuł, że bardzo chętnie odstąpiłby im całą swoją chwałę.

Spojrzał żałośnie na towarzyszy teistycznej niedoli. Xijn i Sinus również nie wyglądali na zachwyconych. Nikomu nie uśmiechało się wspinanie na szczyt budowli, która z pewnością była świadkiem niejednej rytualnej operacji kardiologicznej.

Powtórne, wciąż delikatne, ale nieco zniecierpliwione szturchnięcie w plecy przekonało ich skutecznie, że sprawa nie podlega dyskusji i będzie dla nich lepiej, jeśli sami wejdą do świątyni.

Atmosfera panująca wewnątrz piramidy była chłodna, wilgotna i budziła nieprzyjemne skojarzenia z miejscem, którego stali lokatorzy nie żyją już od dłuższego czasu. Płomień pochodni trzymanej przez wodza dzikich nabrał bladozielonego odcienia, idealnie podkreślając niezbyt optymistyczny nastrój.

Gdy weszli w rozdygotany krąg światła, wódz uśmiechnął się zachęcająco i machnął ręką, nakazując im, by poszli za nim. Poprowadził ich do przeciwległej ściany świątyni i podniósł wysoko pochodnię. Na pół ściany rozciągało się ogromne malowidło ukazujące najprawdopodobniej symbol lokalnego kultu religijnego, na który składało się nic innego, jak uproszczony schemat działania pryzmatu. Wilkinsowi oczy niemal wyszły z orbit. Spojrzał w dół na swoją koszulkę, ale był to w zasadzie

ruch czysto formalny – po pierwsze zobaczył tylko ciemność, a po drugie i tak dobrze wiedział, co się w niej kryło. Spomiędzy plam zaschniętego błota powinien prześwitywać dokładnie taki sam znak.

– No, to przynajmniej wyjaśniło się, dlaczego Nab jest bogiem. – Sinus pokiwał głową.

Wódz przesunął pochodnię ku kolejnej ścianie. Gdy zielonkawy blask padł na kamienie, okazało się, że są one gęsto pokryte rysunkami, które mogło popełnić tylko niezbyt utalentowane plastycznie dziecko albo kilka pokoleń dość prymitywnych hominidów.

Wilkins stwierdził, że takie pismo podoba mu się dużo bardziej, niż na przykład x'vorgański alfabet, o którego krawędzie można było sobie boleśnie pokaleczyć umysł. Proste rysunki były nawet całkiem przyjemne dla oka. Większość upamiętniała tak znamienne wydarzenia z historii tutejszej społeczności, jak udane polowanie na olbrzymiego zwierza wyglądającego na skrzyżowanie słonia z żyrafą i jeżozwierzem.

Wódz wiódł dłonią wzdłuż ściany, opowiadając dzieje plemienia w pięknym, melodyjnym i całkowicie niezrozumiałym języku. Nab czuł się, jakby czytał komiks po japońsku. Może i nie rozumiał nic z dialogów, ale obrazki wystarczały, by wyłapać ogólny sens. Zresztą sens nie był trudny do wyłapania. Kolejne piktogramy ukazywały niezmiennie grupkę ludzików tańczących wokół coraz dziwniejszych istot, wyglądających, jakby ktoś podarł atlas zwierząt na małe kawałeczki i próbował go naprawić metodą prób i błędów.

W końcu wódz zakończył wykład o dziejach łowiectwa i przeszedł do czegoś, co przynajmniej na ścianie wyglądało jak wielka wojna z wrogim plemieniem. Obrazki zawierały mrowie ludzików podzielonych na dwa kolory oraz całe mnóstwo czerwonej farby. Na kolejnych rysunkach postaci w kolorze czarnym zaczęły zdecydowanie dominować nad białymi, których to coraz częściej zastępowały szkarłatne plamy. Wilkins śledził akcję z wypiekami na twarzy. W końcu białych ludzików zostało tylko trzech.

Następny rysunek przedstawiał coś w rodzaju meteorytu, komety albo innej ognistej kuli. Cokolwiek to było, przywaliło w gromadę czarnych postaci i momentalnie rozstrzygnęło o wyniku wojny.

– Hej! – wykrzyknął Xijn tak, że wciągnięty w obrazkową opowieść Wilkins aż podskoczył.

– Czego się wydzierasz? Odbiło ci? – zapytał z wyrzutem.

– Pamiętacie tych gości, na których wylądowaliśmy? Znaczą te nogi, które wystawały spod statku?

– No, pamiętamy. I co z tego?

– One przecież były czarne.

Gdzieś w umyśle Wilkinsa zapaliła się niewielka żaróweczka zrozumienia. Problem w tym, że nie do końca wiadomo, w którym konkretnie miejscu. W takiej sytuacji zwykło przywoływać się obraz przedstawiający całą masę kościołów, z których jeden nagle postanowił się rozdzwonić.

Wilkins zapatrzył się w kilka ostatnich kadrów opowieści. W jego głowie mechanizmy arytmetyki historycznej weszły na najwyższe obroty, dodając, odejmując, mnożąc, dzieląc i całkując wszystkie możliwe przyczyny i skutki.

Właśnie uśmiechał się do samego siebie, odkrywając, że elementy wyjątkowo upierdliwej układanki nagle zaczęły do siebie pasować, kiedy poczuł, że ktoś bardzo uprzejmie szarpie go za rękaw.

– Czego? – warknął poirytowany, że ktoś przeszkadza mu w momencie olśnienia. Wilkinsowi takie momenty nie zdarzały się ostatnio zbyt często, toteż zamierzał trochę ponapawać się chwilą. Spojrzał gniewnie na natrętnego szarpacza rękawowego, którym okazał się nieco zaleźniony wódz tubylców.

Wilkins zorientował się, że to on i jego złość muszą być przyczyną zdenerwowania dzikiego, więc uśmiechnął się dobrodusznie. Wódz uspokoił się, widząc, że niebezpieczeństwo gniewu bożego zostało zażegnane i gestem nakazał – a raczej uprzejmie poprosił, by nadprzyrodzona trójka była łaskawa za nim podążyć. Poprowadził ich na drugą stronę pomieszczenia.

Śmieszna sprawa... Zgodnie z regułami geometrii po drugiej stronie pomieszczenia powinno być wyjście na zewnątrz. Tymczasem dziura w ścianie może i była wyjściem, może nawet wiodła na jakieś zewnątrz, ale z pewnością nie było to zewnętrzne piramidy.

Wilkins zdążył się już nauczyć, że jeśli coś wymyka się podstawowym zasadom geometrii kartezjańskiej, należy natychmiast przestać o tym myśleć, bo inaczej można napytać sobie biedy. Jednak z drugiej strony nie bardzo mu się podobało takie błędzenie po mrocznych salach, w których drzwi urządzają sobie spacer. Tyle że chwilowo nikt nie pytał go o zdanie.

Schody, znajdujące się za dziurą w ścianie, wiodły wprawdzie w dół, ale u ich podnóża nie czekał rozentuzjasmowany tłum jasnowłosych dzikusów, lecz małe pomieszczenie, jeszcze bardziej mroczne i zawilgocone niż poprzednie.

Pachnąca pleśnią ciemność nie miała zamiaru poddawać się zbyt łatwo w starciu z pojedynczą pochodnią. Ciężkie powietrze pachniało starożytnością i przesiąknięte było zdenerwowaniem, które zdawało się iskrzyć niewielkimi wyładowaniami. Taki nastrój panuje na ogół w miejscach, do których z różnych względów zwykli śmiertelnicy nie powinni wchodzić. Wilkins poczuł dreszcz na plecach. Tubylcy mogli go sobie uważać za bóstwo, niemniej on i tak pozostawał zwykłym śmiertelnikiem. No i wciąż był ateistą, co sprawiało, że nawet podwójnie nie był bogiem. Czyli był podwójnie narażony na ewentualne klątwy.

Kiedy płomień pochodni przyzwyczał się do nieprzyjaznego środowiska, krąg światła nieco się uspokoił i wyrwał zawilgoconej ciemności nieco więcej przestrzeni. Z mroku wyłoniła się kamienna skrzynia, stojąca w centrum pomieszczenia. Wyglądała jak sarkofag. Gdy wódz grzecznie przekazał pochodnię Sinusowi i pchnął wieko, okazało się, że również brzmiała jak sarkofag. Gdy zaś zgrzytająca potępieńczo kamienna płyta uderzyła w końcu z łoskotem o podłogę, a pochodnia oblała niepewnym blaskiem wnętrze, Wilkins stwierdził, że skrzynia ma także sarkofagową zawartość. Składała się na nią kupa kości,

trzymająca się razem chyba tylko dzięki nędznym resztkom bandaży. Nab z zainteresowaniem zarejestrował, że trup cierpiał na podobną anomalię anatomiczną, co stojący nad nim neandertalczyk, tyle że odwrotnie zorientowaną. Krótko mówiąc, wyszło na jaw, czyją czaszkę nosił dumnie na głowie wódz.

Bezgłowy kościotrup ścisnął w rękach niemiłosiernie zakurzoną skrzyneczkę. Wódz chwycił ją i dość bezceremonialnie wyszarpnął z kruchych palców starożytnego poprzednika.

Po panującej atmosferze można było się spodziewać wcielenia w życie historii o nieumarłych strażnikach pradawnych skarbów i powstających z grobów szkieletach napędzanych starodawną, zapomnianą magią pogańskich bogów. Tyle, że nic podobnego się nie wydarzyło. Misterna, delikatna konstrukcja bandażowo-kostna po prostu rozsypała się w żałośnie bezładną masę gnatów.

Wódz nabożnie przekazał artefakt Wilkinsowi. Nab, przyjąwszy zakurzony przedmiot, odruchowo dmuchnął nań i od razu pożałował tej decyzji. Gdy już udało mu się wykaszać z płuc cały antyczny pył, stwierdził, że skrzyneczka wcale nie jest wykonana z bardzo popularnego surowca kostnego, tylko z plastiku. Z najzwyczajniejszego we wszechświecie plastiku, który nie do końca miał prawo istnieć w czasach, kiedy niezbędne do jego produkcji surowce dopiero wydzielają się gdzieś w podziemnych czeluściach z pozostałości tragicznie wymarłej populacji ogromnych gadów.

Wilkins otrząsnął się, przerywając rozmyślenia nad historią produkcji tworzyw sztucznych. Chwycił za tę część pudełka, która wyglądała na wieczko i pociągnął do góry. Wieczko otworzyło się posłusznie bez żadnych protestów.

Zadziwiająco wymyślne zabezpieczenia jak na pradawne artefakty – pomyślał Nab. Po chwili uświadomił sobie z nostalgią, że może tubylcy nie poznali jeszcze złodziejstwa... Chociaż nie, skoro wynaleźli już wojny, to z całą pewnością odkryli też kradzieże. W końcu co to za przyjemność tłuc się z wrogiem plemieniem, kiedy nawet nie można po wszystkim ograbić zwłok przeciwników.

Cóż, może po prostu dla lokalnej społeczności istniały jeszcze jakieś świętości i nie trzeba było wszystkiego przykuwać łańcuchami do podłogi... Albo po prostu nie zdążyli wymyślić zamków.

Wilkins zajrzał do skrzyneczki. Na dnie leżał kawałek papieru o wymiarach dokładnie sto pięćdziesiąt sześć na sześćdziesiąt sześć koma trzy milimetra i nie był do końca papierkiem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Składał się w około trzech czwartych z bawełny, niemal w jednej czwartej z lnu oraz domieszki kilku tajemnych składników, które spędzały sen z powiek niejednemu fałszerzowi.

„Toż to przecież amerykański dolar” – usiłował powiedzieć Nab, tyle że chwilowo utknął na literze „t”. Powtarzał ją z uporem maniaka, jednak nic nie wskazywało, by miało mu się udać przejście do dalszej części zdania. Jego umiejętności składania głosek w całe wyrazy nagle spadły tak drastycznie, że strach było pomyśleć, co będzie, jak dotrze do „ż”.

W końcu Xijn stracił cierpliwość, podszedł i wyjął z zeszywniałych palców Wilkinsa gablotkę. Spojrzał badawczo na przedmiot umieszczony w środku.

– Sinus. – Xijn doznał nagle olśnienia. – Masz jeszcze te pieniądze, które zarobiłeś na Ziemi?

– Hmm... – Sprzedawca hot-dogów zamyślił się przez chwilę. – Na czym? – zapytał w końcu.

– No, na Ziemi. Taka planeta, pamiętasz? Skończyła się niedawno. Nab jest stamtąd.

– Ach, tamta Ziemia... – Oczy Sinusa zaszyły mgiełką wspomnień. – Ziemianie umieli docenić dobrego hot-doga...

– No właśnie. Gdzie masz te pieniądze, którymi doceniali twoje hot-dogi?

Sinus sięgnął do kieszeni. Po kilkunastu sekundach wyężonego wyciągania całych zastępów rzeczy takich, jak składany nóż laserowy, opakowanie jednorazowych serwetek, komplet plastikowych sztućców i średniej wielkości butelka keczupu, Wilkins doszedł do wniosku, że kieszenie Sinusa muszą być oparte na tej samej zasadzie, co zbyt przestronne wnętrze jego budki.

W końcu sprzedawca hot-dogów wydobył niesamowicie zmaltretowany banknot jednodolarowy. Wilkins z nostalgią popatrzył w twarz George'a Washingtona. Był niemal pewien, że prezydent patrzy na niego z niemym wyrzutem za tę wpadkę z ratowaniem Ziemi.

– Proszę – powiedział Sinus, wręczając banknot wodzowi. – To jak będzie z tym staa'kuh?

– Koos-mih nyi? – wyjąkał wódz, olśniony wspaniałością otrzymanego daru.

– Koos-mih nyi.

– Staa'kuh, staa'kuh!

Może taka komunikacja pozostawiała nieco, a nawet całkiem sporo do życzenia, ale przede wszystkim była skuteczna. A to jest przecież najważniejsze. O ile oczywiście Sinus i wódz tubylców mówili o tym samym, a staa'kuh oraz koos-mih nyi miały więcej wspólnego ze statkiem kosmicznym, niż z krwawą ofiarą dla jakiegoś wyższego rangą bóstwa. Wilkins stwierdził, że nawet ta druga perspektywa w zasadzie nie przeraża aż tak bardzo. Była tylko kolejnym wyjściem z sytuacji, która i tak była beznadziejna.

Można by powiedzieć, że nerwy Wilkinsa były zszargane. Tyle że zszargane nerwy to może mieć biznesmen, który przed tygodniem zorientował się, że jego prywatny odrzutowiec nagle zniknął razem z jego księgowym, żoną, psem i większością majątku. Taki przedsiębiorca nic nie wie o prawdziwych kłopotach i prawdziwym zszarganiu nerwów. Najgorsze, co go może spotkać, to odsiadka w więzieniu. No, ostatecznie, mógłby zostać zlinczowany przez tłum żądnych krwi wierzycieli...

Wilkins od pewnego czasu balansował chyba na wszystkich możliwych krawędziach. Jego nerwy wyglądały jak koronkowa firanka, która została wyprana w kwasie solnym, następnie odwirowana w silniku odrzutowym i w końcu wysuszona w kraterze budzącego się wulkanu.

Elektryczne impulsy strachu po prostu nie bardzo chciały się przesuwac po układzie nerwowym w takim stanie. Teraz, kiedy już ochłonął po niespodziewanym obcowaniu z amerykańskimi

środkami płatniczymi, był spokojny, jakby omyłkowo posłodził herbatę trzema łyżeczkami haloperidolu.

Wódz tubylców, nie zwracając uwagi na psychiczne fanaberie swego bóstwa, chwycił krawędź sarkofagu i wyprężył mięśnie, usiłując go przesunąć. Wilkins spojrział na te wysiłki z niemym, nieco apatycznym współczuciem, jednak po chwili okazało się, że może schować sobie to współczucie do kieszeni. Sarkofag, choć bez wątplenia wykonany z litego i bardzo ciężkiego kamienia, zazgrzytał nieprzyjemnie o płyty podłogi, odsłaniając najpierw wąską szczelinę, a potem całkiem porządną dziurę mroku.

Tak to właśnie bywa ze starożytnymi świątyniami. Będąc w ukrytym pomieszczeniu, nigdy nie można być pewnym, czy gdzieś w pobliżu nie kryje się przejście do kolejnego, jeszcze bardziej ukrytego.

Nie sądzisz, że to wszystko jest szalenie fascynujące? – odezwał się głos gdzieś pośród zwojów mózgowych Wilkinsa. Wilkins nie miał problemów z rozpoznaniem go. Ten sam głos jeszcze całkiem niedawno za szalenie fascynującą uważał kwestię dodatkowych kończyn Sinusa.

Osobiście uważał, że nadmierne podniecanie się skomplikowanym systemem komnat poukrywanych w najróżniejszych miejscach nie jest właściwą reakcją. Chyba że ktoś bardzo lubi przygody. Nab przeżył ich ostatnio całkiem sporo i jednego był pewien – zdecydowanie ich nie lubił. Łatwo można było sobie zrobić za ich pomocą krzywdę, a nawet jak już człowiekowi udało się wyjść bez szwanku, to i tak był koszmarnie wymęczony. Dlatego właśnie odkrycia nowego tajemnego przejścia nie zamierzał witać pełnym ekscytacji „hurra”, a raczej zrezygnowanym „no nie, znowu?”

Po krótkim, mało urokliwym spacerku przez ciasny, klaustrofobiczny korytarz wpadli w objęcia gorącego, lepkiego oparu. Okazało się, że zamaskowane przejście do ukrytej komnaty było w rzeczywistości zamaskowanym wyjściem ze świątyni.

O powietrzu na zewnątrz można by powiedzieć bardzo wiele rzeczy. Foodel Lauderbrax, przesławny poeta intergalaktyczny

o bardzo wątpliwym talencie, napisałby zapewne głośny i dość marny poemat o zmęczonym powietrzu prehistorycznego tropiku czekającym tylko na krótki oddech epoki lodowcowej. Niejeden naukowiec mógłby zrobić karierę na badaniu jego właściwości psychoaktywnych. Trzeba by jednak siedzieć cały dzień zamkniętym w szatni drużyny futbolowej, żeby móc uznać je za świeże. Niemniej na Naba podziałało ożywczo. Przynajmniej na tyle, by przekonać elektryczne bodźce strachu, że nie warto się poddawać i pchnąć je do podjęcia wędrówki po wilkinsowym układzie nerwowym.

A może była to po prostu zasługa mrozącego krew w żyłach ryku, który rozległ się gdzieś w głębi dżungli? Problem w tym, że głębia dżungli zaczynała się jakieś dwa metry na prawo od Wilkinsa, obiegała planetę dookoła i kończyła się dwa metry na lewo.

Noc była na tyle ciemna, by skutecznie ukryć wszystkie niebezpieczeństwa i jednocześnie na tyle jasna, by sugerować, że owe niebezpieczeństwa mają długie szpony, ostre kły i kryją się tuż za plecami.

Wilkins, kiedy jakiś czas temu był niesiony przez tłum tubylców, czuł się być może niepewnie. Teraz był pewien, że oddałby wszystko za tamten sposób przemierzania dżungli. Chociaż na całe „wszystko” jakim dysponował, składała się ciężka nerwica, niesamowicie wyblócona koszulka i towarzystwo dwóch wariatów oraz jednego dzikusa. Nie takich bogactw oczekiwało się na ogół od bóstw.

Gdy Wilkins wpadł na nagle zatrzymane plecy wodza tubylców i klapnął w miękkie, ciepłe błoto, przez zielone sklepienie buszu przebijały się z niemałym trudem co bardziej nieustępliwe promienie porannego słońca. Nie poprawiało to jednak ani trochę panującego nastroju.

W miejscu i czasach, gdy człowiek w najlepszym przypadku może być mało istotnym ogniwem gdzieś przy początku

łańcucha pokarmowego, różnica między nocą a dniem polega wyłącznie na tym, że to drugie zawiera więcej światła. Nawet jeśli niektórzy wygłodniali, ukryci za plecami nocni łowcy dali sobie spokój i poszli spać, to z pewnością obudzili się ich dzienni krewni. I nie ma co liczyć, że będą bardziej najedzeni.

Wilkins zdążył jako tako wygramolić się z błota i spojrzeć z niesmakiem na swój strój, który i bez tej przygody stanowiłby niezłą zmurę dla wszystkich możliwych pralni, gdy przywódca jasnowłosych hominidów odwrócił się do niego z rozszerzonymi, błyszczącymi oczami.

– Staa’kuh! Staa’kuh! – zawołał podekscytowany i pociągnął Wilkinsa za rękę w stronę czegoś, co wyglądało jak kurhan, którego twórcy nie słyszeli nigdy o kamieniach i zamiast nich postanowili użyć zielska. Nab uświadomił sobie, że umiejętności lingwistyczne Sinusa chyba jednak tym razem zawiodły. Czymkolwiek było to całe „staa’kuh”, z pewnością nie było tym, czym powinno.

Tubylec, widząc konsternację na boskim obliczu, podszedł do tajemniczego staa’kuh i rozchylił wierzchnie zwoje bluszczu. Zza płataniny roślinności błysnęło coś, co przy odrobinie dobrych chęci można by wziąć za zmatowiałą ze starości metalową powierzchnię.

Sinus miał mnóstwo dobrych chęci. Akurat tyle, by uwierzyć nie tylko, że spod roślinności istotnie wyziera bardzo stary metal, ale również, że został z niego wykonany równie stary statek kosmiczny. Postanowił bez większych ceregieli sprawdzić prawdziwość swoich wierzeń.

Kilka energicznie zerwanych garści chwastów później zawołał:

– Hej! To naprawdę może być statek!

Na te słowa głęboko w Wilkinsie coś odżyło. Nie była to raczej nadzieja. Na nadzieję było stanowczo za mało, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu: „a co tam, można spróbować”.

Podczas gdy cała trójka mniej lub bardziej ochoczo zrywała kolejne warstwy lokalnej flory z czegoś, co coraz bardziej zaczynało przypominać statek kosmiczny, na pewnej planecie, niedawno zwanej Ziemią, pewien bardzo wkurzony Jeździec Apokalipsy zasiadał właśnie przed pewnym pulpitem sterowniczym. To był dość specyficzny pulpit sterowniczy. Można śmiało powiedzieć, że jedyny w swoim rodzaju. Nieczęsto się zdarza, by na pulpicie sterowniczym, pod plastikową osłonką tkwił wielki, czerwony przycisk z napisem „KONIEC WSZECHŚWIATA”.

Wojna, złorzecząc bandzie bezczelnych X’Vorgan, opadł w miękką otchłań obrotowego fotela i podsunął się do konsoli. Niewiele się zastanawiając, podniósł plastikową osłonkę i huknął pięścią w przycisk kończenia wszechświata.

Na olbrzymim ekranie, zajmującym sporą część ściany, pojawił się komunikat:

„Do końca wszechświata pozostało jeszcze

0000000000000015h 45m 17s.

Czy na pewno chcesz zakończyć wszechświat teraz?”

Wojna rozejrzał się w poszukiwaniu odpowiedniego przycisku. Zapewne zielonego. Zapewne z napisem „TAK”...

Cząstki armagedonu są wprawdzie dość szybkie – z pewnością szybsze od starych, ślamazarnych fotonów – ale nie aż tak szybkie jak, powiedzmy, cząstki nienawiści czy apetytu na hot-dogi, toteż w chwili, gdy palec Wojny wisiał nad zielonym przyciskiem z napisem „TAK” jak miecz tego, no... jak mu tam było... Nieważne, w każdym razie gdy tak wisiał nad całym życiem wszechświata i sugerował, że zaraz opadnie i nikt się nie ostanie, Wilkins i reszta mieli jeszcze dość czasu, by zedrzyć ze statku kosmicznego ostatnie liany.

To, co ukazało się ich oczom, okazało się ponad wszelką wątpliwość statkiem kosmicznym. Może nie tak imponującym jak x'vorgańskie fregaty dyplomatyczne, ale Wilkins przemierzył ostatnio kawał wszechświata w budce z hot-dogami, więc nie zamierzał wybrzydzać. Pojazd wyglądał trochę jak trampek, trochę jak niedorozwinięty umysłowo spaniel, ale przede wszystkim tak, jakby całkiem dobrze leżało mu się przez te wszystkie lata pod górą roślinności i nie zamierzał się stąd ruszać.

Sinus pociągnął za wystającą ze statku dźwignię, która na dobrą sprawę mogła być po prostu jakąś grzybiastą naroślą. Po pełnej napięcia chwili w ścianie otworzyły się drzwi przy akompaniamencie westchnienia sędziwego mechanizmu pneumatycznego, oburzonego nieco, że ktoś go niepokoi.

Wilkins z pewnym rozczarowaniem stwierdził, że w tym przypadku projektant zrezygnował z kombinacji przy wewnętrznej zgodności geometrycznej statku. Skutkiem tego pojazd był tak ciasny, na jaki wyglądał. I na dodatek zawierał Wszechstronnego Pike'a i Freemana Bertleigha ułożonego na podłodze. Z tym pierwszym było coś nie tak. Wilkins zmrużył oczy, przyglądając się staruszkowi. No tak. Nie uśmiechał się. Musiało wydarzyć się coś złego. Chociaż nie. Pike wszystkie złe wydarzenia z historii wszechświata kwitował jednym nie do końca zogniskowanym uśmiechem. Musiało wydarzyć się coś... nieprawidłowego.

Nab otworzył usta. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, co tak właściwie chciał powiedzieć. Miał niejasne przeczucie, że antyczne statki kosmiczne nie powinny chyba zawierać mnichów nadprzestrzennych i byłych komandorów floty Stanów Zjednoczonych z poważnymi zaburzeniami egzystencjalnymi.

– Pike! Co ty tu... – Spośród chaotycznej płątaniny emocji w umyśle Wilkinsa z niemałym trudem na powierzchnię wydarło się w końcu zaskoczenie.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia... – Mnich uciął krótko dyskusję.

– Ale przecież to ty jesteś...

– Muszę wam o czymś powiedzieć. To bardzo ważne. – Zrobił dramatyczną pauzę. – Ale i tak nie zdążę.

Zachwiał się tak, jakby nagle postanowiły odezwać się w jego organizmie wszystkie litry piwa, które pochłoniął w Czterdziestu Wściekłych Diabłach, i upadł na podłogę.

I w tej samej chwili ciemność wybuchła Wilkinsowi przed oczami milionem odcieni czerni.

ROZDZIAŁ 15

Wilkins otworzył oczy, gdy tylko udało mu się odnaleźć własną tożsamość w bezładnym kłębowisku istnień wszystkich czasów. Przywitała go biel. Zwyczajna, nudna biel – tak jakby wielkiemu malarzowi dziejów nagle skończyły się pomysły. Albo farby. Ewentualnie jedno i drugie.

A jednak ta biel była na swój sposób... dziwna. Nab stał na niej, był nią otoczony ze wszystkich stron, a nawet nią oddychał. To była biel z rodzaju tych, które nie tolerują istnienia czegokolwiek poza sobą – nawet powietrza czy przestrzeni. Inne kolory nie zachowują się na ogół tak apodyktycznie. Nawet czerń. Wilkins powinien czuć się zaszczycony, że biel postanowiła dla niego uczynić wyjątek.

Wstał. Właściwie z powodu braku przestrzeni i związanego z nią układu współrzędnych mógł stać już przedtem, ale coś mu podpowiadało, że raczej leżał na plecach. W każdym razie, gdy się już podniósł – albo położył się, zależnie od punktu widzenia – rozejrzał się dookoła, co samo w sobie stanowiło nie lada wyczyn. Mniej więcej w jednej czwartej rozglądania uzmysłowił sobie, że „dookoła” ma tutaj trochę więcej niż podstawowe trzysta sześćdziesiąt stopni.

Nagle zmrużone oczy Wilkinsa wychwyciły spośród nieskończonej białości pewien szczegół. Był to starzec o długich, białych włosach, ubrany w długą, białą szatę. Stał wprawdzie plecami do niego, ale Wilkins był pewien, że ma również brodę. Z pewnością długą i białą. Z monochromatycznego otoczenia oko obserwatora mogło go wyłowić tylko dzięki czemuś,

co znajdowało się u jego stóp. Było bardzo czarne, bardzo wzburzone i bardzo niezdecydowane, czym właściwie powinno być. Przypominało kałużę ropy naftowej, w której ktoś niewidzialny mieszał mikserem o napędzie atomowym.

Wilkins z braku lepszych pomysłów ruszył w tamtą stronę. Biel pod jego stopami brzmiała jak parkiet w samym środku audytorium. Bardzo dużego i całkowicie pustego audytorium. Do tego późnym wieczorem i przy zgaszonych światłach. W takim miejscu echo własnych kroków nasuwa niepokojące wrażenie, że to tak naprawdę wcale nie jest echo, lecz odgłos kroków kogoś, kto przechadza się gdzieś po drugiej stronie rzeczywistości.

Starzec pochylał się nad bulgoczącym nerwowo jeziorkiem czerni. Choć Wilkins nigdy wcześniej go nie widział, starzec wydawał się znajomy. Nawet bardzo. Bardziej znajomy niż cokolwiek innego. I tu pojawił się problem. Nab w niego nie wierzył.

Starzec, ciągle odwrócony do przybysza plecami, powiedział:

NIECH STANIE SIĘ CHAOS

A słowo stało się ciałem... To znaczy chaosem. I starzec widział, że to było całkiem niezłe. Ale nie o to do końca chodziło. Wtedy starzec rzekł:

BUM!

... i chaos eksplodował. I starzec widział, że to było lepsze. Niestety nie mogło zdać egzaminu na dłuższą metę. Ale co to był za wybuch! Nawet po miliardach lat co bardziej walnięci goście będą wsłuchiwać się w jego echa.

WITAJ, NABUCHODONAZORZE WILKINSIE

powiedział starzec, odwracając się do Wilkinsa. Chociaż to raczej rzeczywistość przebudowała się w taki sposób, że Nab stanął twarzą w twarz z tamtym.

Jeziorko czerni, które dopiero uspokoilo się po wielkim wybuchu, zawirowało szaleńczo.

– A niech to. Znowu zapomniałem wyłączyć moduł kreacji wszechświata. – Głos wciąż budził szacunek, bojaźń i poczucie ulotności ludzkiego żywota, jednak nie brzmiał już tak, jakby usiłował zmusić gnuśne molekuly do roboty.

Starzec machnął dłonią nad kałużą. Młody wszechświat, wciąż wyglądający, jakby komuś się coś rozlało, zakotłował się jak wcześniej... Tylko tak jakby w drugą stronę.

– Na szczęście wszystko, co się stało, może się też odstać. – Puścił do Wilkinsa oko.

– Hej! Tak przecież nie można – odezwał się głos gdzieś za plecami Stwórcy. Nab spojrzął w tamtym kierunku. Właścicielem głosu okazał się gość z rozłożystymi skrzydłami na plecach i oburzeniem wymalowanym na twarzy.

– Lucyferze – westchnął starzec, nie patrząc w jego stronę. – Czy muszę ci tłumaczyć, co do końca oznacza „wszechmogący”?

Anioł otworzył usta, zastanowił się przez chwilę, zamknął usta i obróciwszy się na pięcie, odszedł w sobie tylko znanym kierunku, mamrocząc coś zajadle pod nosem.

– Co to za miejsce? – zapytał Wilkins, zerkając za oddalającą się postacią.

– To interesujące pytanie. Teoretycznie rzecz ujmując to nie jest żadne miejsce. Ale można powiedzieć, że znalazłeś się na początku wszechświata. – Starzec machnął dłonią w stronę kotłującego się u jego stóp, wciąż niezbyt uporządkowanego wszechświata. – To dlatego, że pewien mnich nadprzestrzenny stracił przytomność.

– Czyli wszystko stracone? – jęknął Wilkins. – Przegraliśmy? Wszystko poszło na marne...?

– Ależ nie. Jeszcze nie. Potraktuj to jako przejściowe problemy techniczne. Pike pewnie trochę spanikował. Macie jeszcze trochę czasu. Ale skoro nasz wspólny znajomy jest chwilowo niedysponowany, a co za tym idzie, działanie wszechświata uległo tymczasowemu zawieszeniu, to ty i twoi przyjaciele mogliście się znaleźć tylko w dwóch miejscach na osi dziejów, a jako że ty jesteś tutaj...

– ...to reszta wylądowała na końcu wszechświata.

– Właśnie. – Stwórca uśmiechnął się.

Wilkins zamyślił się. W końcu zdecydował się zadać pytanie, które dręczyło go, odkąd się tutaj znalazł. Nie był wprawdzie pewien, czy aby na pewno chce poznać odpowiedź, ale i tak domyślał się, jaka by była, więc co mu szkodziło.

– Czy ty jesteś...?

– Tak.

– Słucham?

– Tak. Ja jestem.

– Przepraszam, ale chyba nie rozumiem.

– Wszystko: ty, Nabuchodonozorze Wilkinsie, twoi przyjaciele, Lucyfer, nawet ten tam wszechświat, wy wszyscy tylko bywacie. A Ja jestem.

– No, tak. Ale wiesz...?

– Nabuchodonozorze Wilkinsie, Ja wiem wszystko. Wiem, ile jest ziaren piasku na morskim wybrzeżu, ile gwiazd na niebie. Wiem też o niejkiej Susanne Wilwood z trzeciej klasy liceum imienia Coleridge'a, rocznik dziewięćdziesiąt osiem. – Wszechmogący zrobił pauzę, pozwalając Wilkinsowi oblać się rumieńcem. – I doskonale zdaję sobie sprawę, że we Mnie nie wierzysz.

– I...

– I nasza rozmowa tego nie zmieni. A tak przynajmniej ci się wydaje. Myślisz sobie teraz, że to wszystko jest wytworem twojego umysłu zmęczonego zbyt dużym stężeniem przygód na jednego człowieka. Ach, i jeszcze bardzo irytuje cię to, że odpowiadam na pytania, zanim zdążysz sobie uświadomić, że powinieneś je zadać.

Wilkins czuł, że wypadałoby coś powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Ale przynajmniej wiedział, gdzie szukać pomysłów. Sięgnął w głąb swojego umysłu. Gdzieś głęboko powinien mieć schowane logiczne i solidnie ugruntowane dowody na nieistnienie Boga.

– A czy nie powinienem przypadkiem spłonąć żywcem, stając przed twoim obliczem czy coś w tym stylu? – Wilkins w końcu wymyślił pytanie. Wybrał prawdopodobnie najgłupsze

spośród wszystkich pytań, które można by zadać rzekomemu Wszchemogącemu, ale przynajmniej jakieś wybrał.

– Cóż, jeśli to ma ci poprawić nastrój, to nie ma sprawy. Dla Mnie to żaden problem.

– Nie, nie. Tak jest dobrze – zapewnił pospiesznie Nab, trochę na siebie zły, że musiał wpaść akurat na to durne pytanie.

– Przespacerujemy się trochę?

Nab już miał zasugerować, że niekończąca się białość nie jest chyba najciekawszą okolicą do spacerowania, ale gdy tylko powiódł spojrzeniem dokoła, okazało się, że krajobraz rodem ze snu obłąkanego nihilisty ustąpił miejsca mniej ascetycznym pejzażom.

Wokół wykwitła pełna paleta brązów, zieleni i czerwieni. Niebo prześwitywało ciemnym błękitem przez nabrzmiałe zielenią liście. Wilkins poczuł się jak na planecie, na której zaskoczyły ich problemy techniczne wszechświata. Tyle że tutaj do karczowania wszechobecnego zielska przydałaby się przynajmniej porządna piła łańcuchowa, a najlepiej buldożer albo dwa.

– To jak, przejdziemy się? – ponowił pytanie Stwórcy. Wilkins zamknął usta i niepewnie kiwnął głową. Po drodze uważnie obserwował rośliny. Był pewien, że przynajmniej kilka z nich widział u siebie w ogródku. Tyle że wtedy nie wyglądały na takie, o które można by rozbić autobus.

Wyszli na brzeg urwiska. Na horyzoncie malował się najbardziej zapierający dech w piersi zachód słońca, jaki Wilkins widział w życiu. Na krawędzi dżungli był ognistoczerwony i przechodził przez cały zakres spektralny aż do głębokiego fioletu mniej więcej w zenicie.

– Całkiem lubię zachody słońca – wyznał Stwórca. – Można przy nich poszaleć z kolorami. Zwłaszcza na początku. Potem barwy jakoś tak płowieją. Oho. Chyba zaczyna się pora kolacji.

Wilkins olśniony paletą barw dopiero zauważył, że z parującej powierzchni koron tropikalnych drzew wystają długie szyje zakończone główkami z krótkimi pyskami. Leniwie skubały najsmakowitsze liście z czubków drzew. Nab nagle pomyślał, że ktoś zamknął go chyba w głowie Stevena Spielberga.

– D-dinozaury? Przecież dopiero co... Wielki Wybuch i w ogóle... – wyjąkał. – Więc to prawda, że u Ciebie milion lat jest jak mgnienie oka...

– Co? Ach, no tak. Ale to jeszcze nie jest żaden świat. To raczej coś w rodzaju kieszonkowego notatnika. Zapisuję sobie co ciekawsze pomysły.

– N-notatnik? – Wilkins powtórzył jak echo.

– Dokładnie. Na pomysły. Rozumiesz, żeby niczego nie zapomnieć.

Nab widział w życiu niejednego notatnika. Zazwyczaj mieściły się w dłoni, miały od sześćdziesięciu do stu dwudziestu kartek, drucianą spiralkę spinającą strony, a niekiedy przy-mocowany długopis. Rzadko się zdarzało, by mieściły w sobie całe wycinki światów z kompletnymi ekosystemami i malowniczymi zjawiskami pogodowymi. Trudno by je wówczas nazwać „kieszonkowymi”.

Papiernicze rozmyślenia Wilkinsa przerwało poruszenie w zaroślach tuż obok niego. Sugerowało, że zaraz może wypaść z nich coś, co albo go zeżre, albo rozdepcze. Aż podskoczył, gdy po chwili z krzaków wybiegła grupka welociraptorów. Dinozaury zatrzymały się na wyciągnięcie ręki i zaczęły nasłuchiwać z podniesionymi wysoko łbami. Stwórca uśmiechnął się tylko.

– Nie są niebezpieczne? – wyszeptał zeszytniały Wilkins.

– To przecież dinozaury. Pewnie, że są. Ale nie dla nas. Słyszałeś kiedyś, żeby kogoś pogryzły notatki?

Nab zastanowił się. Było w tym sporo racji, ale z drugiej strony nie widział jeszcze notatek obdarzonych paszczami, z których niemal wysypywały się wielkie, ostre zębiska.

– Poza tym – kontynuował Najwyższy – strasznie głupio by było, gdyby ktoś, kto na co dzień tworzy wszechświaty, dał się zjeść przypadkowemu stadku przerośniętych gadów o mózgach wielkości przeciętnej szyszki.

Welociraptory najprawdopodobniej zlokalizowały ofiarę, gdyż zerwały się do biegu.

– Ach, spójrz tylko na nie. Są jak stadko szczeniactków.

Faktycznie. Były może rozbrykane i pocieszne jak stadko szczeniactw, tyle że przypadkiem zostały wyposażone w ciut zbyt wiele zębów i instynkty rekina ludojada. Nab, spoglądając znów na słońce zachodzące ponad koronami drzew i głowami brachiozaurów, zastanawiał się, kogo właśnie zamierza rozszarpać na strzępy ta banda jurajskich figlarzy.

– Wspaniałe stworzenia – powiedział Stwórca, przyłączając się do Wilkinsa. – Uważam że całkiem niezłe mi wyszły.

– Więc...

– Więc dlaczego pozwoliłem im wyginąć?

– Właśnie.

– Widzisz, niektóre rzeczy nie dzieją się dlatego, że wydają się nam słuszne lub nie. Czasami coś się dzieje tylko po to, by coś innego mogło się wydarzyć. Rozumiesz? Każdy skutek potrzebuje przyczyny. To jak ze spadnięciem jabłka na głowę i przejściem do historii nauki. Guz jest tylko skutkiem ubocznym. Albo tak jak ze zniszczeniem planety i ratowaniem całego wszechświata.

Wilkins poczuł, że serce zaczyna bić mu mocniej, a oczy wychodzą z orbit. Właśnie doznawał olśnienia.

– Zgadza się, Nabuchodonozorze Wilkinsie. – Stwórca uśmiechnął się. – Gdyby udało ci się ocalić Ziemię za jakieś... czternaście miliardów lat, najprawdopodobniej nikt nie wyruszyłby na ratunek wszechświatowi. A teraz chciałbyś, żeby ci powiedział, czy wam się uda.

– A powiesz? – Wilkins nie tracił czasu na potwierdzanie, że faktycznie chciał coś takiego powiedzieć. Miał dziwne wrażenie, że Stwórca wiedział o tym lepiej od niego samego.

– Nie.

– Dlaczego?

– Ktoś już ci kiedyś powiedział, że sprawy są dużo ciekawsze, kiedy wszechmogące siły się nie wtrącają, prawda? Ale będę za was trzymał kciuki.

Ostatnie słowa Wilkins usłyszał tak, jakby miał uszy pełne waty. Trochę kręciło mu się w głowie. Rozejrzył się dookoła.

Rzeczywistość zaczynała się rozmywać. Rzeczywistość też zanotowała ten fakt. Tyle że dla niej to Wilkins stopniowo zanikał.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem. – Głos Stwórcy, potrafiłby pewnie zburzyć niejednen mur, gdyby było trzeba, jednak teraz brzmiał, jakby dobiegał zza ściany. – Każdy skutek musi mieć swoją przyczynę. I przekaz Sinusowi Pi Czwartych, że robi świetne hot-dogi! – Stwórca puścił do niego oko. – I powiedz, żeby do sosu barbecue dodał ze trzy zębki centuriańskiego czosnku.

Wilkins chciał jeszcze zgryźliwie zapytać, czy handel hot-dogami nie jest przypadkiem ciekawszy, kiedy wszechmogące siły się nie wtrącają, ale nie zdążył.

A Bóg stwierdził, że można by stworzyć człowieka na swój obraz i podobieństwo. Więc uczynił Bóg człowieka: mężczyznę i niewiastę. A mężczyzna, choć podobny do swego Stwórcy, z twarzy przypominał jednego ze swych potomków, który zresztą ani trochę nie wierzył w całą tę historię, ale ostatnio zaczął tracić pewność.

Stwórca spojrział na mężczyznę i pomyślał o swoim niedawnym gościu.

– Mogą być kłopoty – mruknął pod nosem. – A, będzie co ma być.

Zostawił ludzi na młodziutkiej planecie w mniej interesującej części nowego wszechświata i zabrał się za ciekawsze formy życia. Miał jeszcze całkiem sporo pomysłów.

ROZDZIAŁ 16

Sinus i Xijn znajdowali się na końcu wszechświata przynajmniej w trzech znaczeniach. Po pierwsze zostali przerwani na tak dalekie odludzie, jak to tylko możliwe, po drugie gwiazdy na niebie stopniowo gasły i wszystko wskazywało, że wszechświat właśnie ulega zakończeniu, a po trzecie...

– Co to za miejsce, Sinus? – zapytał Xijn, spoglądając na rzędy pojazdów prawdopodobnie kosmicznych, które jednak lata świetności miały bardzo dawno za sobą, jeśli w ogóle kiedykolwiek słyszały o czymś takim.

– Nie mam pojęcia. Ale tam jest jakiś szyld. – Sinus wskazał na konstrukcję, którą przy pewnym nakładzie wyobraźni można było wziąć za budynek. – „NA KOŃCU WSZECHŚWIATA. Komis statków kosmicznych – nawet nie zauważysz, że są używane” – odczytał.

– Komis statków kosmicznych? Chyba raczej muzeum motoryzacji międzygwiazdnej...

Sinus wciąż wpatrywał się w szyld.

– Hej! Ta buda należy do Niesamowicie Zbzikowanego Buxa.

– Do kogo?

– Niesamowicie Zbzikowanego Buxa. To kompletnie zwariowany gość. Twierdzi, że kiedy miał sześć lat, został porwany przez istoty z innego wymiaru, które pobrały mu wycinek mózgu. Całkiem spory, moim zdaniem. Uważa, że z tego właśnie powodu Centralny Urząd Międzygalaktyczny podsłuchuje go za pomocą tostera. Na wszelki wypadek nie przyznawaj się, że jesteś koordynatorem końca świata.

– Faktycznie zbzikowany – roześmiał się Xijn.
– Nie zbzikowany, tylko Niesamowicie Zbzikowany. On się tak nazywa.

– Jak to „tak się nazywa”?

– Normalnie. Przypuszczam, że tak się nazywał jego ojciec. Chociaż faktycznie jest dość mocno zbzikowany. Ponoć choćbyś wziął nie wiadomo ilu świrów z całego wszechświata, to Bux i tak będzie bardziej rąbnięty.

– A Nab?

– Słucham?

– No, Nab. Pomyśl, ratowanie wszechświata przed końcem wszechświata. Kompletnie wariactwo! I jeszcze nas tym zaraził.

– Hm... Cholera. Coś w tym może być. Ale jego ojciec nie nazywał się chyba „Niesamowicie Zbzikowany”.

Xijn dał za wygraną. Faradaksjańskie zwyczaje nie widziały nic nadzwyczajnego w nazywaniu dzieci funkcjami trygonometrycznymi, więc lepiej nie doszukiwać się w nich śladów rozsądku. Dla własnego bezpieczeństwa.

Nagle drzwi budynku otworzyły się z hukiem. Na zewnątrz wypadło pstrokate indywiduum. Bardzo dosłownie wypadło, ponieważ zaplątało się w szlafrok i zahaczając jeszcze stopą o próg, runęło na ziemię. Runęło jednak tak, jakby każda część upadała osobno.

– To on – szepnął Sinus.

Xijn bez większego zaskoczenia zauważył, że Bux ma cztery ręce. Jednak nawet one nie wystarczyły do utrzymania całego naręcza skarbów takich jak spory plik starych papierzyk, nieco przypalony toster oraz kubek, który przed chwilą był jeszcze kubkiem z kawą, a teraz w najlepszym wypadku kubkiem po kawie.

Bux podniósł się na kolana. Wcisnął z powrotem na nos okulary, które z pewnością działałyby lepiej, gdyby nie miały wmontowanych na stałe żaluzji. Xijn stwierdził, że Bux wyglądał tak, że dowolnie wybrany sprzedawca ze sklepu odzieżowego dostałby zawału serca na jego widok. Miał na sobie jaskrawoczerwone szorty w jaskrawozielone zygzyki, wytartą koszulkę

z ręcznie nadrukowanym napisem „Nie ufaj swojemu tosterowi. Sprawdź, może i ciebie podsłuchuje Centralny Urząd Międzygalaktyczny” oraz klapki. Warto odnotować, że oba lewe. Z pewnych nie do końca znanych, lecz z pewnością nie stylistycznych powodów, na szyi nosił prawie zawiązany krawat. Zielony. I był to jeden z tych odcieni zieleni, który zdecydowanie nie powinien mieć nic wspólnego z krawatami. Na to wszystko narzucony był szlafrok w kolorze zjedzonego, wstępnie przetrąconego i zwymiotowanego brązu.

Fryzurze Buxa należałoby właściwie poświęcić całą książkę, ale że ta powoli zbliża się do końca i pierwszy raz wspomina o tym kuriozum porastającym głowę Buxa, ograniczmy się więc do stwierdzenia, że ze wszystkich obserwowalnych kolorów nie zawierała tylko czerni, a fryzjera nie oglądała zapewne od bardzo, bardzo dawna.

– Bux! – krzyknął Sinus. Bux, który ledwo co pozbiarał się z ziemi, znowu upuścił cały swój podręczny majątek. – Jeszcze nie wywaliłeś tego tostera? Nie podsłuchują cię już?

– 0,74! – zawołał Bux, poprawiając okulary. Choć nigdy nie udało się tego potwierdzić oficjalnie, był wynalazcą irytujących zdrobnień imion. Jego awangardowa technika polegała na zostawieniu tego, co mu się podobało i całkowitym pominięciu reszty. Tak jak z ludźmi, którzy zostawiają na talerzu skórkę chleba. – To nowy toster. A poza tym mam sposób na tych drani. – Pomachał plikiem kartek, które kiedyś prawdopodobnie były magazynem popularno-naukowym, choć zdecydowanie bardziej popularnym niż naukowym. – Dwa razy dziennie czytam prosto do tosteru kilka losowych akapitów.

– A nie usłyszą tego, co mi powiedziałeś?

– E, nie. – Bux roześmiał się szyderczo. – Zabezpieczyłem toster. Skarpetkami – dodał konspiracyjnie ściszoneg głosem. – Zresztą i tak niedługo koniec wszechświata, więc nie zdążą mi nic zrobić. A właśnie, cholera, koniec wszechświata! Sinus, nie obraż się, ale muszę lecieć. Nie chcę się spóźnić. Droc trzyma dla mnie miejsce.

– Droc? Droc Drocnoć?

– Ten sam. – W tym miejscu warto zauważyć, że Droc Droc noc był prawdziwą zmorą dla Buxa i jego pasji do skracania imion. Bez względu na to, ile kombinował, zawsze wychodziło „Droc”.

– To on jeszcze żyje? Ostatnio, jak go widziałem, zonglował na Siriusie Pięć piłami plazmowymi. Dziesięcioma. Ludzie zatrzymywali się koło niego tylko po to, żeby zakładać się, kiedy obetnie sobie głowę. Sam obstawiłem, że przeżyje góra dwie i pół minuty, ale zaraz dostałem pilne wezwanie na mecz stratobaseballa w Andromedzie i w końcu nie dowiedziałem się, jak wyszło.

– Żyje. Mam nadzieję. Bo jak znowu się w coś wpakował i nie zajął mi miejsca, to go zabiję – mruknął Bux, usiłując jednocześnie utrzymać wszystkie swoje skarby i zamknąć drzwi.

– Po co zamykasz drzwi? Przecież wszechświat się kończy. Poza tym, kto by okradał taką budę?

– To na agentów. Wiesz, z Urzędu. Na pewno przyjdą, żeby przetrząsnąć mi całe biuro, jak tylko odleczę.

Sinus posłał Xijnowi wymowne spojrzenie i zakręcił palcem sugestywnego młynka przy prawej skroni.

– I myślisz, że taki zamek ich powstrzyma?

– Może i nie. Ale nie zamierzam zostawiać im otwartych drzwi. To tak, jakbym zapraszał ich do środka. Nie ma tak łatwo. Może jeden z tych drani przynajmniej zwichnie sobie kostkę, jak będzie wyważał je kopniakiem.

– Słuchaj, Bux. Nie pożyczylbyś nam jednego statku? Mamy pewną sprawę do załatwienia i chcielibyśmy zdążyć zanim wszechświat się skończy.

– Hm. Potrzymaj. – Bux wepchnął Sinusowi toster, plik papierów oraz kubek, który miał spore szanse, żeby zostać szczątkami kubka, i wcisnął ręce do kieszeni. Przetrzęsanie kieszeni jest może i łatwiejsze, gdy można do tego używać czterech kończyn, ale tylko przy założeniu, że ma się do dyspozycji odpowiednie zasoby koordynacji motorycznej. Bux swoją zostawił chyba w domu, ale w końcu udało mu się wydobyć z wewnętrznej kieszeni szlafroka komplet kluczy z wielkim czerwonym pomponem pełniącym funkcję breloczka.

– Trzymaj. – Wręczył klucze Sinusowi. – To będzie, hm... chyba tamten. Nie jest może najnowszy i ma kilka milionów lat świetlnych na liczniku. No i ubezpieczenie wygaśło z dwieście lat temu, ale jest wyposażony w układ chrononautyczny. I całkiem możliwe, że działa. Musicie jeszcze to podpisać.

– Co to jest? – zapytał Xijn, dla którego wszystko, co trzeba było podpisywać, stanowiło element środowiska naturalnego.

– A, takie tam oświadczenie, że nie będziecie domagać się zadośćuczynienia w przypadku wystąpienia wypadków losowych.

– Jakich wypadków losowych?

– No... Na przykład poniesienia śmierci lub trwałego kalectwa przy próbie uruchomienia silników. Ale nie przejmujcie się, to tylko formalność. Prawdopodobnie. Dobra, chłopaki. Miło było, ale naprawdę muszę już lecieć. Koniec wszechświata nie będzie na mnie czekał. – Bux odebrał od Sinusa swoje bezcenne ruchomości. – Mam nadzieję, że przeżyjecie – rzucił na pożegnanie i pognął na drugą stronę parkingu, gubiąc po drodze kartkę z artykułem o superinteligentnym, telepatycznym funcie sera pleśniowego z Małego Obłoku Magellana.

– Bux ma lekkiego fioła na punkcie końca wszechświata – wyznał Sinus.

– Co ty powiesz?

– Jest przekonany, że wszechświat jest wielkim hamburgerem i na końcu zostanie zjedzony przez ogromnego, międzywymiarowego jamnika.

– Cocker spaniela – krzyknął z oddali Bux.

– O właśnie. – Sinus obniżył głos. – I z jakichś powodów fascynuje go ta wizja.

– Skąd go znasz?

– Chodziliśmy razem do szkoły.

– Mogłem się domyślić – powiedział Xijn. – Chyba już gdzieś widziałem tę kupę złomu – stwierdził, gdy obejrzał bliżej statek, który wypożyczycyli, zastawiając swoje życie, a przynajmniej zdrowie.

– Statek jak statek. – Sinus wzruszył górnymi ramionami.

– No, nie wiem – mruknął, gdy Sinus zniknął we wnętrzu. – Mam przeczucie.

– Złe?

– Hm... Czy ja wiem? Chyba nie. Po prostu przeczucie.

– No to wsiadaj. I tak nie masz innego wyjścia. Hej! To coś rzeczywiście ma układ chrononautyczny.

Xijn nic nie odpowiedział, ale już podróżowanie przez przestrzeń w tym złomie wydawało się igraniem ze śmiercią, a co dopiero skakanie po czasie. To nie mogło przynieść niczego dobrego.

– Bux by się nieźle wkurzył, jakby się dowiedział, do czego potrzebujemy tego statku – zachichotał Sinus.

– Ja też cały czas uważam, że to nielegalne...

– Pomyśl, że robimy to dla Naba. Sporo ostatnio przeszedł. Należy mu się chyba coś od życia. No i jest jeszcze ten Wojna. Mieliliśmy zrobić mu na złość.

Sinus przekręcił klucz, czerwony pompon zatańczył na łańcuszku, a w trzewiach statku coś trzasnęło i całe wnętrze wypełniło się żółtym, gryzącym dymem.

– Chyba coś nam przecieka – wykaszał Xijn.

– Całkiem możliwe, że wszystko.

Sinus po omacku znalazł jakąś dźwignię. Pociągnął za nią, licząc na to, że odpowiada za coś wspólnego z silnikami, podwoziem i ogólnie pojętym startowaniem. Statek najpierw zabulgotał, potem zaskwierczał, w końcu huknął i znikł. Można tylko mieć nadzieję, że pojawi się gdzieś... Albo kiedyś. Najlepiej gdzieś i kiedyś jednocześnie, ale nie będziemy się upierać.

Kiedy chmura żółtego, gryzącego dymu rozwiała się, na opustoszałym parkingu komisu statków kosmicznych „Na końcu wszechświata” wylądował niewielki, nierzucający się specjalnie w oczy pojazd. Wysiadło z niego dwóch jegomości w czarnych garniturach i ciemnych okularach. Jedyńy szczegół, którym

mogli wyróżniać się w tłumie facetów w czarnych garniturach i ciemnych okularach to duży żółty napis „Centralny Urząd Międzygalaktyczny – oddział do zadań specjalnych” umieszczony na plecach.

– Zamknięte – powiedział pierwszy z nich, szarpiąc za klamkę biura Niesamowicie Zbikowanego Buxa.

– To co, wyważamy?

– Nie będziemy przecież czekać, aż wróci. Wyważamy.

ROZDZIAŁ 17

Przeprowadzenie operacji KONIEC WSZECHŚWIATA przed czasem uniemożliwia program WIELKI JAM TEMBOK. Do końca wszechświata pozostało 0000000000000015h 44m 59s. Proszę czekać.

Taki napis widniał na wielkim ekranie w centrum sterowania wszechświatem. Przed tym samym ekranem Wojna, jeden z Jeźdźców Apokalipsy, właśnie syczał z bólu. Na metalowej i bardzo twardej obudowie tuż obok niego znajdowało się spore wgniecenie w kształcie pięści.

Tak się akurat złożyło, że przez ułamek sekundy ten sam napis zobaczył zawieszony gdzieś w probabilistycznej nicości Nab Wilkins. Teoretycznie powinny go zobaczyć wszystkie istoty we wszechświecie, tyle że wszyscy – poza Wojną, Wilkinsem oraz Sinusem i Xijnem, którzy obecnie przebywali nie wiadomo gdzie, kiedy i czy w ogóle – ulegli tymczasowemu zawieszeniu razem z całą resztą.

Wracając do Wilkinsa, bo to ponoć on ma być głównym bohaterem opowieści, wisiał on sobie beztrąsko w czerni i wysłuchiwał ciepłego, kobiecego głosu, który zapewniał go, że rzeczywistość właśnie odzyskuje sprawność po błędzie systemowym i już niedługo zostanie przełączony do najbliższej działającej galaktyki.

– Dziękujemy za korzystanie z usług naszego wszechświata – powiedziała na koniec konsultantka. – Aby umilić państwu czas oczekiwania, proponujemy trochę muzyki – dodała, po czym rozłączyła się.

– *Hello*. – Z czerni dobiegł łagodny męski wokal.

– *Hello, hello* – powtórzyło echo. Wilkinsowi serce podskoczyło do gardła.

– *Is there anybody in there* – kontynuował wokalista, a Nab poczuł, jak lzy wzruszenia napływają mu do oczu.

Nie było mu jednak dane nacieszyć się dłużej najwspanialszymi dźwiękami, jakie kiedykolwiek spłodził człowiek. Największe osiągnięcie ziemskiej muzyki nie zdążyło dotrzeć do refrenu, nie wspominając nawet o którejkolwiek z solówek, gdy całą akustyczną przestrzeń wypełnił szum. To wszechświat wracał do rzeczywistości. Ktoś, kto uważa, że przestrzeń kosmiczna jest cichym miejscem, powinien sobie chyba wymienić baterie w aparacie słuchowym.

– Nienienienienienienie! – krzyczał Wilkins, który właśnie doszedł do wniosku, że bardzo chętnie zostałby w tym miejscu do końca życia, lecz i jego głos zniknął w stochastycznym szumie narastającej entropii, a otaczająca go czerń rozmyła się w... no, w czerń. Ale to była zupełnie inna czerń. Bardziej znajoma i w ogóle bardziej istniejąca.

– Sinus, gdzie my jesteśmy? – wykrztusił Xijn. Znowu czuł w płucach duszący, żółty opar. Może nie było to specjalnie przyjemne uczucie, ale przynajmniej pozwalało przypuszczać, że powrócili do rzeczywistości. Pytanie tylko – do jakiej.

– Hm – mruknął Sinus, mrużąc oczy. – Istnieje spora szansa, że we wszechświecie.

– Naszym?

– Trudno powiedzieć. Ale jeśli tak, to chyba cofnęliśmy się w czasie.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale jak startowaliśmy, to wszechświat tak jakby trochę się kończył. Skoro więc jeszcze żyjemy...

– Ach, no tak.

Nagle w tylnej części kokpitu rozległ się dźwięk. Nie brzmiał tak, jak mógłby brzmieć jakikolwiek dźwięk wydawany przez statek kosmiczny. Miał raczej organiczne pochodzenie. I to było jeszcze gorsze. Kiedy jest się zamkniętym w metaforycznej puszcze unoszącej się w niemetaforycznie nieskończonej próżni, a za plecami rozlega się dźwięk o pochodzeniu organicznym, podejrzenia są zawsze takie same i dążą w kierunku skomplikowanego mechanizmu żuwaczko-szczękowego połączonego z pradawnym instynktem nakazującym mordowanie wszystkiego, co można zamordować. Sinus odwrócił się powoli, szykując się na powolną i bolesną śmierć. Xijn niechętnie poszedł w jego ślady. Gdy dym przerzedł na tyle, że dało się w nim cokolwiek zobaczyć, odetchnęli z ulgą.

Wilkins zakaszał raz jeszcze i usiadł na podłodze. Nowa czerń, w której znalazł się nie tak dawno temu, okazała się wewnętrzną stroną jego własnych powiek. Po otwarciu oczu zastąpiła ją biała, dławiąca żółć. Czerń była lepsza. Przypominała o piosence, którą usłyszał w nicości. No i nie drapała w gardło.

– Nab! – wykrzyknął Sinus głosem brzmiącym jak odgłos wielkiego kamienia spadającego z serca. – Myśleliśmy...

– Że nie żyję. Wiem. Przyzwyczailem się. Wy też już chyba powinniście.

– No tak. Ale powiedz, Nab, gdzie byłeś, jak wszechświata nie było?

– Możliwe, że leżałem nieprzytomny w jakimś hiperprzestrzennym rynsztoku. – Wilkins zaśmiał się nerwowo.

– My byliśmy na końcu wszechświata, więc myślałem, że może ty...

– Więc to mógł nie być sen... – Wilkins wyraźnie spoważniał, choć ta powaga wciąż nosiła pewne znamiona nerwowości.

– Jaki sen? – wtrącił się Xijn.

– Że byłem na początku wszechświata. I rozmawiałem z Nim.

– Z kim?

– No, z Nim. Z N i m . – Wilkins usiłował wymówić wielkie litery w odpowiednich miejscach.

– Z Nim. To znaczy, że rozmawiałeś ze Stwórcą? Jaki On jest?

- Tak jednym zdaniem? To chyba irytujący.
- Co ci powiedział?
- Hm... Kazał przekazać Sinusowi, że robi niezłe hot-dogi i radził, żeby do sosu barbecue dodać trzy ząbki centu-jakiegoś-tam czosnku.
- Czosnek centuriański! No jasne! – wykrzyknął Sinus.
- I to wszystko? Gadaliście tylko o wątpliwej jakości gastronomii? – zainteresował się Xijn.
- Sam jesteś wątpliwej jakości! – odburknął Sinus. – Słyszałeś, moje hot-dogi są niezłe.
- No... – wybąkał Wilkins. – Mówił coś jeszcze. Coś bardzo ważnego. I miałem tego nie zapomnieć...
- I co to było? – nalegał Xijn.
- No właśnie zapomniałem.
- Nic nie pamiętasz?
- Coś tam pamiętam. Ale to była dziwaczna rozmowa. Tak jakbyście rozmawiali z dziesięcioma Pike'ami jednocześnie. I to w jednej osobie. Chodziło chyba o jakieś skutki?
- Oplakane? – odpowiedział Sinus.
- Nie. Chyba takie bardziej ogólne.
- Może chodziło o to, żebyśmy się zastanowili nad skutkami naszego postępowania? – Sinus próbował dalej, lecz wcale nie pomagał.
- Były też przyczyny. Coś w stylu, że każdy skutek musi mieć swoje przyczyny...
- Co? Może, każda przyczyna niesie ze sobą skutki.
- Nie, nie. Jestem pewien, że skutek był na początku.
- Skutek nie może być na początku. Dlatego jest skutkiem. Jakby miał być na początku, to byłby przyczyną.
- Mówiłem, że jest irytujący. – Wilkins wzruszył ramionami. – A żebyście widzieli jego notatnik na pomysły.
- Co z nim nie tak? – zainteresował się Sinus.
- Biegały po nim dinozaury.
- Każdy skutek musi mieć swoje przyczyny... – mruknął Xijn. – Co to może znaczyć?

W międzyczasie dym zdążył się rozwiać. Nieszczęselność statków kosmicznych ma jednak swoje zalety. Wilkins rozejrzał się po wnętrzu. I nagle serce zabiło mu mocniej, choć już było trochę tym zmęczone. Jego właściciel nie był człowiekiem, któremu dalekie podróże wychodziły na dobre. Zbyt łatwo dawał się przyprawić o wytrzeszcz oczu, przyspieszenie tętna, suchość w gardle i tym podobne reakcje fizjologiczne.

Xijn w zadumie spojrział w okno.

– Sinus, nie powinniśmy chyba przelatywać tak blisko tej planety... – zauważył mimochodem, bacznie obserwując kłębiące się niedaleko pod nimi cumulusy. – Pole grawitacyjne nas nie ściągnie?

– Powiedz to statkowi. Ster przestał działać jakiś kwadrans temu. Zresztą, jaka planeta chciałaby przyciągać taki szmeleniec?

Wilkins przeniósł wytrzeszczony wzrok w okno i coś w nim drgnęło. To znaczy coś, co jakimś cudem nie drgało już wcześniej w napompowanym adrenaliną ciele. Rzucił się naprzód, wyrwał Sinusowi ster z rąk i skręcił ostro w stronę planety.

– Nab! Zwariowałeś? – krzyknął wczepiony w oparcie fotela Xijn.

– Może mu się coś przepaliło w mózgu. Za dużo balansowania na krawędzi śmierci.

– Nie rozumiecie? – Wilkins zaniósł się szaleńczym śmiechem. – Nie poznajecie tego statku? Ani tej planety?

Miny Sinusa i Xijna wciąż wyrażały jedynie zaniepokojenie jego stanem psychicznym.

Wilkins uświadomił sobie, że po raz pierwszy od kilku dni znalazł się po tej drugiej, upragnionej stronie zrozumienia. Przez mgiełkę adrenalinowego oszołomienia, zasnuwającą jego umysł, przebiła się mściwa satysfakcja, że w końcu to ci dwaj wychodzili przy nim na głupków.

– Nab – Sinus przyjął taki ton, jakby mówił „proszę odłożyć detonator, wszystko na pewno jakoś się ułoży” – ale zdajesz sobie sprawę, że zamierzasz nas rozbić o powierzchnię tej planety?

– Tak – stwierdził Wilkins. Taka odpowiedź nie pozostawiała pola do dyskusji. Istnieje pewna grupa psychopatów, których

po prostu nie da się przekonać, żeby nie mordowali jednak wszystkich dookoła.

Xijn chciał coś dodać, ale jedno spojrzenie na Wilkinsa wystarczyło, by uświadomił sobie, że nie ma sensu. Nab wyglądał jak tytan... No, może nie dosłownie jak tytan, ale na pewno był bardzo zdeterminowany. Gorączkowo czegoś wypatrywał.

Statek zaczął dygotać. Gęste warstwy atmosfery zmieniały go powoli w kulę ognia. Xijn poluzował krawat, co nieczęsto mu się zdarzało. Przeciążenie stopniowo zaczynało przekraczać granice wytrzymałości. Pomiedzy czarnymi plamami koordynator zobaczył jeszcze, jak Wilkins ostro szarpie ster, a potem stracił przytomność.

Xijn wirował sobie leniwie w odmętach zapomnienia własnego umysłu, przeżywając dawno utracone skrawki wspomnień, gdy do jego podświadomości z siłą młota pneumatycznego przebiło się łomotanie. Wynurzył się z miękkiej, przyjemnie pachnącej otchłani nieświadomości i otworzył oczy. Dygotanie statku ustało, temperatura otoczenia wyraźnie opadła, a doskonale znajomy ryk, towarzyszący zbyt gwałtownemu podchodzeniu do lądowania, przepadł bez śladu, pozostawiając po sobie irytującą dzwoniącą. No i donośne łomotanie. To Wilkins zapamiętał kopnął w drzwi, które najwyraźniej zostały zaspawane podczas przedzierania się przez atmosferę.

Być może kopanie w zaspawane drzwi nie wydaje się zbyt inteligentnym pomysłem, jednak Nab był w takim stanie, że nawet jakby spróbował manewru z głową i murem, to trudno byłoby jednoznacznie wskazać zwycięską stronę konfrontacji. Każdy spawacz, widząc tę scenę, zapewne przygryzłby wargę, próbując powstrzymać łzy.

W końcu drzwi z pełnym wyrzutem zgrzytem puściły. Wnętrze statku zalało jasne światło. Wilkins bez zastanowienia wyskoczył na zewnątrz. Nie było to do niego podobne, ale wyglądał, jakby

doskonale wiedział co robi. Xijn podniósł się z podłogi, uświadamiając sobie po drodze, że to już nie ten sam Wilkins, który do tej pory z przerażeniem obserwował każdą nadchodzącą minutę.

Pomógł wstać Sinusowi i razem wygramolili się na zewnątrz. Nab stał nieopodal i rozglądał się gorączkowo. Xijn zaczynał podejrzewać, że być może jakiś kosmiczny pasożyt postanowił przejąć mózg Wilkinsa. Po wszechświecie pałęta się w końcu cała masa różnych paskudztw. Niektóre są bardzo zdesperowane i gotowe rzucić się nawet na znerwicowany organizm jednego z ostatnich Ziemiaków.

Xijn rozważał właśnie, czy nie powinni może zatłuc Wilkinsa dla jego własnego dobra, gdy Sinus zawołał:

– Hej! Wygląda na to, że na kimś wylądowaliśmy. Znowu.

– Co?

– No, spod statku wystają czyjeś nogi.

– Czarne i włochate? – Wilkins odwrócił się.

Więc to tak wygląda uśmiech gościa, który wie więcej od ciebie – pomyślał Xijn.

– Tak. Skąd...? O, cholera! – wykrzyknął Sinus.

– Czego się...? – obruszył się Xijn, lecz urwał i po chwili oszołomienia zmienił pierwotne zakończenie na: – O, cholera! – W jego głowie właśnie eksplodowała supernowa olśnienia. Lądowisko istotnie przypominało trochę pole bitwy. Wielkiej, starożytnej i zapewne historycznej bitwy pomiędzy dwoma plemionami nie do końca uczłowieczonych stworzeń.

Xijn był tak zajęty podziwianiem tego, jak chaotyczne odpryski historii nagle ułożyły się w kolorową mandalę determinizmu czasoprzestrzennego, że nawet nie zauważył, gdy z zarośli wyłoniło się cudownie zwycięskie plemię z pochyłymi przezornie włócznie. Sinus tymczasem zabawiał się jak przygłupie dziecko, podnosząc i upuszczając wystające spod statku, bezwładne kończyny.

– Ha! – zawołał Wilkins.

– To teraz pozostało nam tylko przekonać ich, że jesteśmy bóstwami – powiedział Xijn, stając koło niego. – I to takimi,

które zstąpiły z nieba, by wybawić ich od śmiertelnego wroga. I że powinni przechować nam ten statek przez następnych kilkaset lat.

– A, no tak. – Wilkins jako ateista nie czuł się zbyt dobrze z tym, że oszukuje bandę dzikusów, udając istotę boską. Trochę było mu głupio podszywać się pod kogoś, kogo niedawno spotkał osobiście i w kogo zawzięcie nie wierzył. Ale tylko trochę, w końcu robił to w słusznej sprawie. – No to do roboty.

– Zaczekaj.

– Co znowu?

– Zdajesz sobie sprawę, że musimy być bardzo ostrożni?

– Hm?

– Rozumiesz, przyczynie jest generalnie obojętne, jakie będzie miała skutki, ale określony skutek ma zawsze konkretny i jasno sprecyzowany zestaw przyczyn.

– Dobrze się czujesz?

– Ech. Chodzi o to, że musimy zrobić wszystko dokładnie tak, żeby w przyszłości wydarzyło się to, co pamiętamy, że się wydarzyło. W przeciwnym wypadku na przykład powłoka rzeczywistości mogłaby zostać rozerwana. A to jeszcze gorsze niż koniec wszechświata.

Wilkins powoli zaczynał przyswajać powagę sytuacji – zabawne, bo do tej pory wydawało mu się, że to pozostali jej nie dostrzegają.

W międzyczasie grupka tubylców zdecydowała się zbliżyć na bezpieczną odległość rzutu oszczepem. Przed szereg nieśmiało wysunął się jeden osobnik. Nazywał się Ugugubub, choć to nie było do końca prawdziwe imię. Tutejsze społeczeństwo było jeszcze zbyt prymitywne, by wykształcić coś takiego jak indywidualne imiona. Określenie „Ugugubub” najłatwiej byłoby przetłumaczyć jako „słuchać mnie, bo najlepiej rzucać dzida” i w dużym przybliżeniu można przyjąć je za miano wodza.

Ugugubub nigdy wcześniej nie zastanawiał się, kim jest, skąd przybył i dokąd zmierza. Jednak teraz, gdy w samym środku wielkiej bitwy z plemieniem Czarnych Stóp, całe wrogie plemię zostało wbite w ziemię przez ognistą skałę z nieba,

nagle narodziły się w jego głowie instynkty teologiczne. Umocniły się tylko, gdy z wnętrza skały wyszły trzy istoty. Pewien wewnętrzny głos nakazywał mu paść na twarz. Ugugubub nigdy nie słyszał o archetypach, więc musiał poważnie przemyśleć tę propozycję.

Tymczasem Sinus porzucił badanie niewątpliwie martwych członków i dołączył do towarzyszy.

– Ale mają głupie miny – stwierdził, patrząc na gromadę neandertalczyków. – Chyba nigdy nie widzieli statku kosmicznego...

– Staa'kuh? – spróbował powtórzyć Ugugubub.

– Sinus... – westchnął Xijn.

– Co?

– Kiedy oni mieli niby zobaczyć statek kosmiczny? To są odlegli przodkowie tych gości, u których byliśmy, zanim rzeczywistość szlag trafił.

– Naprawdę?

Wilkins pozostawił Xijnowi wtajemniczenie Sinusa w tajniki sytuacji, w której się znaleźli. Trochę go już poznał i z dużą dozą pewności potrafił ocenić, kiedy należy słuchać sprzedawcy hot-dogów, a kiedy, dla własnego bezpieczeństwa, lepiej traktować go jak powietrze – albo jak Bertleigha.

Przyglądał się Ugugububowi. Od razu go rozpoznał. No, może nie rozpoznał, ale domyślił się, kim jest. I trochę niepewnie się czuł, patrząc w oczy kogoś, kogo ostatnio widział jako zmurszałą kupkę kości (oraz nieco znoszoną czaszkę).

– Sinus – powiedział, nie odrywając badawczego spojrzenia od dzikusa.

Sprzedawca hot-dogów akurat przedstawiał Xijnowi kontrargument, porównując czas do gumowej kaczki, Xijn zaś próbował wtrącić, że przecież poznali Czas i wcale nie przypominał kaczki, ani gumowej, ani żadnej innej, jednak obaj momentalnie zamilkli.

– Masz może jeszcze jednego dolara? – Wilkins mówił tonem detektywa domagającego się lateksowej rękawiczki, która ma mu pomóc odnaleźć kluczowy dowód w sprawie. Ewentualnie

tonem nauczyciela, który namierzył w końcu ucznia bez pracy domowej i właśnie prosi go o zeszyt. Taki ton zawsze przesuwana dalszy plan wszystkie spory.

– Hm... – Sinus zaczął przetrząsać kieszenie, wyrzucając na ziemię coraz więcej szpargałów, wśród których, oprócz podręcznego zestawu gastronomicznego, znalazło się pół grzebienia, ćwiartka cegły oraz kulisty, niezidentyfikowany przedmiot, który po uderzeniu o podłoże, eksplodował oślepiającym światłem.

– Sinus! – krzyknął Wilkins, przyciskając dłonie do oczu. Gdy tylko odzyskał wzrok, zobaczył wyszczerzoną głupkowato twarz sprzedawcy hot-dogów.

– Wybaczcie. Zapomniałem o tym granacie fotonowym.

– Po co ci w ogóle takie rzeczy?

– Na wszelki wypadek. – Twarz Sinusa uśmiechnęła się jeszcze szerzej i jeszcze głupiej.

Dla Ugugububa i reszty tubylców granat fotonowy okazał się decydującym argumentem w wewnętrznym sporze światopoglądowym. Wszyscy, jak jeden mąż, padli na twarze.

– Ale znalazłem jeszcze jednego dolara. To chyba ostatni.

Udobruchany nieco Wilkins wziął od Sinusa banknot. Wciąż miał wrażenie, że George Washington ma do niego jakieś pretensje.

Już miał przekazać podobiznę prezydenta o równowartości butelki piwa przywódcy tubylców, gdy nagle zeszywniał, obrócił się na pięcie i ruszył biegiem w stronę statku.

– Nab! – krzyknął za nim Xijn. – Oszalałeś?

Wilkins nie odpowiedział. Zniknął we wnętrzu statku. Nie wiedział, gdzie powinien szukać tego, czego potrzebował, ale wiedział na pewno, że to znajdzie. Musiał. Tego wymagały skutki. Po chwili pełnej przekleństw i odgłosów przetrząsania pojawił się z powrotem za zewnątrz. W rękach niósł przezroczysty, plastikowy pojemnik.

– Coś ty znowu wymyślił?

– Sam mówiłeś, że wszystko musi być dokładnie tak samo, bo inaczej rzeczywistość coś tam...

– Powłoka rzeczywistości pęknie na dwoje.

– No właśnie. A myślisz, że oni sami z siebie wymyślą plastik do naszego następnego przybycia?

Wilkins musiał się sporo namordować, by wcisnąć wodzowi tubylców pudełko z dolarem w środku. W końcu dziki przyjął wspaniały dar i cała banda wycofała się w zarośla, rzucając od czasu do czasu badawcze spojrzenia na przyszłe bóstwa. Musieli to wszystko dobrze przemyśleć, zanim dojdą do odpowiednich wniosków, a przynajmniej do tych wniosków, o które chodziło Nabowi.

– I co teraz? – zapytał Sinus, gdy zostali sami.

Wilkins uświadomił sobie, że oczy towarzyszy zwrócone są na niego. Co więcej, czegoś oczekiwały. Jakiegoś pomysłu, czegokolwiek...

– Hm... Myślę, że teraz będziemy czekać. Spędzimy całe życie, wpatrując się w niebo i oczekując nie wiadomo czego, aż w końcu poumieramy ze starości. – Nab uznał, że skoro przyszła jego kolej na bycie grupowym przemądrzalcem, to jemu należy się również prawo do wyrażania sarkastycznych opinii. Jednak sarkazm nigdy nie był jego najmocniejszą stroną.

– Nawet nie zobaczymy końca wszechświata... – Xij z zrezygnowaniem usiadł na ziemi.

Nab zapatrzył się w dal. Wtedy jego wzrok natknął się na przysadzistą sylwetkę piramidy. Śmieszna sprawa, ale w nocy za jakieś kilkaset lat, w czerwonym poblasku pochodni będzie wyglądała bardziej imponująco. Jednakże...

– Piramida! – Wilkins zerwał się na równe nogi. – No przecież! Zapomnieliśmy o... – Urwał. Zamyślił się przez chwilę, spoglądając jeszcze raz na widniejącą w oddali budowlę. – Zaraz! Skąd ona się tu wzięła?

– Hm? – mruknął Xij.

– No, piramida. Myślałem, że to będzie jak z tym plastikowym pudełkiem, że będziemy im musieli przynajmniej pokazać, jak ją zbudować, a ona już tu jest.

– Myślę, że to sprawka X'Vorgan – powiedział spokojnie Sinus.

– X’Vorgan? – Wilkins zastanowił się, czy na pewno mówią o tych samych odrażających potworach, które nienawidzą wszystkiego, a jego i Sinusa zwłaszcza. – Chcesz powiedzieć, że X’Vorganie uczą prymitywne ludy budowy piramid?

– Nie, rzucają nimi w nie. Rozgniatanie mniej rozwiniętych istot tonami głazów to jedna z niewielu przyjemności w ich życiu. Zresztą robią to głównie ich dzieciaki. Takie młodzieńcze wybryki.

Wilkins pomyślał o swoich młodzieńczych wybrykach, które na ogół zawierały zbyt dużo alkoholu, niekiedy zbyt mało ubrań, a raz nawet cztery rolki taśmy klejącej, spory bakłażan i pomnik patrona szkoły, ale nigdy nie zawierały pogromów na tle etnicznym.

– Ale dlaczego piramidy?

– A dlaczego nie? Myślę, że X’Vorganom to bez różnicy. Pewnie rzucają tym, co mają akurat pod ręką. Hej! Gdzie jest Xijn?

Wilkins odwrócił się gwałtownie. Miejsce, w którym przed chwilą stał Xijn Jumgroth, teraz zawierało niepokojąco mało koordynatorów końca świata – chociaż taki stan na ogół wszystkich raczej cieszy.

Odwrócił się z powrotem, by spojrzeć ze zgrozą na Sinusa. Nic z tego. Po sprzedawcy hot-dogów również nie było śladu. Zanim jednak zdążył pomyśleć, że może warto byłoby wpaść w panikę, poczuł szarpnięcie, jakby ktoś pociągnął istotę jego egzystencji za ramię. Po chwili wszystko zniknęło, a on znów znalazł się w pustce. Tym razem, dla odmiany, delikatnie czerwonej. Gdzieś pędziła. A może to on gdzieś pędził – trudno powiedzieć bez żadnego układu odniesienia.

To zaczynało być lekko irytujące. Jak można normalnie funkcjonować we wszechświecie, który nie może się zdecydować, czy powinien istnieć, czy może lepiej nie?

ROZDZIAŁ 18

– No, nareszcie was znalazłem. – Powitał ich wesoły głos Wszechstronnego Pike’a. Wilkins, gdy już zogniskował się z powrotem w materialnym świecie, stwierdził, że wrócili do punktu wyjścia. Znowu byli w statku kosmicznym gdzieś pośrodku dzikiej planety. Spojrzał na mnicha. Coś z nim było nie tak, choć gdyby ktoś zapytał Naba, co konkretnie, ten zapewne objąłby podbródek dłonią i powiedział tylko „hm”, ale za to z bardzo długim „m”.

– Wybaczcie, ale ten drań nacisnął guzik za wcześnie – powiedział Pike. – Trochę mnie zmylił.

– Jaki drań? – zapytał Sinus.

– I jaki guzik? – dorzucił Wilkins, który od pewnego czasu miał awersję do guzików. Zwłaszcza takich, przez które coś nie wychodziło.

– Przekonacie się.

Z jednej strony dobrze było mieć starego, dobrego i uśmiechającego się tajemniczo Pike’a, ale z drugiej wciąż był lekko irytujący. Wspominając ostatnie przygody, Nab stwierdził, że to musi być cecha charakterystyczna wszystkich istot wyższych.

– Powiedźcie, coście robili tysiąc lat temu?

– A, trochę bawiliśmy się przyszłością... Choć teraz to raczej terażniejszością – powiedział Sinus.

– No, tak. Tego można było się po was spodziewać. – Mnich roześmiał się, ale odrobinę zbyt nerwowo, jak na Czas.

– Pike... – mruknął Xijn. – Co się stało z drzwiami?

– Z jakimi drzwiami?

– Tysiąc lat temu, jak wysiadaliśmy z tego statku, Nab wyważył drzwi, a teraz są na miejscu.

– Poważnie? Ja nic o tym nie wiem – zełgał Pike, choć nieudolnie. Łatwo było go przejrzeć... Nagle Wilkins uświadomił sobie, co było z nim nie tak. Był prawie pewien, że przedtem przez Pike'a nie dało się zobaczyć przedmiotów, które znajdowały się za nim.

– Pike... – Xijn wciąż nie schodził z podejrzliwego tonu. – Łzesz. Jak pies zresztą.

Całkowitym zbiegiem okoliczności pięć tysięcy lat wcześniej pewien galaktyczny akwizytor stał przed swoim statkiem i drapiąc się po głowie, rozmyślał, gdzie też mogły podziąć się drzwi. Jednak to wydarzenie nie wpłynęło znacząco na losy wszechświata, więc nie warto się głębiej nad tym zastanawiać.

– Dobra. Mnie też trochę zależy na tym wszechświecie. – Pike był wyraźnie podenerwowany. Trudno mu się zresztą dziwić. W końcu stopniowo zniknął. – Możemy już lecieć?

– Jasne. – Sinus przekręcił kluczyk tkwiący w stacyjce od tysiąca lat. Ten o dziwo wykazał się pewną wyrozumiałością i nie pękł. Silniki zakaszłały agonalnie, lecz po chwili mąk w końcu zaskoczyły.

Wnętrze statku przypominało symulator trzęsienia ziemi, ale biorąc pod uwagę, że już tysiąc lat temu nazwanie go „starym gruchotem” byłoby niemalą uprzejmością, nie było co wybrzydzać.

Obserwujący z zewnątrz całe widowisko wódz półdzikich tubylców stwierdził, że jeśli tak ma wyglądać latanie, to jego plemię zadowolony się na razie tradycyjnymi sposobami transportu, a transport powietrzny pozostawi ptakom i nieco obłąkanym bóstwom.

Statek uniósł się powoli, cały czas dygocząc geriatrycznie i strasząc, że w każdej chwili może zrezygnować z dalszej współpracy. Po chwili namyślił się w końcu i zniknął z hukiem, który wytlukłby wszystkie szyby w promieniu kilometra, gdyby w promieniu kilometra były jakiegokolwiek.

Wódz tubylców padł na twarz, gorliwie przeprasząc bóstwa za nazwanie ich nieco obłąkanymi. Bóstwa zapewne wspaniałomyślnie wybaczyłyby to bluźnierstwo, ale chwilowo miały większe problemy na głowach. Siedziały w zdezelowanej puszcze, która poruszała się z prędkością, z którą nie powinny poruszać się zdezelowane puszki i mogły tylko żywić pobożne życzenia, że cała ta kupa złomu nie rozleci się w hiperprzestrzeni.

Na całej Ziemi działały dwa komputery. Pierwszy odliczał beztrzesko ostatnie minuty wszechświata, zaś drugi zaczął właśnie szaleńczo piszczeć. Powiązany z nim miniaturowy radioteleskop akurat wykrył aktywność kosmiczną w okolicach Księżyca. Co ciekawe, komputer nie znajdował się ani na przylądku Canaveral, ani w Arecibo, ani w żadnej innej mekce pasjonatów życia pozaziemskiego. Oba urządzenia tkwiły w ogródku, który jeszcze niedawno należał do pewnego samozwańczego profesora ufologii stosowanej. Niestety, wszyscy okoliczni ufomaniacy, którzy mogliby oszaleć z radości, jakiś czas temu gdzieś wyparowali. Bardzo dosłownie zresztą. Poza tym za kilkanaście minut i tak skończy się awaryjne zasilanie.

Warto za to przyjrzeć się obiektowi, który wywołał nagłe ożywienie chałupniczego systemu wykrywania obcych.

Przede wszystkim należałoby zauważyć, że statek Wilkinsa i reszty wypadł z nadprzestrzeni w stanie mniej więcej takim, w jakim do niej wpadł, a to już było niemałe osiągnięcie. W zasadzie należałoby rozpatrywać je w kategoriach teologicznych. „Cud” byłby chyba najbardziej odpowiednim określeniem.

– Ha! – krzyknął Sinus. – Żyjemy! Jak tam? Ile czasu nam zostało?

Xijn spojrzął na Pike’a. Widoczny już tylko na krawędziach mnich odparł:

– Niewiele.

Mogli oczywiście dotrzeć na miejsce dużo szybciej, jednak koniec wszechświata zbliżał się naprawdę wielkimi, choć nieco metaforycznymi krokami, toteż rzeczywistość zaczęła miejscami się zapadać. Skutkiem tego powstawało coraz więcej kosmologicznych odpowiedników dziur w drogach. Każdy, kto słyszał kiedykolwiek o transporcie kosmicznym, może się domyślić, że pędzenie z prędkością nadświatelną przez usianą dziurami hiperprzestrzeń nie jest najlepszym pomysłem. A już na pewno, jeśli do pędzenia używa się czegoś, co aż prosi się o wielką żółtą naklejkę z napisem „Do kasacji!”.

Zresztą nawet jeśli statek i rzeczywistość byłyby w jakimś rozsądnym stanie, to i tak fundamentalne zasady działania wszechświata wymagały, by odsiecz w krytycznej sytuacji przybywała w ostatniej chwili.

– Pike – powiedział Sinus – dokąd mam lecieć?

– A niech to... – mruknął mnich, drapiąc się po tym, co jeszcze zostało mu z głowy. – Trochę się tu ostatnio zmieniło... Chyba tam, w stronę tamtej wysepki.

Statek runął w dół. Wilkins, nadludzkiem wysiłkiem przezwyciężając zamiary przeciążenia względem jego osoby, przepchnął się do okna i wyjrzał na zewnątrz. Powierzchnia Ziemi zbliżała się z ogromną prędkością. Westchnął ciężko. Rozpętdzone krajobrazy zaczynały go ostatnio nużyć.

Wilkins rozpoznał to miejsce. Tyle, że kiedy widział je ostatnio, było zielonym, urokliwym zakątkiem o nieco kapryśnej pogodzie. Teraz przypominało raczej sejsmiczno-wulkaniczne piekło. Dawało się rozpoznać właściwie tylko dzięki...

– Stonehenge?! – wykrzyknął Wilkins i zaraz rozpląszczył się na szybie. To Sinus doszedł do wniosku, że nadeszła pora na rozpoczęcie hamowania i jednocześnie nie uznał za konieczne ostrzeżenie kogokolwiek. – Chcesz powiedzieć, że to tu jest to całe centrum zarządzania wszechświatem? – zapytał Nab, kiedy już udało mu się odkleić od szyby.

– Tak – mruknął Pike.

– Niemożliwe. Byłem tu kiedyś na wycieczce szkolnej i niczego takiego nie widziałem.

– Bo jakiś głupek poustawiał tu te kamienie. Czy ten statek ma jakieś działa laserowe?

– Hm... Chyba ma – odparł Sinus. – Ale nie spodziewałbym się po nich zbyt wiele.

Dwie niepozorne wiązki światła śmignęły w stronę ziemi. W fantastyce naukowej nigdy nie należy lekceważyć niepozornych wiązek światła. Gdy chmura pyłu opadła, okazało się, że po wspaniałym okazie neolitycznej architektury nie został nawet kamień na kamieniu.

Zszokowany tak bezceremonialnym traktowaniem dziedzictwa kulturowego Wilkins dostrzegł, że owo dziedzictwo wybudowane zostało na bardzo interesującym fundamencie. Na dnie krateru pobłyskiwała gładka metalowa powierzchnia, na łączeniach nabijana nitami.

Statek osiadł na ziemi, choć może raczej należałoby powiedzieć, że wbił się w warstwę popiołu i żużlu, która ostatnio zastąpiła ziemską szatę roślinną. Nab, nie tracąc czasu – Pike'a już prawie nie było, dosłownie i w przenośni – podbiegł do drzwi i wyważył je solidnym kopnięciem. Miał już trochę doświadczenia i wiedział, jak należy się z nimi obchodzić.

– A co z nim? – Sinus wskazał na Bertleigha, który leżał beztrzesko na podłodze i nie istniał w najlepszym razie. – Bierzemy go ze sobą?

– Będzie tylko przeszkadzał. Niech sobie nie istnieje, póki jeszcze może, bo niedługo może przestać istnieć naprawdę.

Na zewnątrz nie było zbyt przyjemnie. Właściwie, jeśli się uprzeć przy naukowym postrzeganiu świata, tutejsza atmosfera ostatnio nie nadawała się do niczego poza uśmiercaniem idiotów, którzy próbowaliby w niej egzystować, jednak rzeczywistość powoli zbierała manatki i nie zawracała sobie chwilowo głowy takimi bzdurami.

Nowy krajobraz południowej Anglii wyglądał dość przygnębiająco, zwłaszcza dla kogoś, kto wciąż miał przed oczami kolorowe widokówki.

– Nab, idziemy – powiedział Xijn, ciągnąc Wilkinsa za ramię. – Wojna sam się nie powstrzyma... To znaczy wszechświat sam się nie ocali.

Nab zdążył jeszcze po drodze zauważyć konia stojącego nieopodal i kopiącego spaloną ziemię w złości, że nie ma trawy do skubania. Pewien ośrodek w jego umyśle, który chwilowo nie miał prawa głosu, z zainteresowaniem zarejestrował, że koń płonie.

Chwilę później stali na metalowej powierzchni na dnie dziury i rozglądali się za czymś, co pozwoliłoby przedostać się na drugą jej stronę. Nagle Sinus potknął się i wyłożył jak długi.

– Chyba znalazłem – jęknął, rozmasowując kolano.

Wspólnymi siłami udało im się dźwignąć metalową płytę. W otworze widać było pierwsze dwa szczeble drabinki, reszta niknęła w gęstym mroku.

– To co, schodzimy... – mruknął Wilkins, który nagle jakoś stracił cały zapał do ratowania wszechświata. – Kto pierwszy?

– To był twój pomysł. Uważam, że tobie należy się laur pierwszeństwa.

Gdy cała trójka – oraz Pike, po którym pozostał już właściwie tylko głos – dotarła na dół, okazało się, że centrum zarządzania wszechświatem ma rozmiary przeciętnego hangaru lotniczego. Nie było aż tak ciemne, jak wydawało się z zewnątrz. Świecący w oddali ekran dawał nieco światła – akurat tyle, by Wilkins mógł zauważyć, że ekipa budowlana odpowiedzialna za to miejsce uznała, że nie ma sensu zawracać sobie głowy sprzątaniami, skoro i tak zostanie ono użyte tylko raz i to na samym końcu wszechświata. Po podłodze wały się resztki styropianu, bliżej nieokreślone kawałki metalu, puste butelki, opakowania po papierosach i wszystko inne, co mieści się w kategorii odpadów budowlanych.

– I co teraz? – zapytał Wilkins.

– Musimy iść tam – powiedział głos Pike'a. A że nie było widać ani jego, ani ręki, którą wskazywał kierunek, reszta musiała się domyślić, że chodzi o świecący w dali prostokąt.

Ekran w centrum zarządzania wszechświatem był całkiem spory, co wiązało się z tym, że dal była dość odległa. W czasie,

gdy trzech bohaterów i niewyraźne wspomnienie czwartego przemierzało ciemność, wtórując sobie zduszonymi przekleństwami, na wyższym – a właściwie tak wysokim, że aż urojonym – poziomie energetycznym odbywało się ważne zebranie.

Audytorium było ciasno wypełnione gorączkowo dyskutującymi postaciami. Pośrodku, na mównicy stała naga kobieta i może byłaby to interesująca okoliczność, jednak kobieta nie była ani specjalnie urodziwa, ani młoda.

– Czy mogę prosić państwa o ciszę? – zawołała, lecz jej głos, jak zwykle, utonął w jazgocie. Kobieta chwyciła młotek i huknęła kilkukrotnie o blat. Zgromadzenie powoli umilkło.

– A zatem... – podjęła przewodnicząca.

– Przepraszam bardzo – wtrącił się jegomość w schludnym garniturze i okularach z rogowymi oprawkami. – A kto koleżankę mianował przewodniczącą, jeśli można wiedzieć?

Kobieta westchnęła ciężko.

– Przypominam, że jestem Prawdą. Zostałam stworzona jako najwyższa wartość we wszechświecie. Czy możemy przejść do rzeczy?

– Jeszcze jedno pytanie. Tak w kwestii formalnej.

Przez audytorium przebiegła fala ciężkich westchnień.

– Nie ma jeszcze Wszechstronnego Pike'a. Czy nie powinniśmy na niego poczekać?

– Nie ma czasu.

– No, właśnie o tym mówię.

– Panie Biurokracja. – Nie wytrzymała Prawda. – Obiecuję, że zażadam od Czasu usprawiedliwienia na piśmie. Czy możemy przejść do porządku obrad?

Biurokracja mruknął coś pod nosem o braku poszanowania dla młodych i ambitnych, ale posłusznie opadł na oparcie fotela i umilkł.

– Jak państwo dobrze wiedzą – kontynuowała Prawda – nadciąga koniec wszechświata, co może poważnie zaburzyć nasz rynek sił wyższych. Czy ktoś ma pomysł na rozwiązanie tego impasu?

– Może ja? – Ktoś z tylnego rzędu podniósł rękę. Prawda dobrze znała zarówno ten głos, jak i jego właściciela z jego wściekle prądkowanym surdudem i błazeńską czapką. Znali się od bardzo dawna. Zbyt dawna.

– Ktoś jeszcze? – zapytała błagalnym tonem, wiodąc wzrokiem po zgromadzonych. W pierwszym rzędzie z kwaśnymi minami siedzieli Miłość, Nienawiść i Apetyt Na Hot-Dogi. Nikt nie palił się do podjęcia wyzwania. – Ech. No, dobrze. Ale nie wysłemy pana samego...

– Ekhm – odchrząknął Sinus. – Przepraszam bardzo.

Ze stojącego przed ekranem fotela poderwał się wysoki, dobrze zbudowany gość w drogim garniturze.

– Co wy tu robicie? – warknął. – I kim w ogóle jesteście?

– Nazywam się Sinus Pi Czwartych. Jestem międzygwiazdowym sprzedawcą hot-dogów. Rozumiem, że mamy do czynienia z panem Wojną?

Gość, nie odrywając od Sinusa podejrzliwego spojrzenia, kiwnął głową.

– Fantastycznie – ucieszył się Sinus. – Mielibyśmy wobec tego do pana wielką prośbę. Czy mógłby pan nie kończyć naszego wszechświata? Bardzo by nam na tym zależało.

– Koniec wszechświata nie podlega dyskusji. – Głos Wojny przywodził na myśl setki mieczy uderzających o tarcze.

– Przepraszam bardzo – wtrącił się Xijn. – A czy ma pan jakieś pozwolenie? Rozumie pan, mamy pewne przepisy, procedury...

Wojna prychnął pogardliwie i sięgnął do kieszeni, jednak jego ręka zatrzymała się w pół drogi, gdy przypomniał sobie, że dokument w jego kieszeni jest w takim stanie, że należałoby go przechowywać w próżniowym pojemniku, a widniejący na nim podpis Wszechstronnego Pike'a był już tylko mglistym wspomnieniem.

Dłoń Jeźdźca błyskawicznie zmieniła zamiar i sięgnęła po oparty o oparcie fotela miecz. Powietrze świsnęło rozcięte

przez nieprzywoicie ostry brzeszczot. Czubek klingi zatrzymał się o milimetr przed czubkiem nosa Xijna. Koordynator wręcz wyczuwał ostrość miecza.

– To jest moje pozwolenie – oznajmił Wojna głosem brzmiącym jak tysiąc rogów wojennych.

– W-wszystko w-w porządku – wybąkał Xijn. I zemdłał.

Tymczasem Bertleigh zaczął słyszeć głosy.

Freeman... – zawodził głos. – *Freeman...*

– Wujek Curtis? Gdzie jesteś?

Nie rozglądaj się tak, durniu. Żaden wujek Curtis. Jestem w twojej głowie.

– W mojej głowie? Czyli jestem świrusem?

Nie – zełgał głos. – Jestem częścią ciebie.

– Jaką częścią?

Twoim zdrowym rozsądkiem. – Gdzieś w tle rozległa się sugestia głupkowatego chichotu.

– Tak? A dlaczego nigdy dotąd cię nie słyszałem?

Samozwańczy rozsądek chciał pominąć tę kwestię wymownym milczeniem, jednak Bertleigh należał do tego gatunku ludzi, którzy nie do końca pojmują pojęcie wymowności.

Byłem zajęty – powiedział. – *Wstawaj. Nie mamy czasu do stracenia.*

– A nic mnie to nie obchodzi. Ja nie istnieję, więc ty też nie.

Więc co ci zależy? Wstań i wyjrzyj przez okno.

Bertleigh zastanowił się przez chwilę. Właściwie na stojąco też można było nie istnieć. Podszedł do okna.

– No i co?

Wiesz, co to za planeta?

Bertleigh wrzucił tylko ramionami.

Ziemia.

– Ziemia?

Ziemia.

– Więc czemu tu jest tak ponuro? Jesteśmy w Kanadzie? – spytał podejrzliwie Bertleigh. Pochodził z Houston, najdalej na północy był w Alabamie i miał dość nikłe wyobrażenie o tym, co znajdowało się dalej, ale wiedział, że jest tam więcej niedźwiedzi niż ludzi, a słońce świeci tylko kilka dni w roku.

Można tak powiedzieć. Więc...?

– Więc... jednak istnieję?

Właśnie! – wykrzyknął głos. – *Idziemy!*

– Dokąd?

Zobaczysz.

Wilkins siedział pod metalową ścianą pomiędzy Sinusem i resztkami Pike'a. Obserwował Wojnę, którego palce krążyły niecierpliwie wokół przycisku. Dużego i czerwonego... Właściwie ten przycisk wyglądał dokładnie tak samo jak niedziałający przycisk detonatora, który kosztował Ziemię najwyższą cenę. Wilkins poczuł, jak w jego umyśle morze bezradności zaczyna burzyć się spienionymi bałwanami gniewu. Zaczynał mieć wrażenie, że wszystkie kluczowe momenty w jego życiu podporządkowane są tym piekielnym guzikom.

– Więc to jest Wojna... – mruknął, starając się zająć myśli czymś innym.

– Tak – powiedział głos Pike'a. Był coraz mniej słyszalny. Licznik na ekranie wskazywał nieco ponad minutę.

– A gdzie pozostali?

– Hm?

– Pozostali jeźdźcy. Powinno być ich czterech. Wojna, Głód, Zaraza i Śmierć.

– Ach, no tak. Widocznie uznali, że Wojna wystarczy. Chyba mieli rację...

– Na to wygląda.

Nagle do uszu Wilkinsa dobiegł odgłos kroków. Odwrócił głowę. Z mroku wyłoniła się świetlista sylwetka. Wyglądała jak jakaś istota nadprzyrodzona, choć wydawała się dziwnie znajoma.

– Oho – powiedział Pike, choć brzmiał, jakby stał pół kilometra dalej. – Zdaje się, że koniec wszechświata poruszył też inne siły rządzące rzeczywistością.

– Jakie siły? – zachnął się Wilkins. Rozpoznał zbliżającą się sylwetkę. – To przecież Bertleigh. On nie jest żadną siłą. To zwykły idiota.

– Mylisz się. Widzisz to światło wokół niego? To Głupota. Wielka moc. Wszyscy się z nią liczą.

– Hej, Wojna! – zawołał Bertleigh obcym i dość głupkowatym głosem.

Wojna zerwał się z fotela. Jedną ręką trzymał miecz wymierzony w kroczonego ku niemu Bertleigha, a drugą osłaniał oczy.

– Co to ma znaczyć? Kim do... – krzyknął, lecz nie dane mu było skończyć. Wilkins właśnie uznał, że ma dość. Poczul, jakby w członki wpływała mu jakaś dziwna energia – jakby ktoś mu wlał w żyły płynny ogień. Poderwał się z podłogi i z pomocą odpadu budowlanego po piwie obezwładnił niedoszłego pogromcę wszechświata. W oczach Wojny na moment zabłysło zaskoczenie wymieszane z rozczarowaniem. Jeździec runął na podłogę.

Licznik na ekranie właśnie skończył odliczanie. Pojawił się komunikat:

Koniec odliczania. Teraz można bezpiecznie wyłączyć
WSZECHŚWIAT v11928.4b. Naciśnij przycisk KONIEC.

– Wersja 11928.4b? – zdziwił się Wilkins.

– Cóż, to dość zużyty wszechświat – powiedział Pike, który ni z tego, ni z owego pojawił się z powrotem w pełnej rzeczywistości. – Sporo już przeszedł.

– Hm... – wtrącił Sinus. Trzymał w dłoni niewielki budzik, na którym ktoś flamastrem nabazgrał „WIELKI JAM TEMBOK”. Poczul się trochę rozczarowany. Ten cały Jam Tembok nie miał nawet ogromnego, ciężkiego wahadła, które z każdym wymachem odcinałoby cenne ostatnie chwile wszechświata. Nie wspominając nawet o tym, że powinien nazywać się

raczej „kieszonkowy” niż „wielki”. Sinus wzruszył ramionami i schował zegarek do kieszeni. Tak na wszelki wypadek.

– Możemy się stąd wynosić? – zaproponował Xijn. – Ten gość może się w każdej chwili obudzić.

– Jasne – powiedział Wilkins i delikatnie zamknął plastikową osłonkę nad przyciskiem końca wszechświata.

– Tak się zastanawiam, Nab – zagadnął Sinus, chwytając Wojnę za nogi – czy przemoc jest aby na pewno dobrym rozwiązaniem...

– Na Ziemi sprawdzała się przez kilka tysięcy lat – odpowiedział Wilkins, na spółkę z Xijnem dźwigając górną część Jeźdźca Apokalipsy.

– Ale nie skończyło się to chyba najlepiej? – Sinus głupkowato wyszczerzył zęby.

– To spójrz na zegarek. Wszechświat powinien skończyć się pięć minut temu. Czyli jednak przemoc pomogła.

– Coś w tym jest. Głupota i przemoc... – Sprzedawca hot-dogów z uznaniem pokiwał głową.

– Hej, Freeman, a co ci się w ogóle stało? – zapytał Xijn, gdy wyciągali Wojnę na powierzchnię.

Bertleigh zmarszczył brwi. Po chwili mozolnego przesuwania impulsów wzdłuż neuronów jego twarz rozjaśniła się.

– Odkryłem.

– Co takiego?

Na bertleighowe czoło powrócił mars.

– Nie pamiętam.

– Ale znowu istniejesz? – upewnił się Sinus.

– Pewnie. Jesteśmy przecież na Ziemi. Czyli nie jesteśmy już kosmitami.

– Ale wiesz, że wpadliśmy tu tylko na chwilę, a poza tym wszyscy Ziemianie są martwi?

– Nie gadaj głupot. – Bertleigh machnął ręką i roześmiał się. – Przecież ja żyję. I kapitan Wilkins też... – Rozejrzał się wokół. Mina nieco mu zrzedła. – Czyli to nie jest Kanada...

– Nie, cholera! – krzyknął Wilkins, lecz o ułamek sekundy za późno.

– No, trudno – mruknął Sinus, gdy Bertleigh zwinął się na ziemi w ciasny, żałosny kłębek nieistnienia. – Wrócimy po niego później.

Daleko w dole, nieopodal porzuconego pulpitu sterowniczego jaśniały delikatnie dwie postaci – jedna miała pstrokaty garnitur i błazeńską czapkę, druga była półnagim, naszprycowanym testosteronem osiłkiem z dzikim błyskiem w oczach. Postaci gratulowały sobie dobrze wykonanej pracy, ale ponieważ rzeczywistość wracała na swoje miejsce, postaci z wolna zaniżały i nikt nie zwrócił na nie uwagi.

No, prawie nikt.

Wszechstronny Pike uśmiechnął się tajemniczo.

ROZDZIAŁ 19

– Drzwi? – zdziwił się Wilkins. Unosili się właśnie w przestrzeni, a przed nimi znajdowały się całkiem zwyczajne, dębowe drzwi z małym okienkiem i mosiężną klamką.

– Do innego wymiaru – odpowiedział Pike.

– A jak je otworzymy?

– Przypuszczam, że najłatwiej będzie nacisnąć klamkę. To raczej sprawdzony sposób.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– Czyli że każdy może przejść do innego wymiaru? – Wilkins odepchnął pysk Inferna. Koń po kilku próbach zaczynał właśnie snuć podejrzenia, że Wilkins nie jest zrobiony z cukru, ale zamierzał się jeszcze upewnić.

– Jeśli tylko odnajdzie drzwi, to tak.

– Więc czemu nikt nie przechodzi?

– Przypuszczam, że większość zastanawia się, jak otworzyć drzwi. Czasem najtrudniej jest wpaść na najprostsze rozwiązania. Zresztą po drugiej stronie nie ma właściwie nic ciekawego. Ot, nieskończone morze pierwotnego chaosu.

Gdy kilka minut później Pike przytrzymał uzdę Inferna, a Sinus pakował wciąż nieprzytomnego Wojnę w siodło, Wilkins zbliżył się do drzwi i zerknął na drugą stronę. Odniosł wrażenie, że już kiedyś widział to całe morze chaosu, ale wtedy przypominało raczej coś w rodzaju kałuży. Wzruszył ramionami. Pike miał rację – nic ciekawego. Trzeba pewnie być starszym owładniętym manią tworzenia, by dostrzec w tym wszystkim cokolwiek godnego uwagi.

Sinus wsunął jeszcze ogłuszonemu Jeźdźcowi pod pachę jego miecz. Xijn klepnął konia w zad. Inferno zarżał i stanął dęba. Wojna wbrew wszelkim prawom fizyki wcale nie zleciał.

– I to koniec? – zapytał Wilkins, gdy koń i jego Jeździec byli już tylko jasnym punkcikiem pędzącym przez nieskończoną czerń. – To wystarczy? Przecież może się obudzić i wrócić...

– Spokojnie – powiedział Pike, uśmiechając się tajemniczo. – Ja po drugiej stronie nie działam. Mają tam jakiś inny czas. Jeśli postanowią wrócić jutro, u nas może minąć kilka milionów lat.

Xijn, korzystając z tego, że reszta pochłonięta jest dysputami filozoficznymi, zakradł się do drzwi i wyrwał klamkę z zewnętrznej strony. To był jego wszechświat i nie życzył sobie żadnych obcych koordynatorów. Zwłaszcza takich, co zamiast pozwoleń przywożą miecze.

– Na pewno? – dopytywał Nab.

– Och, możesz mi wierzyć. – Pike mrugnął do Xijna. Koordynator oblał się rumieńcem i pospiesznie schował klamkę do kieszeni. – Na czym, jak na czym, ale na tym trochę się znam.

Kosmologiczny przeciąg zamknął drzwi do innej rzeczywistości.

– Cóż, chłopaki. Fajnie było was poznać. Muszę lecieć, znowu będę miał pełne ręce roboty – powiedział Pike i zniknął.

Wilkins przez moment miał jeszcze przed oczami uśmiechniętą twarz.

– O-on... – wyjąkał.

– Zniknął – dokończył Xijn. – Mówiliśmy ci, że jest do tego zdolny.

– I co dalej?

– Cóż – westchnął Sinus. – Xijn wróci pewnie do końca świata, a ja spróbuję odzyskać swoją budkę z łap X'Vorgan... – Sinus zachichotał. – Pomyśl tylko, jak się wkurzą, kiedy uświadomią sobie, że tak naprawdę nam pomogli.

– Wiesz co, Sinus?

– Hm?

– Chętnie zjadłbym hot-doga.

– No! I takie nastawienie rozumiem.

Mniej więcej w tym samym czasie Niesamowicie Zbzikowany Bux ze złością cisnął kubek po piwie do kosza na śmieci.

– Ale ściema – burknął pod nosem. Razem z Drokiem Drocno-kiem opuszczał właśnie trybuny. Stanowczo przepłacili za bilety.

– Tylko nie upuście – powiedział kościsty jegomość w długiej, czarnej szacie z kapturem. Dwóch jego kolegów – jeden prze-rażliwie wychudzony, drugi chorobliwie zielony – dźwigało właśnie trzeciego. Wspinali się przez klatkę schodową niewielkiej kamienicy unoszącej się wśród fal pradawnego chaosu.

– To tutaj – oznajmił Ponury Żniwiarz, gdy dotarli do miesz-kania Wojny. Otworzył drzwi. Ledwo przestąpił próg, gdy wielki topór wojenny przeleciał tuż przed nim i uderzył o podłogę. W mieszkaniu Wojny trudno było się poruszyć, by nie wywołać lawiny karabinów maszynowych, włóczni, mieczy świetlnych i innych śmiercionośnych przedmiotów. Żniwiarz miał wielką ochotę przelknąć ślinę, ale tak się już przyjęło, że był kościo-trupem i w związku z tym nie miał anatomicznych możliwości do takich wyczynów.

Ostrożnie lawirując między stosami broni, Jeźdźcom Apoka-lipsy udało się dotrzeć do łóżka i ułożyć na nim Wojnę.

Głód ostrożnie przekradł się do kuchni i z lodówki wydobyl butelkę ozdobioną sugestywną czaszką ze skrzyżowanymi puszczelami.

Jeśli chodzi o alkohol, zdania wśród Jeźdźców były podzie-łone. Zaraza na przykład twierdził, że alkohol zabija zarazki i trzymał się od niego z daleka. Podobnie jak Głód, który ze względu na swoje warunki fizyczne musiałby ciężko odcho-rować nawet najmniejszego drinka. Śmierć za to całkiem lubił trunki spożywane ochoczo przez Wojnę. Mówił, że nieźle czyszczą kości.

Zaraza ocucił Wojnę.

– Trzymaj – powiedział Głód, podając mu parującą szklanekę. – Pij, bo szybko się ulatnia.

Wojna przełknął zawartość naczynia jednym haustem.

– Aj... – syknął, obmacując łepetynę. – Główny Zwierzchnik nie będzie zadowolony.

– Nie przejmuj się – pocieszył kolegę Głód. – Jutro załatwię sprawę z tym wszechświatem i nikt się nie zorientuje. Odpoczywaj.

Wojna opadł na łóżko. Głowa wciąż mu pękała. Dobrze jest mieć oddanych przyjaciół.

Na niczym niewyróżniającej się asteroidzie, gdzieś na obrzeżach wszechświata, stał właśnie chłopak w czapce z napisem „Pizza międzygalaktyczna Grubego Romero”. W jednej ręce trzymał kartonowe, parujące pudełko, a drugą drapał się z zakłopotaniem po głowie.

– Przepraszam – powiedział Wszechstronny Pike, który zniecka pojawił się za jego plecami. Chłopak aż podskoczył. – Czyżby to była moja pizza?

– Ach. Tak. Oczywiście – wyjąkał dostawca. – Mieliliśmy lekkie opóźnienie. Naturalnie, zgodnie z dewizą naszej firmy, nic pan nie płaci. – Chłopak wręczył Pike’owi pudełko, wsiadł na skuter nadprzestrzenny i czym prędzej odleciał.

– Ach. Pepperoni z podwójnym serem na grubym cieście – mruknął pod nosem Pike. – Trzeba się dobrze najeść. – Uśmiechnął się do starej, nieograniczonej pustki. Pustce nie spodobał się ten uśmiech.

KONIEC...

...a może początek? Cóż, kiedy kupujecie hot-doga od czwororękiego gościa imieniem Sinus Pi Czwartych, nigdy nic nie wiadomo.

PODZIĘKOWANIA

...a jako że zawsze byłem dobrze ułożonym dzieckiem, wiem, że ostatnie słowo powinno brzmieć „dziękuję”. A jest naprawdę sporo osób, które takie słowo powinny usłyszeć i trudno mi nawet znaleźć właściwą kolejność. Może zatem spróbuję chronologicznie. Po pierwsze rodzina – dziękuję moim najbliższym, którzy z większym lub mniejszym entuzjazmem, ale zawsze dzielnie mnie wspierali i służyli pomocą. Pani Alinie Gernat, polonistce o nieocenionym i niepowtarzalnym darze pedagogicznym, który znacząco przyczynił się do tego, kim dziś jestem, gdzie stoję i co wypisuję. Adamowi Froniowi, którego rolę trudno mi nawet opisać, a trzykrotne przeczytanie niniejszej książki (plus raz, kiedy jeszcze była opowiadaniem) to tylko kropla w morzu jego zasług. Julkowi Wojciechowiczowi, którego szalone inicjatywy literackie po raz pierwszy wydobyły mnie z otchłani własnej szuflady na światło dzienne. Jarkowi Turowskiemu, który do pierwszej wersji powieści dodał przeszło siedemset poprawek. Dominice Świątkowskiej i Przemkowi Rybie, nieocenionym i nieco zwariowanym Gmor-
kom, którzy wbrew wszystkiemu postanowili wydać *Początek*, *Koniec* i *Hot-dogi*. Leszkowi Błaszkiwiczowi i Kazimierzowi Kyrzczowi Jr za poświęcony czas i miłe słowa, którymi postanowili wesprzeć moją wiarę we własne dzieło. No i oczywiście każdemu z Was, drodzy Czytelnicy, którzy zdecydowaliście się wziąć do ręki akurat tę książkę, choć z pewnością mieliście do wyboru wiele innych, bardziej kuszących możliwości.

Dziękuję wszystkim, którzy w tę książkę uwierzyli i pomogli mi wypchnąć ją na świat. Macie u mnie hot-doga. Z podwójną musztardą.

O AUTORZE

Kacper Kotulak

Okołoolsztynianin z rocznika '91, geodeta z głową w kosmosie, u progu kariery naukowej, miłośnik fantastyki w niemal wszystkich jej przejawach oraz muzyki rockowej w pojęciu możliwie najszerszym, ale ze szczególnym wskazaniem na brytyjskie zespoły heavymetalowe założone w ostatnim tygodniu 1975 roku. Można go spotkać w warmińskich lasach oraz antologiach *Toystories* (Morpho, 2014), *Małe Problemy Wielkich Bohaterów* (Craais, 2014), *Pokłosie* (Gmork, 2015) oraz *City 4* (Forma, 2018). Pomysłodawca i współautor *Iron Tales*. Literackiej składanki w hołdzie Iron Maiden (Gmork, 2017).



SPIS TREŚCI

Rozdział 0	5
Rozdział 1	6
Rozdział 2	12
Rozdział 3	21
Rozdział 4	35
Rozdział 5	51
Rozdział 6	57
Rozdział 7	70
Rozdział 8	82
Rozdział 9	91
Rozdział 10	103
Rozdział 11	119
Rozdział 12	121
Rozdział 13	141
Rozdział 14	143
Rozdział 15	169
Rozdział 16	177
Rozdział 17	184
Rozdział 18	196
Rozdział 19	209
Podziękowania	213
O autorze	214

Gdybym przeczytał tytuł, nie znając autora, zapewne popukałbym się w czoło, a pieniądze przeznaczył na kolejną, niewiele wartą space operę. Jednak wiem, że za niepozornym imieniem ukrywa się naukowiec, miłośnik literatury SF&Fantasy i muzyki o dosyć ciężkim zabarwieniu. Zaryzykowałem więc i absolutnie nie żałuję. Kosmos, inteligentny humor i rollercoaster to trzy skojarzenia, które przychodzą mi na myśl najszybciej, kiedy wspominam lekturę *Początku, końca i hot-dogów*.

Czytając, czuć wyraźnie miłość autora do Prachetta i uwielbienie dla Adamsa.

Po lekturze *Początku* wiem jedno – stałem się fanem Kotulaka.

Leszek Błaszkwicz

Początek, koniec i hot-dogi to historia Nabuchodonozora Wilkinsa, kapitana floty kosmicznej Stanów Zjednoczonych, który po zawaleniu sprawy jako ostatnia nadzieja planety Ziemi, zostaje ostatnią nadzieją całego wszechświata. Opowieść zawiera odpowiedzi na intrygujące zagadnienia takie jak: „dlaczego niby światło miałyby być najszybszą rzeczą we wszechświecie?”, „jak zbudować sprawnie działającą cywilizację, bazując na nienawiści do wszystkiego dookoła?”, „jak to się stało, że Czas przestał być wielkością fizyczną i został pomarszczonym staruszką w pomarańczowym prześcieradle?” oraz: „sposoby na ocalenie wszechświata przy wykorzystaniu głupoty, przemocy i butelki po piwie”.

Cześć i dzięki za ryby, a także za *Początek, koniec i hot-dogi*. Czytajcie tę powieść! Oczywiście o ile nie boicie się, że brzuchy popękają Wam ze śmiechu, a bliźni uznają Was za uciekinierów z domu wariatów... Jak mnie.

Kazimierz Kyrz Jr

Patroni medialni:

SZORTAL
UWOLNIJ MOC SŁYTY W SZORTACH

Silmaris
FANTASY SCIENCE FICTION



SZTUKATER.PL

DZIKA BANDA
PRZYJAZNE CZYLI KULTURA

ALICJA w KRAINIE SŁÓW

ISBN 978-83-951333-1-2



GMORK
WYDAWNICTWO
www.gmork.pl

17 zł

cena detaliczna